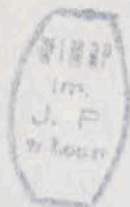




02 | 2002

KRONIKA  
MIASTA  
ŁÓDZI



I-102991/02



EX LIBRIS  
WOJEWODZKIEJ - MIEJSKIEJ  
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. MARSZAŁKA  
JOZEFA PIĘSUDSKIEGO  
W ŁODZI



R. 2.

| KRONIKA MIASTA ŁÓDZI

ŁÓDŹ 2002

## Rada Programowa

Przewodniczący:  
Grzegorz Matuszak

Członkowie:  
Miroslaw Borusiewicz  
Ryszard Czubaczyński  
Henryk Kluba  
Stanisław Liszewski  
Paweł Samuś

## Zespół Redakcyjny

Redaktor Naczelny:  
Bogusław Sikorski

Sekretarz:  
Edward Müller

Zenon Spuś

Jerzy Wilmański

**Wydawca:**



Urząd Miasta Łodzi

**Adres redakcji:**

Wydział Rozwoju i Promocji Miasta

Oddział Promocji Miasta

Kronika Miasta Łodzi

90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110

tel. (42) 638 44 39

e-mail: [wip@uml.lodz.pl](mailto:wip@uml.lodz.pl)

W Kronice wykorzystano  
pocztówki p. Marcina Barańskiego  
z Księgarni - Antykwariatu "NIKE"

projekt graficzny, opracowanie,

oprawa i druk:

Agencja Reklamowa P@ESTO

ul. Piotrkowska 157,

90-440 Łódź

tel. (42) 63 75 450

tel./fax (42) 63 75 551

e-mail: [presto@presto.pl](mailto:presto@presto.pl)

[www.presto.pl](http://www.presto.pl)

OD REDAKCJI

## ZAMIAST WSTĘPU

Szanowni Czytelnicy!

Z przyjemnością i satysfakcją pragniemy Was poinformować, że „Kronika Miasta Łodzi” została przekształcona w kwartalnik. Został więc rozstrzygnięty dylemat, czy „Kronika” ma mieć jedynie charakter czasopisma dokumentującego dokonania naszego miasta, czy też być bliżej pisma społeczno-kulturalnego? Pragniemy w tym miejscu serdecznie podziękować wszystkim, którzy poparli nasze starania o nadanie „Kronice” statusu kwartalnika. O jego wartości i znaczeniu decydować jednak będą czytelnicy i współautorzy. W trakcie ostatnich trzech lat wydaliśmy w tym składzie redakcyjnym i tej samej Radzie Programowej dziesięć numerów pisma. Okazało się, że mimo mankamentów w dystrybucji spotkały się one z aprobatą i żywym zainteresowaniem czytelników. Udało nam się skupić wokół redakcji grono znakomitych autorów i sympatyków. Aktualnie przedstawiamy do oceny kolejny numer „Kroniki Miasta Łodzi”, ma on charakter szczególny. Towarzyszyć będzie obchodom Świąta naszego miasta. Wydajemy go więc w zwiększo-

nej objętości i nakładzie oraz w nowej szacie edytorskiej. Z wielką uwagą i wdzięcznością przyjmujemy wszystkie uwagi i wypowiedzi na temat merytorycznej zawartości oraz szaty graficznej tego numeru. Uważamy bowiem, że w naszym mieście istnieje potrzeba funkcjonowania forum wymiany myśli i poglądów. Nie rezygnujemy jednak z naszego kronikarskiego obowiązku przedstawiania historycznego dorobku miasta w różnych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego. Jeżeli bowiem nie my postaramy się o propagowanie naszych wspólnych dokonań to kto? Jeśli nie dziś to kiedy?



BARBARA MAJ

**ZDROWE  
MIASTO ŁÓDŹ**

Łódź jako jedyne miasto w Polsce i jedno z bardzo nielicznych w Europie ma własny program regulujący całokształt polityki zdrowotnej na szczeblu lokalnym. Uchwalony mniej więcej rok temu przez Radę Miejską dokument pod nazwą „KIERUNKI DZIAŁAŃ NA RZECZ ZDROWIA ŁÓDZIAN” zyskał wysoką ocenę ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia i stał się dla Łodzi przepustką do III etapu międzynarodowego programu Europejskiej Sieci Zdrowych Miast.

Nie oznacza to, jak chcieliby widzieć niektórzy, że z tą chwilą Łódź stała się kurortem, w którym są szczególnie korzystne warunki do samoistnego leczenia rozmaitych schorzeń i już sam pobyt w mieście sprzyja poprawie zdrowia. Nie oznacza to także, że poprzez przyjęcie „Kierunków działań na rzecz zdrowia łodzian” automatycznie wyeliminowane zostaną negatywne skutki błędów reformy służby zdrowia i „chorego” systemu wprowadzonych z tej okazji regionalnych kas chorych, których niedofinansowanie i dodatkowo niezrozumiała dystrybucja środków spowodowały, w społecznym odczuciu, pogorszenie świadczeń leczniczych.

Idea zdrowych miast została zawarta w tzw. Karcie Ottawskiej, którą Światowa Organizacja Zdrowia uchwaliła w już w 1986 r. Jej fundament składa się z pięciu podstawowych elementów. Jednym z nich jest promocja polityki zdrowia publicznego. Kolejne ogniwa to: tworzenie i pozyskiwanie środowisk wspierających, zwiększanie udziału społeczności lokalnych w promowaniu zdrowia, większa skuteczność w działaniach prozdrowotnych. Nie bez znaczenia jest także reorientacja świadczeń zdrowotnych, pozwalająca lepiej osiągnąć główny cel czyli poprawę warunków zdrowotnych. A chodzi w tym wszystkim o rzeczy niebagatelne. „Zdrowe Miasto” musi odpowiadać określonym standardom, nie zawsze łatwym do osiągnięcia. Kto chce nosić ten zaszczytny tytuł ten musi w pierwszym rzędzie zadbać o czyste, bezpieczne od toksyn i wolne od hałasów środowisko a także uczynić wszystko, aby ekosystem w mieście był stabilny. Innym wymogiem jest nowoczesny system ekonomiczny, stymulujący rozwój gospodarczy. Władze miasta muszą także zaspokoić pojęte dość szeroko podstawowe potrzeby wszystkich mieszkańców, czyli to wszystko, co ma wpływ na jakość życia. Dotyczy to zdrowej wody pitnej, ale także mieszkań, żywności, pracy i bezpieczeństwa osobistego. Jest rzeczą zrozumiałą, że Światowa Organizacja Zdrowia kładzie także duży nacisk na dostępny dla wszystkich optymalny poziom usług i świadczeń medycznych i wysoki poziom zdrowotny społeczeństwa. Zwraca się wreszcie uwagę na więzi społeczne i, choć Karta Ottawska tego tak nie nazywa, stopień zaawansowania budowy społeczeństwa obywatelskiego. Liczy się także znaczny udział i kontrola społeczeństwa nad decyzjami dotyczącymi ich zdrowia oraz życia i warunków środowiskowych w mieście.

Można by na podstawie tych rozważań sądzić, że oczka w sieci „Zdrowych Miast” są na tyle szczelne, iż surowe kryteria dają szansę przynależności do niej tylko najzasobniejszym gminom z bardzo bogatych krajów. Ale, jak się okazuje, każdy ma coś do zrobienia, zanim osiągnie idealny status zdrowotny, dlatego uczestnictwo w programie „Zdrowe Miasto” jest najczęściej zobowiązaniem do wielosektorowych działań mających na celu poprawę najszerzej pojętych warunków środowiska, w którym żyjemy i poprawę zdrowia mieszkańców.

Z chwilą przyjęcia przez samorząd gminy „Kierunków działań na rzecz zdrowia łodzian” dokument ten stał się dla zarządu miasta wiążącą dyrektywą, jednym z najważniejszych elementów wieloletniej, uchwalonej wcześniej strategii, wypełniając ją konkretną treścią. Jest także rzeczą dość zrozumiałą, że chociaż w holistycznej koncepcji zdrowia WHO dostępność mieszkańców do świadczeń medycznych zajmuje ważne miejsce, zwraca się uwagę na szereg innych czynników, takich jak warunki środowiskowe i mieszkaniowe a także warunki pracy i styl życia, gdyż zdrowie pojmuje się przede wszystkim jako zdolność ludzi do pełnienia ról społecznych oraz adaptacji do zmian środowiska.

Obecny prezydent Łodzi Krzysztof Panas, jeden z współtwórców dokumentu pn. „KIERUNKI DZIAŁAŃ NA RZECZ ZDROWIA ŁODZIAN”, charakteryzując go powiedział wprost: „Dobre zdrowie społeczeństwa jest podstawą zrównoważonego rozwoju gospodarczego, jest też miarą wewnętrznej spójności i równowagi społecznej. Dlatego wspieranie i kreowanie przedsięwzięć służących rozwojowi potencjału zdrowotnego społeczności lokalnej należy do głównych zadań polityków. Zintegrowane i wszechstronne podejście do działań na rzecz zdrowia obejmujące całość warunków życia mieszkańców jest bowiem skuteczne i efektywne, lepiej służy zaspokajaniu potrzeb niż odosobnione jednostkowe działania. Nie tylko dobrze zorganizowana i dostępna dla wszystkich opieka medyczna służy zdrowiu, ale także to w jakim stopniu zaspokajane są potrzeby społeczne m.in. w zakresie mieszkalnictwa, przyjaznego środowiska i wiążącego się z nim zagospodarowania terenu, jak również dostępu do oświaty i pracy”. Tak szeroka koncepcja dobrego zdrowia społeczeństwa, rozumianego wręcz nie tylko jako „brak choroby lub niepełnosprawności, ale stan pełnego fizycznego, psychicznego i społecznego dobrostanu” wymaga podporządkowania wszystkich działań administracji lokalnej temu jednemu celowi. Staje się więc on tym samym jednym z podstawowych priorytetów strategii społecznej, wymagającym zaangażowania wielu instytucji. W programie „Zdrowe Miasto” jego partnerami są: Wydział Zdrowia Publicznego, Wydział Ochrony Środowiska, Wydział Komunalny a także Wydział Edukacji i Kultury Fizycznej, co oznacza bardzo poważny udział Urzędu Miasta

Łodzi. Niezależnie od tego w programie aktywnie uczestniczą: Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Miejski Ośrodek Profilaktyki Zdrowotnej, Miejski Ośrodek Profilaktyki i Terapii Uzależnień, Miejski Ośrodek Profilaktyczno-Terapeutyczny dla Dzieci i Młodzieży Zagrożonej Narkomanią, liczne miejskie szpitale i przychodnie, stacje sanitarno-epidemiologiczne a nawet, choć to już domena administracji państwowej, Kuratorium Oświaty w Łodzi. Partnerami są także szkoły i wyższe uczelnie (Łódź wciąż jeszcze jest siedzibą dwóch akademii medycznych, wojskowej i cywilnej, które jesienią mają się połączyć w Uniwersytet Medyczny), wiele organizacji pozarządowych, a także przedsiębiorstwa. Gdyż tylko szerokie współdziałanie może doprowadzić do realizacji wyznaczonych przez miasto celów zdrowotnych. Był to oczywiście przypadek, ale to chyba dobrze, że współautor „Kierunków działań na rzecz zdrowia łodzian” dr Krzysztof Panas, wcześniej członek Zarządu Miasta Łodzi, w marcu 2001 r., kiedy uchwalano ten strategiczny dokument, objął akurat urząd prezydenta miasta. Gwarantuje to, rzecz oczywista, większą skuteczność poczynań w obszarze polityki zdrowotnej, bo czasem najlepsze uchwały pozostają martwą literą. W Łodzi tak się na szczęście nie stało i program jest realizowany mimo mało sprzyjających warunków zewnętrznych: spadku PKB i wzrostu stopy bezrobocia w Polsce oraz dramatycznego niedofinansowania placówek służby zdrowia, które popadają w zadłużenie, aby wypełniać postawione przed nimi zadania. Oddajmy jeszcze raz głos Krzysztofowi Panasowi: „Ochrona zdrowia mieszkańców na przestrzeni ich życia, redukcja występowania głównych przyczyn chorób i urazów oraz złagodzenie cierpień z ich powodu - to główne cele kierunków działań na rzecz zdrowia w mieście. Aby osiągnąć te cele, zgodnie z osiągnięciami naukowymi, gospodarczymi, społecznymi i politycznymi, przyjmujemy następujące strategie działania:

- pozyskiwanie nowych partnerów w działaniach na rzecz zdrowia w rodzinie, instytucjach oświaty i wychowania, środowisku zawodowym oraz w społeczności lokalnej,
- zintegrowana, zorientowana na rodzinę i społeczność lokalną podstawowa opieka zdrowotna oraz szpitalna,



foto K. Kaszub

- wspólne podejmowanie decyzji w zakresie planowania, wdrażania i rozliczania wyników podjętych działań”.

Popatrzmy teraz jak dokument regulujący politykę zdrowotną w Łodzi przekłada się na konkretne działania choćby w dziedzinie profilaktyki. Średnia długość życia łodzian to 68 lat dla mężczyzn oraz 76 dla kobiet. Nie miejsce tu, aby analizować, dlaczego mężczyźni żyją krócej, choć na pierwszy rzut oka nasuwa się wniosek, że głównym powodem może być na przykład tryb życia „brzydkiej płci”. Wiadomo przecież, że wśród kobiet jest mniejszy odsetek palaczy tytoniu i że rzadziej nadużywają one alkoholu. Dane statystyczne wskazują, że najczęstszymi przyczynami zgonów w Łodzi są choroby układu krążenia (48 proc., a więc prawie połowa przypadków) a także nowotwory złośliwe (19 proc. przypadków), jest więc rzeczą naturalną, że głównie w tych obszarach powinna być prowadzona profilaktyka. Nawet laik wie, że wczesne wykrycie nowotworu prowadzi najczęściej do całkowitego wyzdrowienia. Toteż w Miejskim Programie Profilaktyki i Promocji Zdrowia ważne miejsce zajmują badania wczesnego wykrywania raka stercza oraz raka piersi. Te pierwsze adresowane są

do mężczyzn powyżej 50 roku życia. Skorzystało z nich tylko w roku 2000 prawie 10 tys. mężczyzn. U ponad trzeciej części z nich stwierdzono zmiany w obrębie gruczołu krokowego. 300 przypadków wymagało leczenia szpitalnego. Tyleż samo mężczyzn przebadano w 2001 r., co dowodzi szerokości tego programu profilaktycznego.

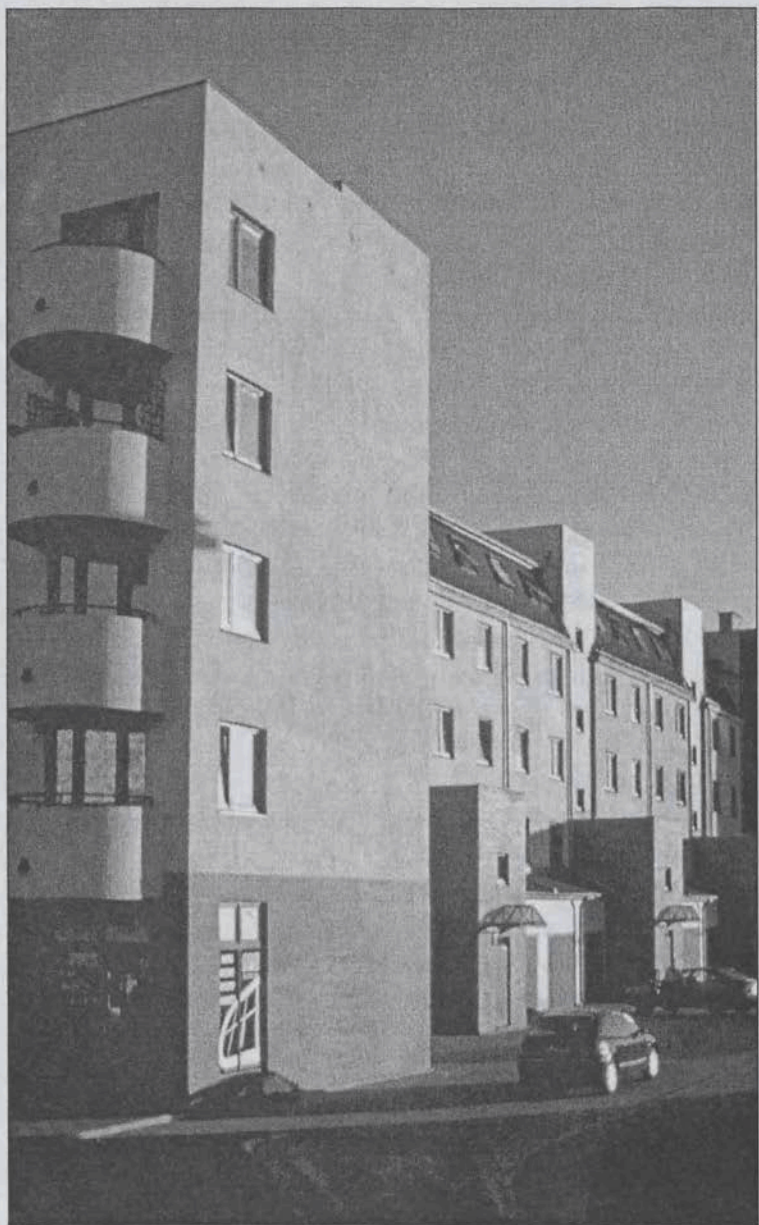
Do kobiet adresowany jest program „Dalia”, który obejmuje panie w wieku 50-64 lata. Z badań mammograficznych skorzystało już tysiące łodzianek, z każdym rokiem wzrasta ich ilość. Tylko w ubiegłym roku przebadano ponad 20 tys. kobiet. Niezależnie od tego realizowany jest program edukacyjny „Niezapominajka” dotyczący badania i samo-kontroli piersi.

Choroby układu krążenia zostały wytypowane do działań profilaktycznych na podstawie analizy zachorowań w Łodzi, tym bardziej że są one przyczyną połowy zgonów. Program Profilaktyki i Wczesnego Wykrywania Chorób Układu Krążenia, który początkowo miał charakter pilotażowy, dziś stał się programem adresowanym do wszystkich mieszkańców miasta i obejmuje już dziesiątki tysięcy pacjentów. Wyniki mówią same za siebie, skoro u ponad 70 % dorosłych i prawie 20 % dzieci stwierdzono potrzebę objęcia ich opieką medyczną.

Specjalnym programem profilaktycznym mającym na celu ochronę zdrowia psychicznego objęto w Łodzi dzieci i młodzież szkolną. Ma on na celu kształtowanie zachowań i postaw sprzyjających zdrowiu psychicznemu jednostki oraz rozwijanie różnych form poradnictwa psychologicznego, w tym terapii rodzinnej dla rodzin, w których żyje osoba przewlekle chora psychicznie.

Wzrost śmiertelności, spowodowany rakiem jelita grubego i wzrost zachorowalności na to schorzenie skłonił władze Łodzi do opracowania i wdrożenia nowego programu profilaktycznego. Jest on adresowany do wszystkich mieszkańców, którzy ukończyli 45 lat i ma na celu wykrywanie nowotworów jelita grubego oraz stanów przedrakowych takich jak polipy oraz gruczolaki.

W ubiegłym roku, zgodnie z „Kierunkami działań na rzecz zdrowia łodzian” uruchomiono w mieście jeszcze jeden program profilaktyczny dotyczący wczesnego wykrywania nowotworów płuc i gruczycy. Jest on



o tyle ważny, że w Łodzi zachorowalność na gruźlicę jest najwyższa w Polsce. Szacuje się, że w ub. roku objęto tymi badaniami 7 tys. osób, które ukończyły 35 lat. Wczesna diagnostyka tych chorób stwarza znacznie lepsze rokowania dla pacjentów. Pamiętajmy przy tym, że gruźlica jest chorobą zakaźną, nie leczona stwarza więc dodatkowe zagrożenie dla osób zdrowych.

Wszystkie te programy finansowane są z budżetu miejskiego. Nie dziwi więc, że, jak to wykazały badania, opinia o miejskiej służbie zdrowia jest w Łodzi znacznie lepsza niż o działalności kas chorych. W ten sposób, choć nie jest to celem programu „Zdrowe Miasto”, lokalny samorząd naprawia błędy reformy służby zdrowia. Przedstawiłam tu jeden zaledwie segment działań związanych z realizacją „Kierunków działań na rzecz zdrowia łodzian”, które mają charakter wielosektorowy. Rozwinięcie ich wymagałoby więc napisania całej książki. Toteż aby zrozumieć na czym polega nowatorstwo tego dokumentu, warto pamiętać, że plan na rzecz zdrowia łodzian odzwierciedla lokalne potrzeby mieszkańców, z uwzględnieniem bardzo zróżnicowanej i wciąż zmieniającej się sytuacji społecznej, ekonomicznej i ekologicznej. Celem wszystkich tych działań jest eliminowanie zjawisk negatywnych obniżających jakość życia. Wszystko, co pozytywne może natomiast liczyć na wsparcie.

Dokument ma charakter otwarty, nie przewidziano w nim żadnych ram czasowych. Natomiast systematyczna ocena skuteczności podejmowanych działań pozwoli na wybranie priorytetów, które mogą wpłynąć na poprawę zdrowia łodzian. Realizowany u nas program „Zdrowe Miasto” niewątpliwie przyczynia się do promocji Łodzi, w kraju i w Europie. Wzrasta też zainteresowanie nim w Polsce, gdyż wiele gmin chce skorzystać z doświadczeń Łodzi.



JERZY GALĘBA

**SZPITAL  
BAŁUCKIEGO  
IMPERIUM  
BAWEŁNY**

Mało kto wie, że Wojewódzkie Centrum Ortopedii i Rehabilitacji Narządów Ruchu im. Z. Radlińskiego w Łodzi określane w potocznych rozmowach jako szpital przy ul. Drewnowskiej - mieści jedną z niewielu światowej sławy klinik, w której wykonywane są zabiegi wydłużania kończyn a także odbywa się kompleksowe leczenie dzieci z porażeniem mózgowym.

W ciągu ostatnich lat w placówce tej, kierowanej przez prof. Marka Syndera, znacznie powiększono zakres wykonywanych operacji. Teraz, do najważniejszych - zaliczane są skomplikowane rewizje stawów biodrowych, implantacje nowoczesnych endoprotez, rekonstrukcje więzadeł krzyżowych oraz wszechstronne leczenie dzieci z wrodzonymi wadami narządów ruchu.

Młodzi pacjenci z tymi schorzeniami przyjmowani są z całej Polski. W nawale codziennej pracy, ani lekarze ani pielęgniarki nie pamiętają, że ich macierzysty szpital wkroczył właśnie w swoje 90-lecie. Historia tej renomowanej już placówki (jak wynika z archiwalnych dokumentów, na które także powołuje się w swojej

pracy dyplomowej Zofia Komorowska – naczelną pielęgniarką szpitala sięga lat 1911-1913. To właśnie wtedy staraniem Towarzystwa Akcyjnego I. K. Poznański został wybudowany w tym miejscu na Bałutach, dość nowoczesny - na miarę owych czasów - szpital dla robotników jego bawelnianego imperium. Od momentu oficjalnego przekazania do użytku - był to "Szpital pod wezwaniem św. Józefa" - podobnie zresztą jak drewniany kościółek przeniesiony z pobliskiego pl. Kościelnego pod okna fabryki, na drugą stronę ul. Ogrodowej.

Nawiasem mówiąc - kult św. Józefa był w owym czasie na Bałutach bardzo rozpowszechniony. Kto chce, niech wierzy - mówi Maria Pawlak, pielęgniarka oddziałowa oddziału dziecięcego – ale warto wspomnieć, że figurka tego świętego - patrona robotników ustawiona na szpitalnym dziedzińcu przetrwała nietknięta wszystkie dotychczasowe reorganizacje, obydwie wojny światowe oraz przeobrażenia ustrojowe i do dziś czuwa nad pomyślnością pacjentów.

Do 1924 roku, urzędowa nazwa tej placówki brzmiała "Szpital Tow. Akcyjnego I. K. Poznański" i dopiero uchwałą nr 52 Komisji Gospodarczej z 17 marca 1924r. – dla odróżnienia od Szpitala im. Małżonków Poznańskich - przywrócono mu używaną obiegowo nazwę szpitala pod wezwaniem św. Józefa. Podczas I wojny światowej – szpital został zarekwirowany na potrzeby frontu. Najpierw korzystały z niego wojska rosyjskie, a następnie jako lazaret służył również niemieckim władzom okupacyjnym. Od połowy marca 1915 r. był to już ponownie cywilny szpital fabryczny. Gdy w końcu tego roku zaczęła szerzyć się w mieście epidemia tyfusu, decyzją ówczesnych władz administracyjnych - tzn. Sekcji Sanitarno-Szpitalnej przy Głównym Komitecie Obywatelskim – obiekt został przeznaczony do leczenia lawinowo ujawnianych przypadków tej choroby, osiągającej rozmiary katastrofy.

Tak było od listopada 1915 r. do maja 1916 r., kiedy placówka została zamknięta i wszystkie jej pomieszczenia świeciły ponurą pustką aż do 17 czerwca 1917 roku. Właśnie tego dnia Magistrat Miasta Łodzi przejął ponownie szpital i zmieniając dotychczasowy jego profil - przeznaczył go dla chorych na płuca. W marcu 1918 r. otwarto w nim oddział chirurgiczny. Podczas okupacji hitlerowskiej – od pierwszych dni



utworzenia getta żydowskiego, tzn. od 8 lutego 1940 r. - budynek razem z resztkami sprzętu, podlegał władzy Chaima M. Rumkowskiego - przełożonego Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim. Przez kolejne dwa i pół roku z okładem służył wszelką pomocą medyczną przymusowo osiedlanym tutaj mieszkańcom. Tak było do połowy września 1942 roku, kiedy to w związku z akcją likwidacji chorych, starców i dzieci do lat 10, zatwierdzoną przez hitlerowców, wszystkie szpitale w getcie zostały zamknięte. Pozostające po nich budynki zamieniono na zakłady niewolniczej pracy. W dawnym szpitalu przy ul. Drewnowskiej mieścił się oddział produkcji pończoch i rękawiczek - zakład 67 (Handsuh und Strumpf Abteilug - Betrieb 67). Po likwidacji łódzkiego getta - w sierpniu 1944 - z dawnego szpitala i urzędowej w nim fabryki pozostały tylko ogołocone sale i nagie mury. Bezpośrednio po wyzwoleniu Łodzi - w styczniu 1945 r., szpitalami zaopiekował się Zarząd Miejski na mocy dekretu o majątkach opuszczonych i porzuconych (Dz. U. nr 9, poz. 45 z 1945 r.), wydanego przez Główny Urząd Tymczasowy Zarządu Państwowego. Administrowanie obiektem zatwierdzone zostało oficjalnie protokołem z 24 listopada 1945 r. - w trybie art. 13 ustawy z 6 czerwca tegoż roku. Pierwszym dyrektorem szpitala św. Józefa przy ul. Drewnowskiej, który istniał wówczas tylko na papierze - został dr med. Józef Komza. Wszystko było doszczętnie zniszczone. Brakowało nie tylko sprzętu, ale i w pełni wykwalifikowanego personelu. W chudych, powojennych latach trudno też było

liczyć na jakąkolwiek szybką pomoc z zewnątrz. Taki był początek przyszłego szpitala ortopedyczno-urazowego w Łodzi. Nowo mianowany dyrektor borykał się zarówno z wyraźną niechęcią otoczenia – wynikającą z braku wiedzy o tradycjach specjalistycznego leczenia takich przypadków – jak też zwyczajnym niezrozumieniem prawdziwej potrzeby utworzenia tego typu ośrodka. Mimo ciągłych trudności, dr J. Komza pozostawił w chwili swojej śmierci – w 1951 roku – piękną, gruntownie wyremontowaną, specjalistyczną placówkę opieki medycznej na 165 łóżek z fachowo wyszkolonym personelem lekarskim i pomocniczym. Od 1952 roku funkcję dyrektora powierzono doc. dr med. Edmundowi Bartkowiakowi z Kliniki Ortopedii w Poznaniu, który wprowadził wiele istotnych ulepszeń zarówno w samej organizacji pracy jak i w metodach leczenia. Podczas jego kadencji – na przełomie 1958/59 r. – budynek został gruntownie zmodernizowany. Dobudowano piętro z nową salą operacyjną. Pięć lat później – 1 stycznia 1964 r., dzięki staraniom dyr. E. Bartkowiaka, który uzyskał już stopień profesora nauk medycznych – została powołana Katedra i Klinika Ortopedii AM w Łodzi z 39 łózkami dla dorosłych i 25 dziecięcymi. Również w rok później z łóżek ortopedycznych utworzono oddział rehabilitacji dla 36 pacjentów. Następca prof. E. Bartkowiaka na stanowisku dyrektora – emerytowany już – prof. dr med. Henryk Zwierzchowski wspominał przy okazji jubileuszu 30-lecia tej placówki, że obok niego pierwszymi pomocniczymi pracownikami nauki byli: Jerzy Małowiejski i Jerzy Rechciński. Każdy z nich posiadał specjalizację II stopnia z chirurgii ortopedyczno-urazowej i wieloletni staż. W Klinice zatrudniono również trzech lekarzy opłacanych przez miasto, którzy byli wówczas w okresie specjalizacji. W miarę upływu lat liczba etatów nauczycieli akademickich zwiększała się proporcjonalnie do liczby studentów V roku Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Łodzi, odbywających zajęcia dydaktyczne z ortopedii i traumatologii. W 1978 roku było już 12 pracowników naukowo-dydaktycznych, a w 16 lat później w roku jubileuszowym o czterech więcej. Działalność dydaktyczno-wychowawcza, naukowa i lecznicza była wówczas w pełni zabezpieczona. Ze szpitalnej dokumentacji wynika, że z 10 specjalistów II stopnia w dziedzinie

ortopedii i traumatologii – 9 miało tytuł doktora nauk medycznych, 2 – stopień doktora habilitowanego, zaś 3 specjalizację I stopnia. W Klinice na przestrzeni jej pierwszego 30-lecia pracowało 38 lekarzy. Stanowiska ordynatorów oddziałów ortopedyczno-urazowych obejmowali - Janusz Bednarczyk, Jerzy Małowiejski, Jerzy Rechciński, Józef R. Jaszczyk, Jakub Faflik, Tadeusz Komorowski, Stefan Gajdziński i Krzysztof Rybak. Specjalizację I i II stopnia w zakresie ortopedii i traumatologii uzyskało w tym okresie 45 lekarzy. Równocześnie 205 lekarzy z różnych ośrodków kraju odbyło staże cząsteczkowe z chirurgii ogólnej, rehabilitacji i radiologii, a zajęcia semestralne zaliczyło ponad 10 tys. studentów V roku Wydziału Lekarskiego AM. Dużym nieporozumieniem - zdaniem prof. H. Zwierzchowskiego było zlikwidowanie w 1974 roku Katedry Ortopedii oraz wcielenie Kliniki do Instytutu Chirurgii. Dopiero po 13 latach – decyzją rektora AM w Łodzi ta niekorzystna sytuacja została odwrócona. Był rok 1987. Nauczaniu ortopedii i traumatologii narządów ruchu poświęcano wówczas 70 godzin – z czego 20 przeznaczonych było na wykłady i 50 na ćwiczenia, zaś warunkiem zaliczenia był obowiązkowy egzamin. Kadra dydaktyczna Kliniki opracowała dla studentów 3 skrypty, poświęcone podstawowym zagadnieniom ortopedii, traumatologii oraz rehabilitacji narządów ruchu. Ponadto zespół Kliniki Ortopedii prowadził szkolenie podyplomowe w ramach działania macierzystej uczelni w woj. łódzkim oraz dwa razy do roku organizował specjalistyczne szkolenia dla lekarzy ortopedów i rentgenologów z całego kraju w zakresie ultrasonografii niemowlęcego stawu biodrowego. Do połowy lat siedemdziesiątych ub. stulecia szpital podlegał Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej Zarządu Miasta, aż - jako ostatnia z łódzkich placówek służby zdrowia – został włączony w struktury Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Bałuty. Były to czasy kiedy szpitalem zarządzał dyrektor ZOZ, zaś profesorowie: E. Bartkowiak – podobnie jak jego następcy - H. Zwierzchowski, pozostawali tylko szefami Kliniki. Żaden lekarz ani pielęgniarka zatrudnieni w tym okresie nie przypominają sobie dzisiaj aby poczyniono wówczas jakiegokolwiek kroki w kierunku modernizacji budynku. Od początku swego istnienia Klinika mieści się w nienajlepszych warunkach lokalowych. Wielo-

osobowe sale chorych znajdują się na dwóch kondygnacjach. W codziennej pracy lekarze i pielęgniarki przeprowadzają zabiegi operacyjne w niezbyt wygodnych – jak na obecne wymagania – dwóch salach oraz korzystają z ciasnych pracowni szpitalnych .

W 1962 roku w szpitalu utworzono szkołę podstawową. Nauczyciele rotoczyli opiekę nad pacjentami w wieku 3 – 18 lat. Dzieci i młodzież objęte są nauczaniem na poziomie szkoły podstawowej i gimnazjum. Zajęcia lekcyjne prowadzone są przez kadrę pedagogiczną Zespołu Szkół Specjalnych nr 8. Młodszy pacjenci przebywają w tym czasie pod opieką przedszkolank. Jest to konieczne ze względu na długotrwały w wielu przypadkach okres leczenia i rehabilitacji, trwający nawet kilka lat – podkreśla Mieczysława Kośba, długoletnia pielęgniarka oddziałowa bloku operacyjnego. Wszyscy mali pacjenci uczestniczą w zajęciach pozalekcyjnych, wspomagających proces rehabilitacji. Daje to im możliwość relaksu i zapomnienia o przykrych zabiegach.

W połowie lat 90-tych do szpitala wprowadzona została technika komputerowa. Ułatwiło to znacznie zasady rejestrowania przebiegu choroby każdego pacjenta, a także sposób prowadzenia archiwum klinicznego, razem z systemem dokumentowania badań naukowych. Nieco wcześniej – bo w 1991 roku - szpital wzbogacił się o nowoczesny ultrasonograf, ale ogólny stopień wyposażenia w aparaturę medyczną oraz w sprzęt audiowizualny był – zdaniem prof. H. Zwierzchowskiego – zaledwie na poziomie miernym. Z początkiem 1998 roku – w rok po przejściu na emeryturę prof. H. Zwierzchowskiego - szpital został wydzielony ze struktur bałuckiego ZOZ i przeszedł pod zarząd wojewody. Od 1 grudnia tegoż roku – zyskał samodzielność. Stanowisko kierownika Katedry i Kliniki Ortopedii AM piastował już dr hab. med. Marek Synder, który właśnie uzyskał stopień naukowy profesora. Samodzielność placówki obudziła nadzieję zmian na lepsze. Szef zdynamizował pracę zespołu. Liczba zabiegów operacyjnych znacznie wzrosła – podobnie jak wymiana naukowa oraz zdobywanie kolejnych stopni naukowych przez asystentów Kliniki. Od roku 1997 6 lekarzy uzyskało doktorat, a dwóch – stopień naukowy doktora habilitowanego (dr hab. med. Dariusz Witoński i dr hab. med. Jarosław Fabiś). Wyrazem

10671-A

uznania zarówno dla działalności naukowej jak też usługowej Kliniki Ortopedii było powołanie jej jako ośrodka referencyjnego dla woj. łódzkiego do leczenia chorób ortopedycznych oraz urazów narządów ruchu. W Klinice mieści się siedziba konsultanta regionalnego w tej dziedzinie medycyny, a także oddział łódzki Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego wraz z sekcją ortopedii dziecięcej. Obecnie – tak jak większość placówek opieki zdrowotnej – jednostka ta, podobnie jak inne, nie tylko akademickie placówki służby zdrowia, boryka się z licznymi problemami finansowymi. Uzyskane kwoty z kontraktu z Łódzką Regionalną Kasą Chorych nie są w stanie zaspokoić potrzeb wszystkich pacjentów. Dodatkowe dochody w postaci należności za świadczenie usług medycznych na rzecz Śląskiej Regionalnej Kasy Chorych oraz dzierżawy pomieszczeń – są w tym przypadku namacalnym rezultatem operatywności dyrektora naczelnego – Bogusława Tyki, podobnie zresztą jak finansowe korzyści wynikające z dokonanej już restrukturyzacji szpitala. W miejsce nierentownego oddziału chirurgii urazowej utworzona została bowiem Klinika Rehabilitacji - gdyż na rynku świadczeń medycznych jest spore zapotrzebowanie na takie usługi. Zredukowano też liczbę zatrudnionych. Zrezygnowano z prowadzenia przez szpital kuchni, pralni i sprzątnia, zawierając umowy na świadczenie tego typu usług z wyspecjalizowanymi firmami prywatnymi. Takie rozwiązania organizacyjne pozwoliły znacznie zaoszczędzić wydatki i w odczuwalny sposób zmniejszyć koszty stałe placówki. Okres restrukturyzacji, który wystartował wiosną 2000 roku, zbiegł się z ogólnokrajową falą strajków pielęgniarek. Jednak już w lutym ub. roku zaobserwowano wśród pracowników szpitala wyraźny wzrost zaufania do działań zarządu macierzystej placówki, a także ponad 70-proc. zadowolenie pacjentów z poziomu fachowej opieki. Takie są bowiem wyniki anonimowej ankiety - przeprowadzonej ostatnio wśród chorych. Prawie trzy czwarte respondentów zadeklarowało zdecydowaną chęć polecenia innym usług tego szpitala, a wskaźnik niezadowolenia - według tej ankiety - wahał się w granicach 10 proc. Od początku istnienia Klinika obsługuje chorych z całego województwa łódzkiego. W 1970 roku włączona została

do pełnienia ostrych dyżurów w zakresie chirurgii urazowej narządów ruchu wśród ofiar wypadków komunikacyjnych. Ze statystycznych podsumowań wynika, że w pierwszych 30 latach leczono ogółem ponad 30 tys. pacjentów – w tym prawie 13 tys. dzieci i 18 tys. dorosłych. Wykonano w tym czasie 14,5 tys. zabiegów operacyjnych. W ostatnim okresie rozszerzono skalę medycznej pomocy m. in. o nowe rodzaje zabiegów – m.in. interwencje mikrochirurgiczne, resekcje anatomiczne kości z jednoczesną implantacją strzałki oraz wspomniane już wydłużanie kończyn. Od swych pierwszych dni Klinika prowadziła czynną działalność naukową. Prace badawcze koncentrowały się między innymi na:

- zapobieganiu zmianom zwyrodnieniowym w stawach
- wczesnym wykrywaniu i zapobieganiu kalectwu w przypadkach wrodzonych wad narządów ruchu
- stosowaniu tworzyw sztucznych w chirurgii ortopedycznej,

a ponadto:

- przydatności ultrasonografii w praktyce ortopedycznej
- artroskopii diagnostycznej i operacyjnej.

Głównym kierunkiem działania naukowego była i jest:

- patologia stawu biodrowego – w szczególności wrodzona dysplazja,
- łagodne zapalenie,
- choroba Perthesa,
- mięśniowo-powięziowe blizny mięśni pośladowych oraz przypadki wrodzonego i neurogennego zniekształcenia stopy.

Poza tym w polu zainteresowań lekarzy tego szpitala znajdują się zaburzenia wzrostu, problemy traumatologii narządów ruchu i chirurgii ręki, a także alloplastyka stawu biodrowego i kolanowego. Wielokierunkowe badania nad fizjologią, patomorfologią i biomechaniką stawu biodrowego, a także kolanowego wniosły szereg elementów poznawczych oraz praktycznych wskazań i zaleceń. W Klinice przy ulicy Drewnowskiej opisano przypadki unaczynienia zregenerowanej błony



maziowej, oraz opracowano własną metodę i technikę operacyjną w leczeniu przykurczów mięśni pośladowych. W badaniach nad przydatnością tworzyw sztucznych oceniono wartość tkaniny poliestrowej w rekonstrukcji więzadeł i ścięgien bezpochewkowych oraz trwałość jej zrostów w łożysku mięśniowym, kostnym i śródstawowym. W poradnictwie ortopedycznym dziecięcym, skupiono się na wczesnym wykrywaniu wrodzonej dysplazji stawu biodrowego z zastosowaniem badania ultrasonograficznego. Wykazano dużą przydatność metody Grafa w wykrywaniu niemych postaci dysplazji oraz rejestrowaniu przebudowy dysplastycznego stawu biodrowego pod wpływem leczenia. Oceniano również przydatność ultrasonografii w diagnostyce chorób barku, w zaburzeniach rozwojowych, zmianach degeneracyjnych i pourazowych łąkotec stawu kolanowego. Pracownicy Kliniki opublikowali w czasopismach naukowych 232 prace – w tym 35 w zagranicznych periodykach. Uczestniczyli w 21 zjazdach, kongresach i sympozjach w Austrii, Finlandii, Francji, Holandii, Japonii, Jugosławii, Rumunii, Szwajcarii, Szwecji, USA i na Węgrzech. Brali udział w zorganizowaniu dwóch zjazdów naukowych w Łodzi – w latach 1966 oraz 1984. Klinika gościła wielu wybitnych ortopedów polskich i zagranicznych – jak np. profesorów: G. Chapchala, M. Mittelmeiera, H. Mau, K. F. Schlagela, R. Grafa, M. Vastamäkiego, P. Masse'a, G. Ruppa, R. Schedla, G. Lenarta, G. Solonena. Wymiana zagraniczna z najbardziej renomowanymi ośrodkami naukowymi na poszczególnych kontynentach - w tym z Australią, USA, Austrią i Niemcami - została zintensyfikowana w minionych latach z inicjatywy prof. M. Syndera. Dzięki tym kontaktom, praktycznie każdy pracownik Kliniki może odbyć szkolenie lub staż w wybranym ośrodku naukowym na świecie. Zorganizowane ostatnio międzynarodowe sympozjum ortopedii dziecięcej poświęcone było chorobie Perthesa. Przyjechało ponad 250 gości zarówno z Polski jak i zagranicy, w tym największe autorytety – profesorowie: A. Herring z USA, M. Benson i A. Catterall z Wielkiej Brytanii, a także wybitni specjaliści z Austrii, Niemiec, Izraela, Norwegii, Czech i Kanady. Na przełomie lat 80 i 90-tych zapoczątkowana została w Polsce transformacja ustrojowa. Pociągnęła za sobą ogromne zmiany

nie tylko w życiu społeczno-politycznym i gospodarczym, ale także w dziedzinie usług medycznych. Jesteśmy świadkami olbrzymiego, dynamicznego postępu, który obejmuje nie tylko metody leczenia i diagnozowania – lecz również cały system organizacyjny. Obok sektora publicznego jest także sektor prywatny – niepubliczny. Centralne sterowanie uległo przekształceniom. Rośnie silna, wzajemna konkurencja, również w dziedzinie wysoko wyspecjalizowanych usług medycznych.

DZIERŻYŚLAW PROSNAK

## KAPITALIZM BEZ KAPITAŁU

Słuchając na spotkaniu w łódzkiej Izbie Rzemieślniczej wypowiedzi czynnych rzemieślników, od dwudziestu i więcej lat prowadzących własne zakłady, odnieśliśmy wrażenie, że w traktowaniu środowiska przez państwo niewiele się zmieniło. A jeśli już, to na gorsze... Może dlatego daje się też zauważyć powrót do branżowych struktur gospodarczych, kilka czy kilkanaście lat temu zlikwidowanych jako „niesłuszne”: hurtowni i spółdzielni rzemieślniczych.

- Tak już jest, że w Polsce musimy najpierw zniszczyć, by potem na gruzach budować to samo... - skomentował to wiceprezes izby, prowadzący zakład cukierniczy Piotr Karkowski. Powrót do współpracy zakładów i tworzenia obsługujących je struktur wymuszają realia gospodarcze. Pojedynczy zakład np. w branży piekarniczej, kupując kilka ton mąki miesięcznie, nie jest znaczącym kontrahentem dla zakładów zbożowych. Co innego hurtownia, obsługująca kilkadziesiąt takich zakładów - przy dużych zamówieniach łatwiej wynegocjować korzystne ceny. To dotyczy surowców w każdej branży.

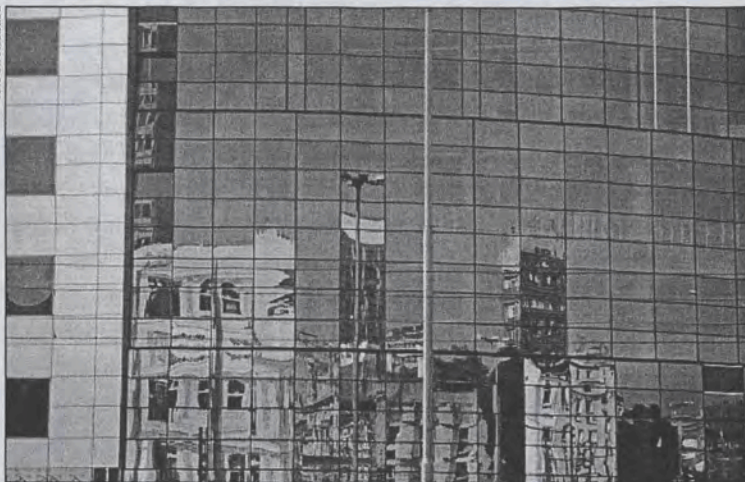
## OBCE PIENIĄDZE

Zachodzące zmiany prawa i systemu gospodarczego w Polsce nie są nastawione na poprawę kondycji małych i średnich przedsiębiorstw, które na całym świecie decydują o dobrobycie społeczeństwa - zauważają rzemieślnicy. - Zaczęto budować kapitalizm bez kapitału. Zamiast stworzyć warunki niewielkim firmom, aby w ciągu kilku lat wzmocniły się finansowo na tyle, by móc wesprzeć wymagające restrukturyzacji i prywatyzacji „giganty”, zaczęto sprzedawać zachodnim koncernom duże przedsiębiorstwa. Konsekwencją takiego podejścia jest wpływ zarobionych przez nie pieniędzy na zachód... Poza tym istotna część dużych zakładów nie utrzymała się na rynku - nastąpiła ich „restrukturyzacja przez likwidację”. Szczególnie dotkliwe jest to w Łódzkiem. Dlatego rzemieślnicy uznają za niezbędne wprowadzenie całego pakietu zmian, promujących rozwój przedsiębiorczości - a przede wszystkim małych i średnich firm.

## PODATKI I BIUROKRACJA

Sprzeciw drobnych przedsiębiorców budzą zasady podatkowe. Maksymalna stawka opodatkowania dla osób prawnych wynosi obecnie 28 proc., a dla prowadzących działalność gospodarczą osób fizycznych

foto K. Kaszuba



- 40 proc. - To stawka opodatkowania dla osób o znacznych dochodach, przeznaczających je na cele konsumpcyjne, a nie na rozwój firm i inwestycje - uważają rzemieślnicy, postulując zrównanie stawek podatkowych do 28 proc. obecnie i 22 proc. docelowo w 2004 r. W ocenie rzemieślników, najbardziej racjonalnym rozwiązaniem, mogącym przyczynić się do wzrostu zatrudnienia, byłoby wprowadzenie ulg inwestycyjnych dla osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą - ale wyłącznie z tytułu inwestycji tworzących nowe miejsca pracy. Dziś małe i średnie firmy nie mają żadnych preferencji w finansowaniu (np. w uzyskaniu kredytów czy choćby ich poręczeń), a środki pomocowe trafiają głównie do administrujących nimi instytucji, w niewielkim stopniu zaś do zakładów rzemieślniczych. Wątpliwości może budzić objęcie podatkiem VAT (pomijając już to, że w Polsce jest on wyższy niż w krajach Unii Europejskiej, gdzie wynosi średnio 17,5 proc.) zakładów o przerobie rocznym 10 tys. euro, czyli ok. 3 tys. zł miesięcznie oraz wprowadzenie kas fiskalnych nawet w jednoosobowych firmach o rocznym przerobie 20 tys. zł (przy dochodowości na poziomie 10-15 proc.) Protesty rzemieślników budzi też rozwój biurokracji, manifestujący się np. rozbudowywaniem sprawozdawczości ubezpieczeniowej i fiskalnej. - Kiedyś rzemieślnik mógł sam prowadzić księgowość, opanowując obowiązujące go przepisy. Teraz praktycznie jest to niemożliwe, konieczne jest wynajmowanie biur rachunkowych, a to znacznie podraża koszty - twierdzą przedsiębiorcy.

#### KODEKS PRACY DO KOREKTY

W ocenie rzemieślników niezbędna jest nowelizacja prawa pracy, przede wszystkim uelastycznienie form zatrudnienia, tzn. stosowanie umów cywilno-prawnych. Istnieje również konieczność zwiększenia limitu godzin nadliczbowych przy obniżeniu stawek za pracę w tym czasie. Złagodzenia wymagają też znaczne obciążenia pracodawców obowiązkami socjalnymi i innymi, wynikającymi z przepisów prawa pracy, np. ponoszenie kosztów wstępnych i okresowych badań lekarskich i przede wszystkim - finansowanie 35 dni choroby pracownika z własnych

środków pracodawcy a nie przez ZUS. - Choroba pracownika jest w zakładzie zatrudniającym 2-3 osoby bardzo droga - zauważył ekspozel, prezes łódzkiej Izby Rzemieślniczej Paweł Saar, prowadzący zakład instalacji elektrycznych. - Inaczej jest w firmach zatrudniających setki osób, gdzie pracę wykonywaną normalnie przez chorującego można stosunkowo łatwo rozłożyć na zdrowych. Jakie zmiany w kodeksie pracy proponuje Związek Rzemiosła Polskiego? - spytaliśmy. - Uważamy, że jest dobry klimat dla uregulowania spraw utrudniających funkcjonowanie mikro i małych przedsiębiorstw - odpowiedział nasz rozmówca. - Doświadczenia innych krajów wskazują, że w właśnie w takich firmach kryje się szansa na rozwój i ruszenie gospodarki. Dziś zgodnie z kodeksem pracy, nawet zakład zatrudniający jednego pracownika zwalniając go musiałby mu płacić np. trzymiesięczną odprawę... Trudno to sobie wyobrazić! Inne sprawy: nie można regulować czasu pracy, np. dla świadczenia usług w soboty, a konieczność podpisania umowy na czas nieokreślony po dwóch umowach krótkoterminowych utrudnia zatrudnianie pracowników sezonowych.

#### **NOWE FORMY SAMORZĄDU**

Ustawa o Trójstronnej Komisji ds. Społeczno-Gospodarczych i wojewódzkich komisjach dialogu społecznego po raz pierwszy w polskim prawodawstwie uznała samorząd rzemieślniczy za samorząd gospodarczy. W skład komisji weszli przedstawiciele rządu, NSZZ „Solidarność” i OPZZ po stronie pracowników oraz Konfederacji Pracodawców Polskich, Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych i Związku Rzemiosła Polskiego po stronie pracodawców. Najwyraźniej po latach lekceważenia samorząd rzemieślniczy „powraca do łask”. Na marginesie: niezbyt dokładnie wiadomo, co to jest „samorząd gospodarczy”. W listopadzie 1993 r. wniosłem do parlamentu projekt odpowiedniej ustawy - powiedział Paweł Saar. - Nie została uchwalona; w następnej kadencji też nie. Pomimo to w wielu dokumentach wymienia się „samorząd gospodarczy”, choć nie jest on „umocowany” ustawą. Mam obietnicę Jacka Piechoty, ministra gospodarki, że w tej kadencji

ustawa będzie uchwalona. Inne sprawy będą załatwiane na szczeblu regionalnym. „Trójstronna ustawa” pozwala na powstanie wojewódzkiej komisji dialogu społecznego. Konieczne wydaje się też ustalenie takich zasad preferencyjnych przy wojewódzkich zamówieniach publicznych, aby zlecenia częściej wykonywały lokalne przedsiębiorstwa, działające w Łodzi i województwie.

## CECHY I IZBY

Ustawa z 1989 r. zniosła obligatoryjną przynależność zakładów do cechów i izb rzemieślniczych. Dla wielu struktur organizacyjnych zapis ten okazał się katastrofalny. Do łódzkiego cechu rzemiosł odzieżowych i włókienniczych należało wówczas 5,5 tys. zakładów - większość odeszła, dziś cech zrzesza zaledwie około 40 firm. - Zwolennicy tego rozwiązania argumentowali, że w wielu krajach zachodnich, w tym np. w USA, nie ma obligatoryjnego zrzeszania się - przypomniał Paweł Saar. - Zapomnieli, że jest to tylko uregulowanie formalnie. W rzeczywistości np. banki przed udzieleniem kredytu pytają o opinię środowiska zawodowego i ktoś bez jego poparcia ma niewielkie szanse na otrzymanie pieniędzy... I w Polsce, jak obserwujemy, rzemieślnicy powoli powracają do izb i cechów. Sprzyja temu ubiegłoroczna nowelizacja ustawy o rzemiośle. Zgodnie z jej zapisami tylko rzemieślnicy należący do cechów i izb mogą prowadzić naukę zawodu. Wejście Związku Rzemiosła Polskiego do trójstronnej komisji „dialogowej” oznacza dalszy wzrost znaczenia zdania środowiska. My jako izba uważamy, że obrona interesów środowiska polega na dialogu, dyskusowaniu z władzą - stwierdził prezes P. Saar. - W środowisku rzemieślniczym istnieją radykałowie, którzy uważają, że jeśli się wyjdzie na ulicę, to coś się uzyska... My jako organizacja uważamy, że to nie jest metoda, bo „działania uliczne” prowadzą do destrukcji państwa, a nie jego budowy. Co prawda doświadczenia ostatnich lat zdają się wskazywać, że to właśnie „działania uliczne” były najskuteczniejszą formą dialogu różnych środowisk z rządem, jednak w łódzkiej Izbie Rzemieślniczej mają nadzieję, że teraz będzie inaczej. Tym bardziej, że opracowanie „trójstronnej ustawy” to niejako spełnienie wymogów Unii Europejskiej.

Traktat z Maastricht nakazuje dialog społeczny. - Ten dialog będzie i u nas miał ogromne znaczenie - uważają rzemieślnicy.

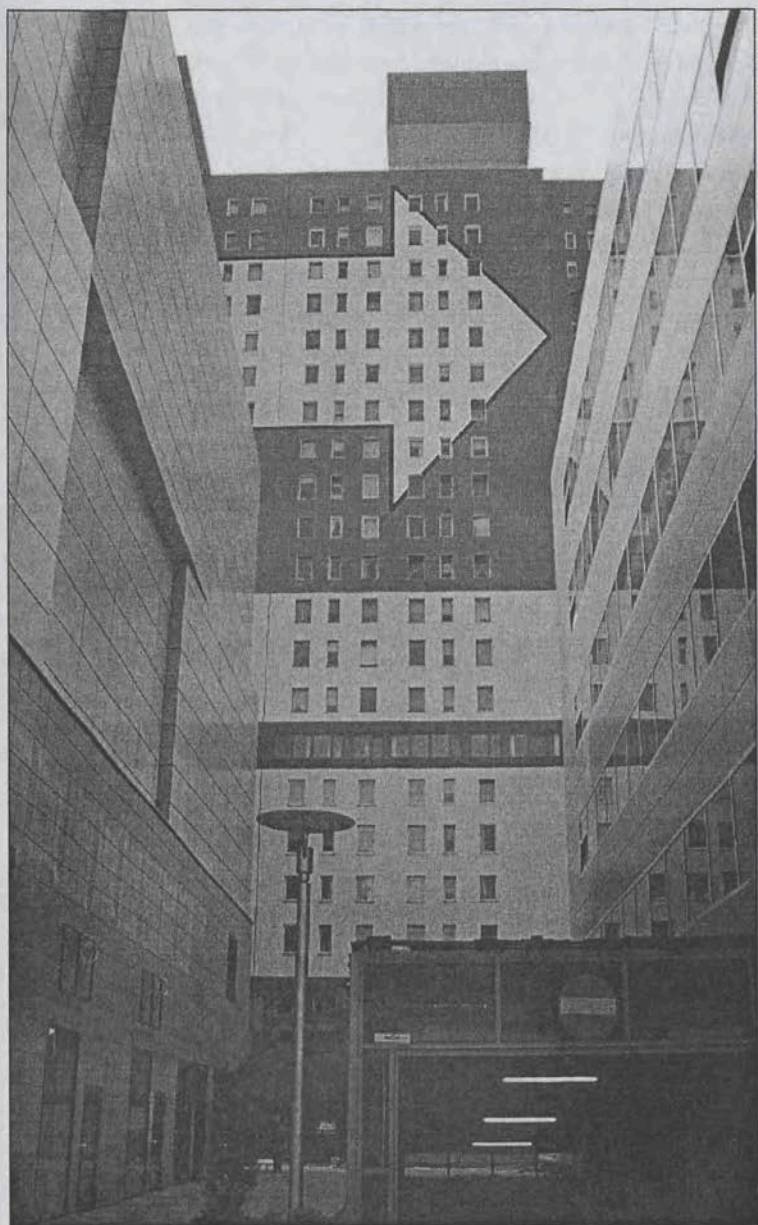
#### ISO 9001 DLA IZBY

Wielka polityka - nawet na szczeblu regionalnym - rządzi się swoimi prawami. Codziennosc jest bardziej pragmatyczna... Po 9-miesięcznej procedurze Izba Rzemieślnicza w Łodzi uzyskała certyfikat ISO 9001. Certyfikaty takie uzyskały do tej pory tylko trzy izby rzemieślnicze w Polsce: w Gdańsku, Olsztynie i Słupsku. - W ślad za tym w Gdańsku certyfikaty jakości ISO otrzymało 70 firm rzemieślniczych, następnie czekają w kolejce... W Łodzi sytuacja jest zupełnie inna. Na razie rzemieślnicy nie wykazują nimi większego zainteresowania. Zapominają, że gdy znajdziemy się w Unii Europejskiej, nikt nie będzie chciał z nimi rozmawiać. U większości naszych rzemieślników można zauważyć działanie w terażniejszości, brak im strategii rozwoju firm na 10-20 lat. Tymczasem bez systemów zarządzania jakością ISO rzemiosło nie będzie się liczyło... - powiedział nam Janusz Chmielewski, dyrektor Izby Rzemieślniczej w Łodzi. Czy uzyskanie certyfikatu ISO było izbie potrzebne? Wszystkie przesłanki wskazują, że wręcz niezbędne... W ocenie kierownictwa łódzkiego samorządu rzemieślniczego mniej ważna jest odpowiedź na pytanie „kiedy”, a znacznie istotniejsza „jak” Polska wejdzie do UE. Przezorność każe przygotować się na konfrontację z trudnym, agresywnym i wyniszczającym rynkiem europejskim. Uzyskawszy certyfikat ISO izba pomoże zakładom rzemieślniczemu w jego uzyskaniu. Na początek ma być przeprowadzone szkolenie dla 6-7 zainteresowanych firm.

#### ŻYJĄ ZE SZKOLEŃ

Niezależnie od procedur związanych z uzyskaniem certyfikatu Izba Rzemieślnicza w Łodzi osiągnęła już wysokie notowania na rynku szkoleń. - Chcemy być najlepszą instytucją szkoleniową na terenie Łodzi - stwierdził dyr. J. Chmielewski. - Dziś organizacja szkoleń daje około 30 proc. wpływów do naszego budżetu. Zgodnie z ustawą o rzemiosle nadzór nad szkoleniem zawodowym w zakładach prowadzić mają izby





i cechy. W łódzkiej izbie pracuje 15 osób, tymczasem w Łódzkiem szkolenie zawodowe prowadzone jest w 5 tysiącach zakładów rzemieślniczych, około 4 tys. osób rocznie zdaje egzaminy czeladnicze i mistrzowskie (w łódzkiej izbie przy ul. Moniuszki działa ponad 80 komisji egzaminacyjnych z różnych branż). W tej sytuacji szkoleniem zawodowym młodzieży opiekować się będą przede wszystkim cechy. Izbie pozostaje przygotowanie podstawowych dokumentów osób rozpoczynających naukę i przeprowadzenie egzaminów końcowych, dających uprawnienia czeladnicze lub mistrzowskie. Łódzka Izba Rzemieślnicza nie ogranicza się jednak do tego. Zorganizowano Centrum Doradztwa, Promocji i Szkolenia Zawodowego, współpracujące z urzędami pracy, organizujące wiele szkoleń dla bezrobotnych. Ich organizatorzy wyłaniani są w drodze przetargów, jednak wiele z nich wygrywa rzemieślnicze Centrum, dysponujące odpowiednią bazą lokalową i techniczną oraz kadrą dydaktyczną. O poziomie oferowanych szkoleń najlepiej świadczy fakt, że łodzianie wygrywają przetargi i na terenach, nie będących „pod opieką” Izby Rzemieślniczej w Łodzi. Ostatnio np. wygrano przetarg na adresowane do bezrobotnych z terenów wiejskich szkolenie „Własna firma” w Kutnie - a tamtejszy cech należy do izby warszawskiej...

### KONIECZNOŚĆ ROZWOJU

Gdy w 1989 r. zliberalizowano przepisy gospodarcze, znosząc obligatoryjną przynależność właścicieli zakładów rzemieślniczych do cechów i izb, mogło się wydawać, że tracą one rację bytu. Tymczasem w zmieniających się realiach gospodarczych rzemieślniczy samorząd znalazł swoje nowe miejsce. - Odpowiedzialność za losy instytucji, która powstała 72 lata temu z woli samych rzemieślników, zmusza i nas do rozwoju. Temu ma służyć uzyskanie przez nas certyfikatu ISO 9001 - podkreślił dyr. J. Chmielewski.

BARBARA WRZESIŃSKA

## GORZKI BILANS

Z trudem przyszło mi podjąć decyzję o udziale w konkursie ogłoszonym przez Ośrodek KARTA oraz fundację im. Leopolda Kronenberga na temat „Prywaciarze we wspomnieniach i fotografiach 1945 - 1989”. A to, dlatego, że osobiście uczestniczyłam w wydarzeniach z lat 1946 - 1951 i zachowałam z tego okresu bardzo przykre wspomnienia, do których nie bardzo chciałam wracać. W końcu jednak to już historia, a pragnę oddać sprawiedliwość pamięci moich rodziców i środowiska, do którego należeli. Chodzi tu o rzemieślników branży masarsko-wędliniarskiej.

### METEOR

Środowisko to w latach 1945 - 1952, niczym meteor, przemknęło przez życie gospodarcze Polski, aby się odrodzić dopiero po roku 1990. A składało się ono z ludzi nietuzinkowych, energicznych, przedsiębiorczych i pracowitych jak mrówki. Pamiętam doskonale, że dzień pracy moich rodziców zaczynał się o 5,6 rano, a kończył bardzo często, zwłaszcza pod koniec tygodnia, o drugiej, trzeciej w nocy. Pracowali w warunkach niezwykle trudnych, zwłaszcza latem. Zarówno przed wojną, jak i w pierwszych powoje-

nnych latach nie było jeszcze lodówek. A towar musiał być świeży, nie miał prawa zmienić barwy. I dziwna sprawa, nie mogę sobie przypomnieć przypadków salmonelli, czy masowych zatruć o innym podłożu. Pamiętam natomiast „lodziarzy”, którzy wozami zapełnionymi ogromnymi bryłami lodu, zasypyanymi najpierw trocinami, a następnie okrywyanymi szczelnie plandekami, krążyli po ulicach Łodzi, dostarczając sklepom spożywczym każdą niezbędną ilość lodu. Pamiętam również niezliczone ilości sody, mydła „Schichta” i gorącej wody zużywaney codziennie wieczorem do szorowania wszystkich urządzeń sklepowych. I nie robiła tego żadna „panna służąca”, ani pomoc domowa. Robiła to sama „majstrowa”. Czynności te należały do codziennych zajęć mojej matki. Podział ról w rodzinie wyglądał następująco: ojciec zajmował się skupowaniem surowca i produkcją wędlin, a mama była w jednej osobie ekspedientką, rębaczem, gospodynią domową łącznie z gotowaniem, sprzątanym i praniem, a nade wszystko matką zajmującą się wychowywaniem dzieci. Kiedy ona to wszystko robiła? Doby nie starczało. Jak mówi jej młodszy wnuk - Michał - babcia była małym parowozikiem, potrafiącym trzymać w garści sprawy całej rodziny. Przy pomocy wszystkich członków rodziny rzemieślnicy przetwórstwa mięsnego dorabiali się szybko. Świadczy o tym nigdy nie wysłany pozew do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, który napisałam w roku 1990 zgodnie z relacją mojej matki - Heleny Ciupińskiej. Jak z niego wynika rzemiosło przetrwało w niezłej kondycji nawet wielki kryzys przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Na podstawie doskonałej znajomości charakterów moich rodziców wiem, że polskimi rzemieślnikami nie kierowała wyłącznie chęć zysku. Główną siłą sprawczą ich wyzwolonej w okresie międzywojennym energii była ciężka droga życiowa i zdecydowana wola społecznego awansu. Pragnęli przekroczyć ten Rubikon, którym dla ludzi z tzw. nizin społecznych było przejście do klasy średniej. Czy mogło im się to udać? Gdyby nie wybuch wojny w 1939 roku, a następnie gwałtowna likwidacja tej gałęzi rzemiosła na przełomie lat 1940 i 1950 z pewnością mogliby liczyć na powodzenie, ale tylko pod jednym względem - finansowym. Pozostawała jeszcze do pokonania granica

intelektualna. Zdecydowana większość rzemieślników miała na ogół ukończone szkoły podstawowe, następnie trzyletnią naukę zawodu w zakładach prywatnych, połączoną z wieczorowymi kursami teoretycznymi i po zdaniu egzaminów czeladniczych perspektywę dalszej pracy aż do przystąpienia do egzaminów mistrzowskich. Egzaminy te odbywały się przed komisjami w Izbach Rzemieślniczych. Przed wojną, po zdaniu egzaminu czeladniczego można już było otwierać własne warsztaty. Po roku 1945 uzyskanie koncesji uzależniono od posiadania dyplomu mistrzowskiego. Stąd załączony w kserokopii dyplom mistrzowski mojego ojca nosi datę 28.02.1946 r. Od niego bowiem zależała koncesja na prowadzenie działalności gospodarczej.



## KORZENIE

Życiorys mojego ojca odbiega nieco od przedstawionego wyżej schematu. Był pomorzanie. Urodził się 21 stycznia 1904 roku we wsi Góra, powiat Strzelno jako syn Agnieszki i Józefa Ciupińskich - rolników. Rodzina była wielodzietna. Miał cztery siostry i trzech braci. Jako pruski poddany musiał przejść szczególną próbę odporności. Jego rodzice byli gorącymi patriotami. Odczuł to zwłaszcza po pójściu do szkoły. Po buncie polskich dzieci we Wrześni na tych terenach jeszcze bardziej zaostrożono proces germanizacji, zapoczątkowany w XIX wieku przez „Żelaznego Kanclerza” - Otto Bismarcka. Przekładając to na język praktyczny oznaczało, że za każde polskie słowo w pruskiej szkole uczeń otrzymywał „grzmoty”, zaś w domu otrzymywał je za każde słowo wypowiedziane po niemiecku. Tato opowiadał mi to z humorem, ale może właśnie dlatego nigdy nie podniósł ręki na żadne swoje dziecko. Jedno pruskiej szkole oddać należy. Wysoki poziom nauczania. Ojciec, właściwie przez całe życie lepiej czytał teksty pisane gotykiem, tłumacząc je automatycznie na polski, niż drukowane alfabetem łacińskim. Mieszkaliśmy na pograniczu dwóch łódzkich gmin: Chojen i Rudy Pabianickiej. Na Chojnach przeważała polska biedota, która kosztem najwyższych wyrzeczeń kupowała tanie „place” i tam kleciła byle jakie domki, aby w razie bezrobocia zapewnić swym rodzinom dach nad głową. Natomiast na Rudzie Pabianickiej budował się średni dozór techniczny pochodzenia niemieckiego - zatrudniony głównie w fabryce Geyera. Zresztą, mój ojciec sam odnajmował cały parter takiego domu łącznie ze sklepem od Niemca p. Erhardta, z którym swobodnie „szwargotał” w jego ojczystym języku. Dom ten, później, po śmierci właściciela odkupili moi rodzice. W roku 1939, po zajęciu Łodzi przez Niemców ojciec, na całe pięć lat „zaszył się” w charakterze robotnika w widzewskiej manufakturze, noszącej wówczas nazwę Zellgarn. Pora jednak wrócić do pruskich korzeni. Uplynie wkrótce sto lat, od kiedy rodzina mojego ojca osiedliła się ostatecznie w Wenecji opodal prasłowiańskiego grodziska w Biskupinie. Prawo w zaborze pruskim zabraniało rozdrabniania gospodarstw. Zwyczajowo zostawał na nim albo najstarszy, albo najmłodszy syn.

Dziewczęta, wychodząc za mąż dostawały wyprawy, zaś synowie konkretny „fach do ręki”. Stąd zawód mojego ojca. Oddano go bowiem na naukę do mistrza Józefa Hagensee w Barcinie. Po trzech latach 20 września 1922 roku, już w wolnej Polsce zdał egzamin czeladniczy przed Komisją Izby Rzemieślniczej w Bydgoszczy. Po okupacji, na gospodarce w Wenecji składającej się z 14,5 ha ziemi oraz domu i budynków gospodarczych osiadł najmłodszy z braci - Tadeusz. Do tej pory, przez dom w Wenecji przewinęły się cztery pokolenia rodziny Ciupińskich. Obecnie zajmuje go wdowa po Tadeuszu - Władysława, a ziemię uprawia jeden z synów Tadeusza, który w pobliżu wybudował duży, nowoczesny dom. Fascynująca jest taka ciągłość pokoleń. Mój ojciec, po zdaniu egzaminu czeladniczego odbył jeszcze służbę wojskową w garnizonie w Białymstoku i nigdy już nie wrócił w rodzinne strony. Po wojsku zatrzymał się w Łodzi, gdzie zaczął pracę w dużej, znanej firmie „Zjednoczeni” przy ówczesnej ulicy Głównej - obecnie Al. im. Józefa Piłsudskiego. W tej firmie był bardzo cenionym i dobrze zarabiającym pracownikiem. O wysokości jego zarobków świadczy fakt, że w ciągu kilku lat zdołał zaoszczędzić kwotę wystarczającą na kupno działki przy ulicy Płytkiej Nr 8 i rozpoczęcie budowy domu z warsztatem i sklepem. Budowa się przeciągała, rodzice więc w roku 1931 wydzierżawili parter budynku przy ulicy Zgodnej Nr 3 w sąsiedztwie ulicy Płytkiej. Bardzo przywykli do tej lokalizacji, podobnie jak i ich klienci. W końcu wykupili tę posesję na własność. Na sąsiedniej ulicy - Heleny, w roku 1936 uruchomili ponadto sklep filialny. Ten pomyślny okres skończył się wraz z wybuchem wojny w 1939 r. W czasie okupacji handlem zajmowali się volksdeutche. W naszym sklepie, jeden z niemieckich piekarzy uruchomił filię. My, w pięć osób zostaliśmy przesiedleni do małego mieszkania na poddaszu. Okres okupacji nie jest jednak tematem tej relacji. Zostawmy go zatem tak, jak zachował się w pamięci większości Polaków - jako pięcioletniej „czarnej dziury” w ich życiorysach.

## ROZKWIT I UPADEK

Dla rzemieślników najtrudniejszy był rok 1945. Był bowiem rokiem powszechnej, powojennej nędzy. Należało wyremontować i uzupełnić wyposażenie sklepów i warsztatów, przygotować się do kupna surowców produkcyjnych i nikt nie miał na to środków. Wszystko ruszyło w oparciu o drobne pożyczki. Pożyczano od kogo się dało: krewnych, przyjaciół, znajomych, sąsiadów. Niekiedy były to sumy drobne, ale wspomagające ogromnie. Nędzarz ratował nędzarza. Wtedy była to prawdziwa, ludzka solidarność. Lata 1946, 47 i 48 były okresem rozkwitu rzemiosła masarskiego w Polsce, ale już wtedy zaczęły szaleć różne komisje i kontrole. Warto tu wspomnieć o tzw. trójkach społecznych. Najgroźniejsze były jednak Urzędy Skarbowe, które z czasem wprowadziły bieżącą kontrolę. Zobowiązano rzemieślników do uproszczonej rachunkowości prowadzonej z dnia na dzień. Chodziło o bieżące notowania każdego wpływającego lub wypływającego z zakładu rachunku. Najmniejsza pomyłka powodowała finansowe sankcje. To właśnie z tego powodu miałam takie opory w przystąpieniu do konkursu „Karty”. W 1949 r. byłam już w klasie maturalnej. Tato, znacznie wcześniej powierzył mi obowiązek prowadzenia księgi rachunkowej. Wczesną wiosną 1949 r. - rankiem podrzucił mi do wpisania kolejny rachunek. Bardzo spieszyłam się do szkoły i przy tym wpisie popełniłam jakiś błąd. Dziś już nie pamiętam na czym on polegał. Ten błąd kosztował moich rodziców 500 000 zł „domiaru”. Przez długie lata żyłam z kolcem w sercu. Byłam przeświadczona, że to ja spowodowałam wszystkie nieszczęścia mojej rodziny. To doświadczenie nauczyło mnie jednak na całe życie solidności i odpowiedzialności. Muszę oddać sprawiedliwość moim rodzicom, którzy nigdy ani słowem nie obwinili mnie za tamtą dramatyczną pomyłkę. Oczywiście, po wielu latach zorientowałam się, że ten błąd był tylko pretekstem, gdyż w tamtym czasie „domiary” otrzymała większość przedsiębiorstw masarskich, i że było to po prostu preludium do likwidacji tego sektora prywatnego. Zresztą, w polityce władz centralnych ściśle to skorelowano z gospodarką rolną. Wprowadzono obowiązkowe dostawy, w tym żywca. Nie mogła więc pozostać



żadna szczylna umożliwiająca rolnikom sprzedaż trzody w prywatne ręce. W taki oto sposób moi rodzice znowu zostali zdeklasowani. Pierwszy raz przez Niemców w roku 1939, drugi - przez Polaków w roku 1951. Od roku 1952 ojciec został zatrudniony w charakterze pracownika ekspedycji Łódzkiej Wykończalni Przemysłu Bawełnianego w Łodzi, przy ul. 3-go Maja. Przepracował tam aż do osiągnięcia wieku emerytalnego w grudniu 1969. Niestety, emeryturą cieszył się niedługo, zmarł po pięciu latach, 2 stycznia 1975 r. z powodu ogólnej niewydolności układu krążenia. W ciągu wielu lat po likwidacji przedsiębiorstwa rodzice byli w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej. Trudno nie zrozumieć ich uczuć: goryczy i gniewu, ale nigdy nie było w nich nienawiści. W gruncie rzeczy, w końcowym rozrachunku to oni zostali zwycięzcami. Największym bowiem życiowym marzeniem mych rodziców było pełne



wykształcenie córek. I to właśnie one - następne pokolenie - przekroczyło ten Rubikon, którego nigdy nie mogli przekroczyć rodzice. Wszystkie trzy córki Heleny i Floriana Ciupińskich znalazły się w warstwie inteligentkiej i to na dosyć wysokich pozycjach społecznej drabiny.

#### KOLEJNE POKOLENIA

Najstarsza córka Barbara Krystyna Wrzesińska, urodzona w 1930 r. ukończyła w 1952 r. Filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim, otrzymując dyplom I stopnia - czyli bez tytułu naukowego. To zdopinguwało ją do kontynuowania nauki po odchowaniu dwóch synów, urodzonych w latach 1954 i 1958. Podjęła studia w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego i dnia 6 maja 1972 r. uzyskała dyplom magistra dziennikarstwa. Druga córka - Elżbieta Ciupińska-Bogusławska, urodzona w roku 1941 ukończyła Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej, uzyskując w roku 1966 dyplom magistra inżyniera. Pracowała na kierowniczych stanowiskach w przemyśle przetwórczym, a następnie w administracji państwowej. Najmłodsza córka Borzysława urodzona 1943 r. obrała nieco inną drogę. Po ukończeniu 18 lat podjęła pracę w Łódzkiej Wytwórni Filmowej i kontynuowała naukę systemem wieczorowym. Z biegiem czasu awansowała stopniowo w zawodzie, kończąc karierę z tytułem II scenografa. Pracowała z wybitnymi polskimi reżyserami między innymi z J. Hoffmanem, K. Zanussim, K. Kutzem. Jej nazwisko - Borzysława Chmielewska figuruje m. in. na czołówkach filmów np. „Potop” i „Z dalekiego kraju”. Nie gorzej wygląda droga życiowa wnuków. Najstarszy z nich - Jacek Wrzesiński niestety, odszedł przedwcześnie. Natomiast jego młodszy brat Andrzej Piotr Wrzesiński ukończył 17 lat temu Politechnikę Łódzką z dyplomem magistra inżyniera i obecnie jest cenionym specjalistą w zakresie inżynierii ochrony środowiska. Syn młodszej córki Elżbiety - Michał Bogusławski studiował medycynę i obecnie jest lekarzem okulistą. Dobrze zapowiada się również trzecie pokolenie. Dwoje starszych dzieci Andrzeja Wrzesińskiego: Bartosz i Aleksandra ukończyło szkołę podstawową ze świadectwami opatrzo-

nymi wyróżniającymi paskami. Oboje są już obecnie w liceach ogólnokształcących. Najmłodsza prawnuczka Kamilka Wrześcińska zdała w b.r. do drugiej klasy i jej opisowe świadectwo uświadomiło rodzinie, że ma do czynienia z nieprzeciętnym dzieckiem. Przytoczone fakty udowadniają, że potomkowie, w gruncie rzeczy drobnych rzemieślników, nie zmarnowali szans jakie przyniosło im powojenne 50-lecie i zgodnie podążają drogą wytyczoną przez rodziców, dziadków i pradziadków. Po podjęciu pracy zawodowej „zakasali rękawy” i rzetelnie wzięli się do roboty, nie licząc na mannę z nieba w postaci ustawy uwłaszczeniowej. Dziś wszyscy, łącznie z wnukami mają notarialnie kupione mieszkania i średniej klasy samochody. Oczywiście nastąpiło to kosztem ogromnych wyrzeczeń, skrupulatnej oszczędności, pożyczek bankowych. Pożyczki mają jednak to do siebie, że trzeba je spłacać. Ironia historii polega na tym, że nasi rodzice mieli pieniądze, czasem nawet spore, lecz nie mieli wykształcenia, my natomiast mamy cenzusy, lecz nie mamy pieniędzy. Jak, i z kogo powstać ma ta oczekiwana klasa średnia?

Organizator konkursu „Prywaciarze - wspomnienia i fotografie” jako cezurę wymienia lata 1945 - 1989. nie mógł bowiem wiedzieć, że do tej pory istnieją zadawnione sprawy, jeszcze z lat pięćdziesiątych, które nie wiadomo czy kiedykolwiek będą załatwione. Zresztą dotyczy to również pewnej grupy obywateli z okresu międzywojennego - posiadaczy obligacji Pożyczki Narodowej. Jeśli chodzi o rzemieślników to myślę o ich zawłaszczonych oszczędnościach w latach pięćdziesiątych, zdeponowanych na tzw. Książeczkach Inwestycyjnych. Jeśli zaś chodzi o obligacje to rzecz jest oczywista. Istnieje ciągłość władzy państwowej i aktualny rząd powinien wywiązać się z obliżu międzywojennego poprzednika. Jestem jednak głęboko przekonana, że po transformacji ustrojowej, czyli prawie przez 10 lat nic takiego nikomu do głowy nie przyszło. Nie ma wykazu właścicieli jednych i drugich papierów wartościowych, nie policzono zatem również łącznej kwoty tych wierzytelności. I trudno się temu nie dziwić. Rząd jaki był każdy widział. Minister Edukacji Narodowej nie potrafił przeprowadzić najprostszej operacji

uproszczonej rachunkowości i podliczyć dwóch rubryk: „winien”, „ma”. Podobnie było z byłym ministrem zdrowia, prezesem ZUS, reformą administracji. „Genialnych” pomysłów było zresztą więcej. A najlepszy z nich to zabawa w św. Mikołaja. Główny kandydat prawicy na prezydenta, przy pomocy swego sejmowego lobby przeprowadził tzw. ustawę uwłaszczeniową, zgodnie z którą lokatorzy mieli za darmo otrzymywać mieszkania, zaś rolnicy ziemię. Nie ważne, że po drodze złamano zapisy Konstytucji, prawa własności komunalnej i prawo spółdzielcze. Ważne, że kandydat na spotkaniach, będzie mógł mówić - chciałem wam dać, ale „komuna” nie pozwoliła. I w tym świetle wydaje mi się, że już nie długo ośrodek Karta będzie miał temat następnego konkursu - „Prywaciarze w latach 1990-2000”. Podobno licznie już „padają” z powodu nadmiernych obciążeń. Z taką to, niezbyt pomyslną perspektywą weszliśmy w wiek XXI.

EWA ŻUCHOWSKA  
ŁÓDZKI OGRÓD  
ZOOLOGICZNY

Historia zwierzyńców Łodzi zaczyna się w XIX wieku. Pierwsze zwierzyńce powstawały na prywatnych terenach ogrodowo - parkowych, właściciele jednak udostępniali je szerszej publiczności. W parku Grohmana znajdowały się jelenie, sarny, wilki, a nawet niedźwiedzie. W latach pięćdziesiątych Geyerowie sprowadzili małpy do zwierzyńca fauny krajowej. Znana ekspozycja ptaków egzotycznych była własnością fabrykanckiego rodu Scheiblerów. Heinzlowie, nabywszy w latach 1885 - 1890 Dobra Łągiwnickie, założyli w przypałacowym parku hodowlę ptaków łownych (m.in. cietrzewi!) dla celów łowieckich. W roku 1890 Ludwik, Zenon i Fryderyk Anstadtowie, właściciele browaru przy ul. Średniej (Pomorskiej), otwierają zwierzyńiec w parku Helenowskim. Park był własnością braci, wstęp przez wielką żelazną bramę od ul. Północnej był płatny. Z 12 ha parku wydzielono pod zwierzyńiec zaledwie 1 hektar. Na tak niewielkim terenie poza zwierzętami krajowymi trzymano małpy (nawet szympany), niedźwiedzie malajskie, tygrysy bengalskie, wiele ptaków z papugami włącznie. W czasie I wojny światowej Niemcy wywieźli większość zwierząt,

jednak w lipcu 1925 roku część zwierzostanu zwrócono. U schyłku lat międzywojennych dzięki staraniom Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami Zwierzyniec Helenowski uzyskał nowe zwierzęta, m.in. 7 tygrysów bengalskich. W 1939 roku tygrysica Zajda urodziła trojaczki, co nawet w późniejszych latach oceniano jako duży sukces hodowlany. Od 1938 r. Park stał się własnością akcjonariuszy z Biedermanami na czele. Zwierzyniec przetrwał 50 lat, uległ likwidacji w 1940 r. Historia obecnego Zoo zaczyna się w 1928 r. Podczas Krajowej Wystawy Ogrodniczej w Poznaniu, Naczelnik Wydziału Plantacji Rady Miejskiej m. Łodzi inż. Stefan Rogowicz zdobył wówczas nagrodę za projekt zagospodarowania przestrzennego Polesia Konstanyńskiego zwanego Zdrowiem. Projekt obejmował 260 ha, pod przyszłe Zoo przewidziano 20 ha czyli 7,7%. Na realizację trzeba było czekać 4 lata. Dopiero 2.03.1932 r. wiceprezydent Łodzi S. Rapalski zwołał konferencję poświęconą sprawie ewentualnego założenia ogrodu zoologicznego. Od razu pojawiły się trudności i spory dotyczące lokalizacji. Wg projektu Rogowicza ogród

foto G. Niewiadomski



miał powstać na Zdrowiu. Uczestniczący w konferencji miejskiej inspektor weterynaryjny dr M. Nehrebecki proponował z uwagi na zdrowie zwierząt Łągiwniki lub park Poniatowskiego. Jego zdaniem „Zdrowie to teren podmokły, a wiatry płn. zachodnie mogą być nawet zabójcze dla niektórych zwierząt” (AMŁ, sygn. 13814). Pertraktacje trwały około pół roku. Zapoznawszy się z powstającym w Lasku Wolskim Zoo krakowskim Nehrebecki kieruje 10.10.1932 r. pismo do wiceprezydenta Rapalskiego z wnioskiem o „przyznanie Wydziałowi Oświaty i Kultury w porozumieniu z Urzędem Weterynaryjnym 4 ha na Polesiu Konstantynowskim w celu urządzenia ogrodu zoologicznego fauny regionalno - krajowej i o przekazanie wpływów z Kasy Miejskiej z tytułu sezonowego eksportu bażantów i kuropatw do Anglii na koszty ogrodzenia drutem kolczastym oraz wzniesienia kilku drewnianych budynków” (AMŁ, sygn. 23242). W styczniu 1937 r. Rogowicz zwraca się listownie do dyrektora Warszawskiego Zoo dr Jana Żabińskiego z prośbą o konsultacje planów i założeń projektowych. Zdaniem Żabińskiego przy braku dostatecznych finansów należało zacząć od zwierząt łatwych do utrzymania, a więc nie pochłaniających większych kosztów, a następnie przejść do egzotycznych, atrakcyjnych dla publiczności, co wyraźnie zwiększyłoby wpływ do kasy. Optymalną wielkość nowoczesnego Zoo określił na 30 - 40 ha. Wreszcie w 1938 r. rozpoczęto budowę betonowego ogrodzenia wokół 8,9 ha przeznaczonych pod przyszły ogród. Mur miał długości 1520 m.b. kosztował 61 772,62 zł. Budowę ukończono w drugim półroczu 1938 r. Ogród udostępniono dla publiczności, jednak bez oficjalnego otwarcia. O uroczystości otwarcia nie wspominają ani dokumenty archiwalne ani zachowane przekazy prasowe. Komisje zarządzającą zwierzyńcem w Parku Ludowym na Zdrowiu prezydent powołał w czerwcu 1939 r. na wniosek Oddziału Kontroli, zawarty w piśmie z 22.05.1939 r. W skład komisji weszli: naczelnik Wydziału Plantacji S. Rogowicz, kierownik Muzeum Przyrodniczego E. Potęga, Kierownik I Okręgu Weterynaryjnego W. Moszalski oraz delegat TOZ-u S. Słowiński. Jako pierwsze znalazły się na Zdrowiu zwierzęta trzymane w parku Poniatowskiego już od 1937 r. We wrześniu 1937 r. w okolicach Górnego Rynku odłapano



jelenia, zabłąkanego do centrum miasta. Przypuszczano, iż przywędrował z okolic Łęczycy i dlatego nazwano Borutą. Wg zapisków w książce inwentarzowej wyceniono go na 150,- zł. Tak samo oceniono lanię Marysię, darowaną przez p. Ciemniewską jako partnerkę dla Boruty. Parę tę umieszczono na wybiegu zajmowaną przez jelenie do dziś dnia. Dwie sarny kupiono już w 1937 r. płacąc po 60,- zł za zwierzę; cztery otrzymano w darze, jedna z nich pochodziła z okolic Rszewa. Wg księgi inwentarzowej wartość jednej sztuki wynosiła 20 - 30,- zł. Oprócz jeleni i saren z parku Poniatowskiego zabrano parę łabędzi. Nieco później z parku Źródlika przetransportowano 2 daniele, sarnę, 3 owce i 2 kaczkę. Darami dla Zoo były m.in. lisy od Tow. Łowieckiego, wilki, wiewiórki, para szceniąt owczarków tatrzańskich od prezydenta M. Godlewskiego. W miarę możliwości finansowych dokupowano zwierzęta. Za 15-letniego ogiera osła zapłacono w Helenowie 40,- zł. Rok 1938 był rokiem pierwszych przychówków na Zdrowiu: w maju urodził się jeleń, w czerwcu dwie sarny. Powiększający się zwierzostan wymagał opieki weterynaryjnej. Dnia 24.04.1939 r. Wydział Plantacji zwraca się do Wydziału Zdrowia pismem następującej treści: „Wydział Plantacji prosi o wydanie zarządzenia aby jeden z miejskich weterynarzy raz na tydzień odwiedził Ogród i badał stan zdrowia zwierząt, ewentualnie w razie choroby któregoś ze zwierząt przybył na wezwanie Wydziału Plantacji w celu



udzielenia pomocy" (AMŁ, sygn. 23242). Ogród się rozbudował. W czerwcu 1939 r. rozpoczęto budowę stacji pomp. Powstały wybiegi dla dzików i wilków. Pojawiły się problemy kosztów utrzymania. W marcu 1939 r. Wydział Plantacji zwrócił się do Oddziału Weterynaryjnego Zdrowia Publicznego o przydział mięsa z taniej jatki. W sierpniu 1939 r. zwierzostan Zoo liczył ok. 50 zwierząt. Opiekował się nimi tylko jeden pielęgniarz Franciszek Andrzejczak. W pierwszych miesiącach okupacji Ogrodem nadal zarządzał inż. S. Rogowicz, zwolniony przez władze okupacyjne w 1940 r. Niemcy nie mieli zamiaru likwidować Zoo. W latach 1940 - 1941, wykorzystując tanią siłę roboczą, wybudowali 10 stajenek, budynki dla dużych kotowatych i niedźwiedzi, wszystko kryte słomą. Po likwidacji zwierzyńca Helenowskiego w 1940 r. przeniesiono na Zdrowie: 4 pawiany zielone, 2 małpy wełniaste, 4 rezusy, 2 makaki jawańskie, 2 wilki, lisy rude, parę szopów pracy, 4 niedźwiedzie brunatne, świnki morskie, bażanty łowne i srebrzyste oraz gołębie. Rok później, po pożarze stacjonującego w Łodzi cyrku Herrgotta, do Zoo przyjęto kilka ptaków oraz ok. 40 ssaków w tym samca słonia indyjskiego. Ponownie otwarto Ogród 23 maja 1942 r. Miał być dostępny tylko dla publiczności niemieckiej, ale ograniczenia tego nie przestrzegano zbyt rygorystycznie. Dyrektorem został dyrektor rzeźni miejskiej dr F. Hase. W tydzień po otwarciu, 30 maja 1942 r. padł słoń pochodzący z cyrku Herrgotta. W 1943 r. sprowadzono, prawdopodobnie z Bremen, słońcę indyjską, popularną później Magdę. W Zoo mimo dobudowanych pomieszczeń zrobiło się ciasno. Po wyzwoleniu w styczniu 1945 r. Ogród ponownie podporządkowano Wydziałowi Plantacji Urzędu m. Łodzi; kierownikiem mianowano inż. Ogrodnictwa Bronisława Wójcika. Wg spisu z 31.12.1944 r. w Zoo było wówczas 558 zwierząt reprezentujących 117 gatunków. Wśród 42 gatunków ssaków znajdowały się m.in. małpy wełniaste, niedźwiedzie brunatne, polarne i tybetańskie, hieny cętkowane, renifery, wielbłądy, arui, muflony. Z czterech czynnych zaraz po wojnie ogrodów (Kraków, Łódź, Poznań, Zamość) tylko Łódź miała parę lwów, tygrysa sumatrzeńskiego i słonia indyjskiego. Aż do 1955 r. Magda była jedynym słoniem w Polsce. W 1945 r. urodziły się lwie trojaczki,

samce, słynne później reproduktory: Apollo w Łodzi, Astor we Wrocławiu i Adiutant na Śląsku. Pod koniec 1945 r. funkcje dyrektora objął Ryszard Tomski, przed wojną pracownik znanego warszawskiego cyrku braci Staniewskich. Będąc jednocześnie dyrektorem tzw. bazy zoologicznej Naczelnej Organizacji Widowisk Rozrywkowych, Tomski wykorzystał możliwości powiększenie zwierzostanu. Liczba zwierząt wzrosła do 800, liczba gatunków do 160. Tomski podjął trudną decyzję przyjęcia ze zrujnowanego ogrodu Wrocławskiego 18 małp, 6 drapieżców, 21 zwierząt parzystokopytnych, 4 pekarki, 7 innych ssaków, 39 ptaków m.in. strusia, emu, nandu, kazuara, marabuta, flamingi oraz tylko jednego gada - aligatora missisipijskiego. Niektóre zwierzęta nie przeżyły ogromnie przeciągającego się transportu. Dopiero później, w październiku 1946 r. przyjechała z Poznania wrocławska hipopotamica Lusia. Wcześniejszy termin był niemożliwy ze względu na brak odpowiedniego dla niej pomieszczenia. Po ponownym otwarciu Wrocławskiego Zoo w 1948 r. część zwierząt wróciła do Wrocławia. Ogród Wrocławski gwałtownie dopominał się zwrotu Lusi. Spór toczył się na wysokim szczeblu z udziałem prezydentów obu miast. Lusia, ulubienica publiczności, pozostała w Łodzi, lecz niestety padła w 1950 r. przyczyną śmierci była niedrożność przewodu pokarmowego, zaczopowanego gumową piłką rzuconą przez bezmyślnego zwiedzającego. W Łodzi pozostał również aligator missisipijski Kacper. Spory między obu ogrodami o prawo posiadania Kacpra trwały, najpierw serio, a później pół żartem, przez niemal pół wieku. Kacper przeżywszy w Łodzi 46 lat, padł w styczniu 1991 r. w wyniku uogólnionego procesu nowotworowego. Wśród 18 małp było 10 pawianów anubisów (4 samce, 6 samic). Pierwsze anubisy urodziły się w 1952 r. Pogłowie stada liczy obecnie ok. 30 sztuk. W sumie urodziło się w Łodzi 170 pawianów. Wizerunek pawiana anubisa stał się logo Ogrodu, a wszystkie stada w Polsce spokrewnione są ze stadem Łódzkim. W kwietniu 1946 r. uchwałą Zarządu Miasta wyłączono Zoo z Wydziału Plantacji, jednocześnie przekształcając je w samodzielną jednostkę budżetową. Po szybkiej wymianie dyrektorów w 1947 r. (pierwszym był lek.wet. Franciszek Wiercioch, następnym

dr Jan Landowski - później wieloletni dyrektor Ogródu Zoologicznego w Warszawie) stanowisko to objął Leszek Dukwicz i pozostał nim do 1951 r. Z jego inicjatywy Pracownia Urbanistyczna m. Łodzi opracowała perspektywiczny plan rozwoju ogrodu. Na podstawie tego planu teren Zoo powiększono do 16,74 ha, przesuając nieco na zachód ulicę Krzemieniecką. Mur między nowym i starym terenem usuwano etapami w miarę rozszerzania ekspozycji. Mimo starań kolejnych dyrektorów powierzchnia ogrodu do dnia dzisiejszego nie uległa zmianie. W 1948 r. po kilkakrotnej zmianie obsady etatu stałego lekarza weterynarii wszedł do Zoo w charakterze konsultanta weterynaryjnego dr Ryszard Ganaśński, ordynator znanej lecznicy dla zwierząt „Pod Koniem”, w późniejszych Miejski Lekarz Weterynarii. Obowiązki konsultanta pełnił do 1970 r. Od września 1949 r. rozpoczęła pracę w dziale hodowlanym mgr inż. Elżbieta Ślusarska. Po dwuletniej przerwie w latach 1953 - 1954 objęła 1 grudnia 1954 r. stanowisko kierownika działu hodowlanego. Przez wszystkie lata pracy była motorem i organizatorem działalności hodowlanej, cieszyła się ogromnym szacunkiem i autorytetem we wszystkich ogrodach zoologicznych. Na emeryturę odeszła 31 marca 1978 r. Po odwołaniu L. Dukwicza obowiązki dyrektora przez kilka miesięcy 1952 r. pełnił prof. Dr Henryk Sandner, kierownik naukowy Muzeum Przyrodniczego Uniwersytetu Łódzkiego. W kwietniu 1953 r. stanowisko dyrektora objął Henryk Dwojacki. Po kolejnej reorganizacji Ogród stał się przedsiębiorstwem na rozrachunku gospodarczym. Dwojacki wykorzystał powstałe wówczas możliwości finansowania inwestycji i remontów kapitalnych. W latach 1953 - 1956 powstała m.in. sala kinowa na ok. 100 miejsc i weranda przy barze, nowe woliery ptaków, pawilon dla małych ssaków, budynek pawianów z dużym skalistym wybiegiem (ukończony w 1957 r.). Znikły stare słomiane dachy, utworzona alejki, znacznie rozbudowano ważną dla funkcjonowania Zoo sieć wodno - kanalizacyjną. Przebudowa małpiarni pozwoliła skończyć wreszcie z corocznym odłapywaniem małp wiosną i jesienią i przenoszeniem do sezonowych pomieszczeń. Zaczął się kształtować zespół pracowników działu hodowlano - badawczego.

W lipcu 1954 r. tworzyło go 7 osób posiadających wyższe wykształcenie. Kolejna zmiana na stanowisku dyrektora nastąpiła w 1957 r. Miejsce H. Dwojackiego zajął Aleksander Gaworkiewicz, od 1948 r. kierownik administracyjny Zoo, prowadzący nadal intensywną działalność inwestycyjną. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte zapisały się ważnymi wydarzeniami w historii ekspozycji i rozwoju zwierząt. W sierpniu 1950 r. Zoo wzbogaciło się o parę zebra równikowych, pierwsze źrebię urodziło się w 1951 r. Zoo nie miało nigdy pary dorosłych niedźwiedzi polarnych. Gdy w 1955 r. sprowadzono kilkumiesięcznego samca Karwika, połączono go z równie młodą niedźwiedzicą brunatną. W styczniu 1961 r. przyszły na świat pierwsze niedźwiedzie - mieszańce obu gatunków, budząc duże zainteresowanie w kręgach zoologicznych. W marcu 1956 r., w miejsce padłej przed sześciu laty Lusi, sprowadzono z Amsterdamu młodego hipopotama nilowego. Urodzony 10 kwietnia 1955 r. hipek doczekał XXI wieku i jest jednym z najstarszych mieszkańców Ogrodu. Pierwszą wystawę ryb otwarto dopiero w 1956 r. W małpiarni zainstalowano 18 zbiorników z ok. 50 gatunkami słodkowodnych ryb akwariowych. To prowizoryczne akwarium dotrwało do 1964 r., kiedy to, przystępując do remontu małpiarni, przeniesiono je do sali kinowo-dydaktycznej. Po dwóch latach, w 1966 r. oddano do użytku pawilon o powierzchni 89,5 m<sup>2</sup>, kubaturze 2225,6 m<sup>3</sup> z 31 oknami wystawowymi. W 1957 r. Ogrodowi zlecono kwarantannę 20 wielbłądów jedno i dwugarbnych z centralnego importu, przeznaczonych dla wszystkich zoo w Polsce. Zwierzęta przyszły zaświerzbione i zarażone nicieniami płucnymi, co stanowiło poważne zagrożenie i obciążenie dla Zoo. Obie inwazje opanowano, zwierzęta wyleczono. We wrześniu 1960 r. zachorowała słonica Magda. Padła po tygodniu choroby z powodu niewydolności układu krążenia. W Zoo przeżyła 17 lat, wiek jej określono na ok. 40 lat. Przez trzy lata Łódź nie posiadała słoni. Dopiero w 1963 r. sprowadzono z zagranicy trzy młode słonice: Magdę II, Indię i Kingę. Kinga nie zgadzała się za swoimi towarzyszkami i wkrótce przekazano ją do Krakowskiego Zoo. W chwili przybycia do Ogrodu Magda II miała ok. 3 lat i ważyła tylko 305 kg, waga nieco starszej 5-letniej Indii wynosiła

355 kg. Przedstawiciele małych człekokształtnych - gibony białorękie znalazły się w zwierzostanie Ogrodu w 1960 r. W pewnym okresie podjęto próbę ekspozycji gibbonów na wyspie stawu ptaków, na której rosła rozłożysta wierzba. Małpy czuły się na wyspie bardzo dobrze, jednak ze względu na podejmowane przez nie próby ucieczki, a przede wszystkim na niebezpieczeństwo porażenia prądem (w pobliżu wierzby przechodziły przewody linii wysokiego napięcia) zrezygnowano z tego sposobu ekspozycji. W kwietniu 1962 r. w czasie silnego sztormu morze wyrzuciło na brzeg w okolicach Świbna 4 foki szare. Zoo Gdańskie całą czwórkę przekazało do Łodzi. Odhodowane foki połączone z uchatkami kalifornijskimi bez objawów agresji z żadnej ze stron. Pierwsze udane lęgi bocianów białych odnotowano w 1963 r. Po modernizacji i powiększeniu słoniarni sprowadzono w 1966 r. samca nosorożca zwyczajnego. Noska po pobycie w Łodzi przekazano do jednego z ogrodów amerykańskich, poszukującego partnera dla swojej samotnej samicy. Miejsce Noska zajął w 1986 r. sprowadzony z Berlina nosorożec biały Zulu. Otwarcie wiwarium w zaadaptowanym budynku dawnego biura (1967r.) stało się punktem zwrotnym w ekspozycji gadów i płazów, ograniczanej z braku miejsca do kilku lub kilkunastu osobników. W jubileuszowym roku 25-lecia (1963) w Zoo znajdowało się tylko 10 gadów w 7 gatunkach, w roku 40-lecia - 150 gadów w 46 gatunkach i 90 płazów w 15 gatunkach. W 1968 r. zakupiono w Hamburgu trzy tygrysy syberyjskie Benię, Belitę i Botę, a rok później w Gelsenkirchen samca Albasina. W 1973 r. dr Karol Łukaszewicz, wybitny znawca problematyki ogrodów zoologicznych, w ocenie działalności Ogrodu pisał: „Sensacyjny i unikalny wśród naszych ogrodów przychówek tygrysów syberyjskich *Panthera tigris altaica* w ilości 2,6 młodych do wszystkich trzech samic znajdujących się w ogrodzie... Przez uzyskanie niezwyklego przychówka 6 samic i 2 samców Łódzkie Zoo staje się jednym z pierwszych w Europie centrów przyszłej hodowli. Jest to najcenniejsza pozycja ze wszystkich naszych ogrodów zoologicznych, a jednocześnie ważne i wysoko notowane osiągnięcie w skali międzynarodowej”. Rada Naukowa Ogrodu Zoologicznego powstała na mocy uchwały Prezydium Rady Narodowej

m. Łodzi z dn. 19 listopada 1957 r. Radzie przewodniczyli kolejno: dr Leszek Pawłowski - kierownik Katedry Zoologii Ogólnej UŁ (od 1978 r.), prof. dr Stanisław Gołębiowski - kierownik Zakładu Higieny Weterynaryjnej w Łodzi (lata 1978 - 1985) oraz prof. dr Krzysztof Jeżdżewski - kierownik Katedry Zoologii Bezkręgowców i Hydrologii UŁ (od 1985 r. do chwili obecnej). Rada na podstawie sprawozdań dyrekcji analizuje i ocenia działalność Ogrodu, opiniuje plany rozbudowy i modernizacji, konsultuje zamierzenia i posunięcia hodowlane, weterynaryjne, dydaktyczne dyrekcji, oraz wspiera dyrekcję w walce o właściwą pozycję Ogrodu w mieście. W początkach lat siedemdziesiątych władze miasta chciały włączyć do Zoo tereny rezerwatu Puszczy Łódzkiej, później wysuwano projekt całkowitej likwidacji Ogrodu na Zdrowiu i budowy nowego od fundamentów na Brusie lub nawet w lasach wiączyńskich. Od planów tych odstąpiono dopiero w 1974 r. po długich debatach z udziałem przedstawicieli Rady Naukowej. Objęcie etatu stałego lekarza wet. w lipcu 1952 r. przez Andrzeja Sosnowskiego zapoczątkowało rozwój ambulatorium weterynaryjnego. Zorganizowana w 1957 r. pracownia parazytologiczna objęła badaniami wszystkie ogrody zoologiczne w Polsce. W dwa lata później uruchomiono dział badań hematologicznych. W 1969 r. obsada ambulatorium liczyła 5 osób. Z pracowni parazytologicznej wyszły 53 publikacje, w tym 20 zagranicznych. Wyniki badań przedstawiono na międzynarodowych sympozjach patologii zwierząt nieudomowionych i specjalistycznych sesjach jak np. European Conference on Avian Medicine w Utrechcie. W styczniu 1969 r. stanowisko dyrektora objął dr Andrzej Sosnowski. Po jego odejściu na emeryturę w dniu 31 grudnia 1996 roku dyrektorem od 1.01.1997 r. jest mgr Ryszard Topola, ornitolog, pracujący w Zoo od 1979 r., od 1991 z-ca dyrektora ds. hodowlanych. Inwestycje drugiego trzydziestolecia Zoo to m.in. stodoła (1972 r.), strusiarnia (1975r.), budynek socjalno - warsztatowy z pomieszczeniami dla ambulatorium wet. (1976 r.), modernizacja pawilonu małych ssaków, uciepłowanie Ogrodu, nad którym prace trwały w latach 1978 - 1985 (pierwsze polskie Zoo korzystające z sieci grzewczej miasta), zimowiska dla ptaków (1993 r., 1995 r.), kwarantanna (1997 r.) i szpital dla zwierząt.

Żyrafańnię otwarto w 1988 r. po 2,5 latach budowy. Pierwszą łódką żyrafą był samiec Gawrosz. Sprowadzony w listopadzie 1988 r. Pięć lat później udało się pozyskać dla niego samicę Fugę. Początkiem hodowli był jednak przyjazd w 1994 r. 3-letniego samca Sandokana z Dvur Kralove, do którego dołączyły sprowadzone z Ołomuńska samice Kananga i Aranka. Dotychczas dały 3 młodych: Largo, Nemo i Orbisa. W kalendarium ważnych wydarzeń zapisano w 1975 r. przyjęcie dyrektora Sosnowskiego do Międzynarodowej Unii Dyrektorów Ogrodów Zoologicznych. Jako pierwszy z polskich dyrektorów uczestniczył aktywnie w pracy międzynarodowych programów hodowlanych EEP. Dyrektor Topola jest członkiem grupy specjalistów EEP. ds. hodowli i ochrony ptaków brodzących (Taxon Advisory Group). Od 1991 r. Ogród należy do Międzynarodowego Systemu Inwentaryzowania Zwierząt ISIS. Wszystkie zmiany zwierzostanu rejestruje się w systemie komputerowym Animal Records Keeping System ARKS i przekazuje do centralnej bazy w USA. Od marca 1993 r. Ogród jest stałym członkiem Europejskiego Stowarzyszenia Ogrodów Zoologicznych EAZA. Członkostwo w tych organizacjach świadczy o randze Zoo, ale jednocześnie stawia mu wysokie wymagania. W 60-letniej historii Zoo eksponowało 924 gatunki



foto G. Nowalski

kręgowców: 303 gatunki ryb, 36 gatunków płazów, 139 gatunków gadów, 239 gatunków ptaków i 207 gatunków ssaków. Wiadomości o niektórych można znaleźć tylko w materiałach archiwalnych sprzed 1954 roku. Są to: kazuar jednokoralowy, czerwonek różowy, orzeł przedni, bażant tragopan satyr, ostrygojad, papugi: kurika i aleksandretta obroźna, sikory: sosnowka i modra, niedźwiedź baribal i antylopa suhak. Z gatunków rzadkich, objętych Czerwoną Księgą (Red Data Book) Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody i jej Zasobów na liście 60-lecia znajdują się żółwie: promienisty i olbrzymi, aligator chiński, kondor wielki, bielik, lemur płowy, wełniak szary, magot, uanderu, likoan, niedźwiedź wargacz, wydra, tygrysy: bengalski i syberyjski, gepard, koń Przewalskiego, zebra Grevy-ego, nosorożce: zwyczajny i biały, wigoń oraz benteng. W ciągu półwiecza istnienia odchowane przychówki uzyskano do 247 gatunków, m.in. bazylijszków, anakond żółtych, pytonów królewskich, nandu, emu, sępów płowych, mew srebrzystych i śmieszek, ar zielonoskrzydłych walabi, jeży, uistiti białouchych, pancerników, kapibar, mar patagońskich, wiskaczy, likaonów, wargaczy, kinkażu, pekari, elant, garn, gnu brunatnych i białobrodych. Rozmnażały się, choć nie odchowały strusie, kazuary hełmiaste, urubu czarne, sowy śnieżne, kangury olbrzymie, koczodany sowiogłowe, pandy małe, borsuki, uchatki kalifornijskie, guźce i antylopy sitatungi. W latach 90-tych nastąpiły znowu zmiany organizacyjno - administracyjne. W 1991 r. Ogród z przedsiębiorstwa państwowego przekształcono w zakład budżetowy podległy Wydziałowi Inżynierii Miejskiej. Od 1 kwietnia 1994 r. opiekę nad Ogrodem objął Wydział Ochrony Środowiska Urzędu m. Łodzi. Zwierciadłem działalności hodowlanej, naukowej i popularno-dydaktycznej może być bibliografia Ogrodu. W latach 1946 - 2000 w 31 wydawnictwach polskich i zagranicznych ukazało się 259 artykułów i doniesień związanych z Ogrodem tematycznie lub z osobą autora. Na materiale Ogrodu powstały 3 prace maturalne i 4 dyplomowe ze Studiów Nauczycielskich w Zgierzu i Toruniu i 56 prac magisterskich studentów zoologii Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UŁ, Katedry Hodowli Ogólnej SGGW oraz Katedr Zoologii AR w Olsztynie i Wrocławiu. Prace doktorskie przygotowali





i uzyskali tytuły doktorskie trzej pracownicy Ogródu: w 1978 r. Jan Dąbrowski na Wydziale Weterynaryjnym AR w Lublinie, w 1979 r. Andrzej Sosnowski w Instytucie Zoologii Stosowanej AR w Poznaniu i w 1985 r. Ewa Żuchowska na Wydziale zootechnicznym SGGW. W historię Ogródu wpisana jest również działalność dwóch towarzystw naukowych. W 1953 r. powstało koło Sekcji Ogródów Zoologicznych Polskiego Towarzystwa Zoologicznego. W latach 1967 - 1984 Ogród był siedzibą Zarządu Sekcji. Od 1968 r. Sekcja zaczęła wydawać cykl roczników Informatorów Ogródów Zoologicznych - ważnego dokumentu materiałów źródłowych do historii polskich zoo. Komitet redakcyjny od początku mieścił się w Łodzi. Motorem i głównym organizatorem Komitetu była od początku mgr Maria Sosnowska, w latach 1967 - 1984 sekretarz Sekcji.

W 1963 r. z inicjatywy lekarzy wet. Zoo utworzono Sekcję (początkowo Komisję) Patologii Zwierząt Nieudomowionych Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych. Siedziba Sekcji w latach 1968 - 1988 mieściła się w Łodzi. Funkcję przewodniczącego pełnił A. Sosnowski, a sekretarza do 2000 r. Ewa Żuchowska.

Przedstawiony rys historyczny w żadnym wypadku nie jest analizą ani szczegółowym opisem działalności Ogrodu. Byłoby to bowiem nader obszerne sprawozdanie. Jest to tylko kalendarium ważniejszych wydarzeń mających nieraz decydujący wpływ na wszystkie dziedziny działalności Ogrodu.

JERZY WILMAŃSKI

**PIERWSZA  
MIŁOŚĆ  
MIECZYŚŁAWY  
ĆWIKLIŃSKIEJ**

Opowieść ta ma swój początek przed 120 laty, kiedy to w Lublinie w garderobie teatralnej urodziła się dziewczynka, której dano imię Mieczysława.

Mieczysławę Ćwiklińską - bo o nią to właśnie chodzi - co najmniej dwa pokolenia pamiętają jako starszą fertyczną damę, niezbyt piękną, za to o dużej vis comica. Ale na starej fotografii z końca XIX wieku widzimy śliczną panienkę o długich blond warkoczach i dużych marzycielskich oczach. Pochodziła ze znanej aktorskiej rodziny Trapszów - aktorem był już jej dziadek Anastazy Trapszo, który ożenił się z Anną Ćwiklińską (stąd pseudonim Mieczysławy) - miał z nią czworo dzieci oczywiście wszyscy zostali aktorami. Ojciec Mieczysławy Marcei debiutował w krakowskim teatrze w 1882 roku. Ożenił się też z aktorką z krakowskiego teatru Aleksandrą Ficzkowską.

## FATALNE ZAURCZENIE

Rodzice nie chcieli, aby Micia została aktorką. Pragnęli oszczędzić jej trudnego losu wędrownych komediantów, więc ulokowali ją w solidnej, poznańskiej szkole dla panien. Trapszowie występowali wówczas w Łodzi. Szesnastoletnia Micia - piękna jak z obrazka - odwiedziła ich na Wielkanoc 1896 roku i tu poznała Zygmunta Bartkiewicza, który miał wtedy lat 26. Dziesięć lat różnicy to niewiele, ale pamiętajmy, że Micia była naiwną gąską wychowywaną na pensji, a Bartkiewicz miał już w Łodzi ustaloną pozycję dziennikarza, malarza i właściciela „Salonu Sztuki”. I... birbanta. Ale może dlatego imponował jej. Po latach dziewięćdziesięcioletnia już Ćwiklińska tak wspominała swoje pierwsze narzeczeństwo: „Spotkaliśmy się na zabawie świątecznej i na pensję wróciłam już z pierścionkiem zaręczynowym. Nie potrzebuje dodawać, że cała sprawa była już znacznie wcześniej ułożona przez naszych rodziców. I to nie ja zakochałam się w Bartkiewiczu, a chyba on we mnie. Nie był specjalnie przystojny, można go było nawet nazwać brzydkim, ale mógł się podobać, był inteligentny, dowcipny, pełen zalet towarzyskich. Założył w Łodzi „Salon Sztuki”, był synem znanego lekarza, malarzem i utalentowanym powieściopisarzem, autorem książki o Łodzi „Złe miasto” oraz powieści „Pierwszy grzech”, „Historia jednego podwórza”, „Słabe serca”. Pani Micia myli lata. Wtedy kiedy poznała Bartkiewicza był on zaledwie felietonistą łódzkiej prasy, a wszystkie wymienione książki powstały wiele lat później. Nie ma to jednak większego znaczenia - w Łodzi Bartkiewicz był rzeczywiście człowiekiem znanym i popularnym. „Pamiętam - wspomina dalej Mieczysława Ćwiklińska - że w okresie konkurów pana Zygmunta dostałam pierwszą długą suknię i prześliczny kapelusik, czerwoną budkę z kwiatami, która stała się powodem pedagogicznych kłopotów mojej matki, bardzo dla mnie surowej. Efektowna budeczka ładnie wyglądała na moich długich jasnych warkoczach i wszyscy oglądali się za mną na ulicy. To rozgniewało moją matkę, nie chciała, aby jej córka zwracała na siebie uwagę. Zdecydowała, że kapelusik będzie trzeba zwrócić magazynowi kapeluszy damskich pani Sypniewskiej, gdzie to kupiliśmy”. Nawiasem mówiąc ze wspomnień Ćwiklińskiej wynika, że miała lepszą pamięć do

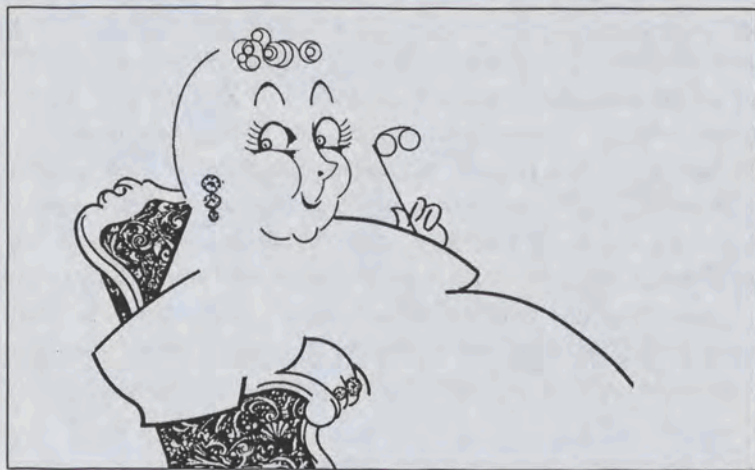
sukni i kapeluszy niż męża. Potem panna wróciła do Poznania dokończyć edukację na pensji pani Warnek - a narzeczonemu czekał. Po skończeniu nauk Miecia wróciła do Łodzi i zamieszkała z rodzicami. „Coraz częściej spotykałam pana Zygmunta - wspomina - trwał on niezmiennie w zamiarze, poślubienia mnie. Przychodził do nas często i nie szczędził mi dowodów swoich gorących uczuć. Te względy, okazywane mi jako dorosłej, ogromnie mi pochlebiały. Zresztą której pannie nie zawróci w głowie takie uwielbienie? Miałam siedemnaście lat. Bartkiewicz był moim pierwszym konkurentem... Czy go kochałam nie umiem powiedzieć. Pochlebiało mi, ujmowało mnie jego uczucie, czułam się celem czyichś zabiegów, czyjegoś zainteresowania, bardzo autentycznego i gorącego... Sama nie wiem, jak to się stało, że zgodziłam się na ślub. No i pojechałyśmy z mamą do Poznania przygotować wyprawę. Pamiętam, że w tym czasie jeździło się jeszcze pocztą konną z Kalisza do Łodzi, takim kabrioletem otwartym z przodu, albo dyliżansem o jakim czytamy w powieściach Dickensa, pocztą z pocztylionem grającym na trąbce... Rodzice moi przebywali już wtedy w Warszawie i tu odbył się ślub w kościele św. Krzyża latem 1897 roku. Ślub był oczywiście bardzo uroczysty, po ceremonii ślubnej rodzice wydali wytworne śniadanie w Hotelu Angielskim. Miałam ślubną suknię z białego adamaszku i welon, moje ciotki były w balowych tiulach, panowie we frakach. Jakie wrażenie zrobiłam na zebranej w kościele publiczności dowiedziałam się wiele lat później, gdy z okazji mojego pierwszego jubileuszu przeczytałam w „ABC” artykuł Adolfa Nowaczyńskiego, który pisał” „Nie tak dawno jeszcze z warkoczykami, a tu już jubileusz? Jeszcze jako mężateczka młodzieuchna nosiła takie jasnowłose kosy niemal do cierni, które całe miasto podziwiała. W kościele podczas Veni Creator wszyscy żalowali i litowali się, że takie dziecko niedorosłe już dają (skaranie boskie!) mężczyźnie do rąk”. - Chyba mieli rację - dodaje po latach pani Miecia - bo czy takie młodziutkie stworzenie zdawało sobie sprawę czym jest małżeństwo? Rzeczywiście nie układało się najlepiej. Z pierwszych - jeszcze pełnych uniesień - miodowych miesięcy Ćwiklinska pamięta pierwszy bal jako młoda mężatka. Pamięta oczywiście adamaszkową suknię przybraną czarnymi jaskółkami oraz to, że do jej jasnych włosów

przypięto gniazdko z białej gazy, a w nim jeszcze umieszczono jaskółkę. Wracaliśmy o świcie przymgloną Piotrkowską, wszystko wydawało się piękne i poetyczne. Ale krótko trwało nasze szczęście”.

### ZWARIOWANY MAŻ

Po pierwszych upojeniach nastąpiło rozczarowanie. Mąż często wyjeżdżał na polowania w okolice Łodzi i Kutna, lubił kolacje w gronie przyjaciół, długie nocne posiedzenia ... „Mój mąż był typem cygana w modnym wówczas stylu młodopolskim, uważał, że wszystko mu wolno, a żona powinna wybacząć... Czekałam na niego dniami i nocami coraz bardziej osamotniona i zrozpaczona, aż wreszcie zabrakło mi sił... Do tego dołączyły się kłopoty materialne. Zygmunt, zdolny dziennikarz pisywał w „Gońcu Łódzkim” tryskające dowcipem felietony, ale nie był w stanie utrzymać z tego żony. Założony przez niego „Salon Sztuki” wymagał energicznej i regularnej pracy, a bujny temperament Bartkiewicza, jego usposobienie kapryśne i nierówne do takiej pracy się nie nadawały. Kiedyś gdy pokłóciliśmy się, zawołał w gniewie - Już ja znajdę na ciebie sposób! - A kiedy zaczepnie i przekornie zapytałam - ciekawam jaki? - odpowiedział: Taki w jaki się poskramia konie i kobiety... Ćwiklińska nie wytrzymała tych „pedagogicznych metod” narwanego męża. Dość miała samotności i walki o byt. Po czternastu miesiącach rozpadło się to małżeństwo - wynik lekkomyślnej decyzji siedemnastoletniej dziewczyny. Z początkiem roku 1899 wyjechała do rodziców do Warszawy i do męża nie wróciła już nigdy. Ale pani Miecica nie mówiła po latach wszystkiego. Ze wspomnień wybitnego aktora Antoniego Fertnera wyłania się jeszcze bardziej diaboliczny obraz młodego małżonka: „Pamiętam Mieczysławę Ćwiklińską z moich łódzkich czasów - wspomina Fertner - gdy przyjeżdżała do rodziców z Poznania, gdzie uczęszczała na pensję. Później wyszła za mąż za dziennikarza i po trosze literata Bartkiewicza. (...) Kim był Bartkiewicz? Ze sposobu bycia osobowość donkiszota i donżuana. Człowiek, który zadziwiał ówczesną Łódź swoją fantazją i zaczepnością. Zasłynął również jako zażarty pojedynkowiec. Pochodził z bardzo bogatej rodziny. Ojciec Bartkiewicza

należał do znanych i wziętych lekarzy w mieście. Nie skąpił synowi grosza, co wśród na ogół ubogiej braci artystycznej z miejsca postawiło młodego Bartkiewicza w sytuacji niemal krezusa. Wszyscy Ignęli do niego, zwłaszcza ci, którzy lubili się bawić, dobrze zjeść i popić. Bartkiewicz miał bowiem szeroki gest. Stąd też zawsze był otoczony przyjaciółmi. Sam przy nim wychyliłem sporo kielichów różnych trunków, aż przyjemnie wspominać te chwile, choć czasem owe biesiady rozmaicie się kończyły... Podziw wśród wszystkich budziła jednakże niezwykła popularność Bartkiewicza na Bałutach. To łódzkie przedmieście roiło się od dziwacznych typów, często wzbudzających strach w spokojnym mieszczechu. Ale Bartkiewicz cieszył się na Bałutach szacunkiem i uznaniem dla jego zawadiackiej natury. Pamiętam nasze wyprawy do knajp na Bałutach. Szczególnie utkwiała mi w pamięci eskapada do jednej z nich pod obiecującą nazwą „Za rogatką”. Wmieszaliśmy się w tłum, śledzący nas podejrzliwym wzrokiem. Coraz ciaśniej otaczały nas wysokie draby z ponurymi minami. Próbowaliśmy się uśmiechać, lecz w tym wypadku nie pomogłaby nam żadna, najbardziej nawet naturalna vis comica. Ostrożnie jęliśmy spoglądać ku wyjściu... Tymczasem jakiś typ z podbitym okiem przypiął się do mnie i usiłował zgrabnym ruchem wyszarpnąć mój krawat spomiędzy klap surduta... Przeraziłem



rys. Stanisław Ibis-Garbowski

się już wtedy nie na żarty. Nagle obok tamtego wyrósł inny drab. - Nie dziś - rzucił mu tak głośnym szeptem, że aż zadrzałem. - To goście Zygmunia! - W jednej chwili twarz mojego zbira okraszył szeroki uśmiech. Klepnął mnie pojednawczo po ramieniu z taką serdecznością, że omal nie upadłem. W ten sposób poznaliśmy ów podziw, jakim cieszył się wśród tych ludzi Bartkiewicz. I właśnie ten zawadiaka, bawidamek, niespokojny duch, zakochał się bez pamięci w Ćwiklińskiej od pierwszego wejrzenia. Tak długo męczył Trapszów, aż wreszcie zgodzili się na ślub. Wkrótce potem zaczął urządzić kawały teściowi czyli Marcelemu Trapszo. Trapszo był jako reżyser odpowiedzialny za tok spektakli teatralnych. Toteż Bartkiewicz z niewinną miną codziennie upijał mu jego aktora. Nikt nie umiał mu się oprzeć, zwłaszcza, że prosił tylko na mały koniaczek z kawiorkiem. Najefektowniejszym wydarzeniem stały się jednak inne sprawki Bartkiewicza. Oto wracając późno do ślubnej sypialni... strzelał z rewolweru pod łóżko młodzietki żony. Albowiem opętała go chorobliwa wręcz obsesja zazdrości. Wydawało mu się, że tak ponętna kobieta, jak Ćwiklińska musi mieć jakichś ukrywających się amantów. Tymczasem młodej żonie ani to przeszło przez myśl. Powtarzające się częściej sceny tego rodzaju - początkowo traktowane niby szampańskie dowcipy - mogły wreszcie najspokojniejszego człowieka przyprowadzić o rozstrój nerwowy. Próbkę strzeleckie narwanego męża nie przypadły Ćwiklińskiej do gustu. Zażądała rozwodu". Miała dość dramatu w domu - wybrała komedię na scenie. Rodzice nie ustrzegli jej przed bakcylem teatru. Po powrocie do Warszawy pani Miecia przekonała ojca i na początku grudnia 1900 roku zadebiutowała rolą Helenki w „Grubych rybach” Michała Bałuckiego. Oczywiście w reżyserii Marcelego Trapszo. Resztę życia młodzietka artystka postanowiła poświęcić scenie. I tak się stało, choć po latach wychodziła jeszcze dwukrotnie za męża, ale byli to panowie spoza branży artystycznej. Cygan i birbant Zygmunt Bartkiewicz wyczerpał widać jej potrzebę małżeńskich fantazji. Po latach jednak oboje trafili na karty historii - ona jako wybitna aktorka, on jako niezapomniany autor „Złego miasta”.

Źródła: „Rozmowy z panią Miecią” A. Okońskiej i A. Grzybowskiego oraz „Podróże komiczne” A. Fertnera.



MIECZYŚLAW GUMOLA

## DEDECIUS



foto P. Zarzycki

Karl Dedecius, jak inni sławni łodzianie - Artur Rubinstein, Aleksander Tansman, Jan Karski - ma swoją salę w Muzeum Historii Miasta Łodzi. W tym roku, 20 maja, obchodził 80. rocznicę urodzin. Od wielu lat mieszka we Frankfurcie nad Menem. Posiada najwyższe odznaczenia niemieckie i polskie, pięć uniwersytetów przyznało mu tytuł doktora honoris causa, jest laureatem wielu nagród literackich. W czerwcu 2001 otrzymał kolejne zaszczytne wyróżnienie - Medal Za Zasługi dla Kultury Polskiej. Jako tłumacz nie ma sobie równych. W 1979 roku stworzył Deutsches Polen - Institut, czyli Instytut Kultury Polskiej w Niemczech.

### PREHISTORIA

O założeniu instytutu propagującego literaturę i kulturę polską Karl Dedecius myślał już w latach sześćdziesiątych. Przedstawił wtedy swój projekt profesorom uniwersytetów we Frankfurcie i Wiesbaden, wysokim urzędnikom rządu krajowego Hesji. Zimny wiatr od wschodu zdmuchnął pomysł, jak przysłowiową świeczkę. Idea jednak nie została zapomniana, czekała na lepsze czasy.

W czerwcu 1977 w Bonn odbywało się pierwsze forum niemiecko - polskie. Poproszono Dedeciusa o zaprezentowanie planu sprzed dziesięciu lat. Znalazł sojuszników - po stronie niemieckiej prof. dra Gottholda Rhode z Moguncji, rodem zaś z Poznania, a po polskiej - Janusza Stefanowicza, posła, ówczesnego szefa „Słowa Powszechnego”. Ustalono, że należałoby powołać instytut albo katedrę uniwersytecką, która w Niemczech zajęłaby się polską literaturą i nauką o Polsce współczesnej. Spośród wszystkich zaleceń pierwszych pięciu spotkań niemiecko - polskich, tylko to jedno udało się zrealizować.

### PRZYGODA

We wrześniu 1977 r. w historycznym kościele św. Pawła we Frankfurcie odbywała się uroczystość wręczenia Leszkowi Kołakowskiemu prestiżowej Nagrody Pokojowej Niemieckich Księgarzy. Karl Dedecius, dotąd szef działu informacji w Allianz - Versicherung, oznajmił wtedy grupie przyjaciół - kończę pracę w ubezpieczeniach, zaczynam tworzyć Instytut Polski w Niemczech. 25 kwietnia 1978 r. był ciepły i słoneczny. Na Wzgórzu Matyldy - Mathildenhöhe, w eleganckiej dzielnicy Darmstadt, przy secesyjnej willi architekta Josefa Marii Olbricha spotkała się grupka osób. Znajdował się wśród nich serdeczny przyjaciel Dedeciusa, człowiek niezwykle popularny i szanowany - Heinz Winfried Sabais, nadburmistrz Darmstadt. To on pierwszy zrozumiał czym instytut może stać się w niedalekiej przyszłości dla miasta i zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby „zakotwiczyć” go w Darmstadt. Secesyjna willa Olbricha, architekta i malarza żyjącego w czasach Stanisława Wyspiańskiego, była wprost wymarzoną obiektem dla instytutu. Właścicielka willi, pani dr Baumann, zgodziła się przekazać budynek na cele przyszłego instytutu. Potwierdziła to osobiście 25 kwietnia 1978 r. Budynek trzeba było wyremontować. Do tego zobowiązywał się zarząd miasta Darmstadt. Reszta należała do Dedeciusa.

## ZMAGANIA

Powstanie instytutu popierało Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Bonn. Miasto Darmstadt leżało jednak w Hesji, a rząd tego landu, ze stolicą w Wiesbaden, do projektu odnosił się dość sceptycznie. Sąsiedni kraj związkowy Rheinland - Pfalz, który miał być współorganizatorem instytutu, ogłosił że sam zamierza zorganizować Instytut Polski przy Mogunckiej Akademii Nauk, bądź przy uniwersytecie. Planów tych nie udało się zrealizować, ale organizacji instytutu w Darmstadt to nie przyspieszyło. Dodać trzeba, że w Moguncji władzę sprawowała CDU, w Wiesbaden zaś ster władzy dzierżyła SPD. Poza tym szło o pieniądze - należało określić ile przekażą na utrzymanie instytutu w Darmstadt dwa sąsiadujące ze sobą landy. Ważne gremia urzędnicze debatowały nad tym przez cały 1979 rok. Tymczasem Karl Dedecius z dniem 31 grudnia 1978 r. rozstał się z Allianz Versicherung, w którym przepracował 25 lat. Pośpieszyli mu z pomocą przyjaciele, zapewniając zatrudnienie w agencji współpracy międzynarodowej INTER NATIONES, zaś nadburmistrz Sabais, nie czekając na załatwienie pozostałych formalności, przekazał przy Luisen Strasse 12 - centralnej ulicy Darmstadt, kilka pokoi na biuro organizacyjne przyszłego instytutu. W listopadzie 1979 r. pojawiła się pogłoska, zrodzona w Moguncji, której realizacja przekreślała sens pracy przy dalszej organizacji instytutu. Ktoś zaproponował, że instytut powinien zająć się realizacją zaleceń niemiecko - polskiej komisji do spraw ustalania treści podręczników szkolnych. Na szczęście z pomysłu, do którego później nikt nie chciał się przyznać, szybko się wycofano. 13 grudnia 1979 r. w siedzibie Niemieckiego Instytutu Spraw Zagranicznych w Bonn dziewięciu członków - założycieli podpisało akt powołania stowarzyszenia o nazwie Deutsches Polen - Institut. Realizatorem zadań stowarzyszenia miał być Instytut o tej samej nazwie. Jego uroczyste otwarcie nastąpiło w Darmstadt 11 marca 1980 r. Nikt z oficjalnych przedstawicieli władz polskich nie pojawił się na uroczystości. Wieczorem odwiedzili natomiast Karla Dedeciusa, przebywający wtedy na III forum niemiecko - polskim, odbywającym się w Darmstadt: - Artur Sandauer oraz dziennikarze - Marian Podkowiński i Janusz Reiter, późniejszy ambasador Polski w Niemczech.

## STATUT

Nad statutem stowarzyszenia pracowano prawie dwa lata, opracowano dziesięć jego wersji. Jest krótki i przejrzysty. Cel powołania Deutsches Polen - Institut w Darmstadt określono zwięźle: ma służyć pogłębianiu wiedzy o życiu kulturalnym i duchowym między obu Niemcami i Polakami. Realizacja celu miała następować przez prowadzenie działalności naukowej, wydawniczej, imprezowej, współpracę między pokrewnymi organizacjami, wymianę informacji i doradztwo. Wszystkie wpływy finansowe służyły wyłącznie realizacji zadań statutowych. Instytut nie wiązał się z żadną partią, był neutralny światopoglądowo. Władzami stowarzyszenia były: ogólne zebranie członków, prezydium i kuratorium. Prezydium stowarzyszenia składało się z prezydenta, dwóch wiceprezydentów, skarbnika, dyrektora Instytutu. Prezydent i wiceprezydenci wybierani byli na trzy lata. Prezydium prowadziło gospodarkę stowarzyszenia, opracowywało program działania i plan finansowy, przedstawiało rozliczenie wydatkowanego pieniędzy, zatrudniało, proponowane przez kuratorium, dyrektora Instytutu. Kuratorium odpowiedzialne było za stworzenie Instytutowi odpowiednich warunków pracy i kontrolowało na bieżąco jego działalność. Kuratorium, z urzędu, przewodniczył nadburmistrz miasta Darmstadt. W składzie kuratorium przewidziano również udział przedstawicieli rządów Hesji i Rheinland - Pfalz, dwu przedstawicieli konferencji ministrów wyznań religijnych, niemieckiego przedstawiciela Forum Niemcy - Polska oraz pięciu członków zaproponowanych przez zebranie ogólne stowarzyszenia. Do najważniejszych zadań kuratorium należało opracowanie preliminarza instytutu i wybór dyrektora instytutu. Kadencja członków kuratorium trwała dwa lata. Za całokształt pracy Instytutu odpowiadał od początku Karl Dedecius.

## NAZWISKA

Pierwszym prezydentem Instytutu została dr Marion hrabina Donhoff, wydawca „Die Zeit”, gorąca propagatorka porozumienia niemiecko - polskiego. Po dwu kadencjach zastąpił ją były kanclerz federalny - Helmut Schmidt. W składzie prezydium znaleźli się również: były konsul

generalny Stowarzyszenia Polityki Zagranicznej - dr Alfred Blumenfeld, była ambasador - dr Gisela Rheker, dyrektor Instytutu Wschodnio-Europejskiego Uniwersytetu w Moguncji - prof. dr Gotthold Rhode oraz oraz dr Peter Payer. W kuratorium Instytutu ważna rola przypadła kolejnym nadburmistrzom Darmstadt. Pierwszy z nich - Heinz Winfried Sabais, zmarł 11 marca 1981 r., równo w rok po otwarciu wymarzonej placówki. Godnym jego następcą okazał się, przewodniczący kuratorium przez 12 lat, nadburmistrz Gunther Metzger, który przekazał pałeczkę swemu następcy - Peterowi Benzowi. W składzie kuratorium znaleźli się także przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych, rządów Hesji i Rheinland - Pfalz, stałej komisji Ministrów Wyznań Religijnych, miast członkowskich, przedsiębiorstw, banków, fundacji. Instytut posiada kilkudziesięciu członków zwyczajnych i kilkunastu zbiorowych. Ci pierwsi opłacają składkę roczną w wysokości 50 DM, zaś członkowie zbiorowi - miasta niemieckie, płacą po 1000 DM rocznie, a ponadto łożą, na program wymiany kulturalnej instytutu - po 900 DM. Miastami tymi są: Berlin, Bielefeld, Bremen, Darmstadt, Frankenthal, Getynga, Hanower, Kilonia, Norymberga, Osnabruk, Stuttgart i Wiesbaden.

## FINANSE

Karl Dedecius twierdzi, że zna się tylko na poezji, a nie ma pojęcia o finansach. Musiał jednak o nie zabiegać, bo bez pieniędzy Deutsches Polen - Institut niczego by nie osiągnął. Dwa kraje związkowe Hesja i Rheinland - Pfalz w końcu się porozumiały co do swojego udziału w kosztach osobowych i rzeczowych placówki. Urzymanie budynku wzięło na siebie Miasto Darmstadt. W 1987 r. instytut finansowały już wszystkie kraje związkowe. Pozostałymi kosztami podzieliły się Hesja - 53, 1 proc. i Rheinland - Pfalz - 46, 9 proc. Budżet roku 1987 zamykał się kwotą w wysokości 560 000 DM, z czego wspólnota krajów związkowych przekazała 224 tys. DM, Hesja - 178 tys. i Rheinland - Pfalz 158 tys. Z upływem lat rosła wysokość przekazywanej dotacji, która w z czasem przekroczyła milion marek. Miasto Darmstadt przekazało Instytutowi następny budynek. Pomoc rzeczowa miasta wynosiła 100.000 DM, ponadto hojnie dokładało się ono do finansowania planów wydawni-

czych, konferencji naukowych i budowy biblioteki specjalistycznej. Auswartiges Amt, czyli Ministerstwo Spraw Zagranicznych w 1980 r. przekazało 100. 000 DM, w 1993 - 203. 500 DM. Znaczący „zastrzyk finansowy”, na realizację planów wydawniczych instytutu napłynął od Fundacji Roberta Boscha /1,5 mln/, Fundacji Vokswagena /400 tys./, Fundacji Alfreda Kruppa /200 tys./, Fundacji Klocknera i Fundacji Thyssena. Łącznie do 1995 r. fundacje przekazały Instytutowi 2,3 mln DM. Do listy sponsorów dopisywały się również osoby prywatne i spółki gospodarcze. Prezydent federalny Richard von Weizsacker przekazał w 1986 r. ponad 100 tys. DM na wymianę młodzieżową, Zrzeszenie Spółek Budowlanych wsparło pobyt polskich naukowców na uczelniach niemieckich kwotą 300 tys. DM. Miasta członkowskie przekazywały rocznie po 10.000 marek, za które instytut fundował polskim pisarzom, tłumaczom i dziennikarzom przyjazdy na wykłady, odczyty i dyskusje. Składki indywidualnych członków stowarzyszenia przynosiły ułamek budżetu - 3.900 DM marek rocznie, ale świadczyły o bliskim i bezpośrednim kontakcie z Instytutem. Na co wydawano pieniądze? Znaczne kwoty pochłonęła biblioteka instytutu - ponad 300 tys. DM. Na zakup książek przeznaczano rocznie około 20 tys. marek. Nie żałowano pieniędzy na stypendia dla przedstawicieli polskiej nauki i kultury. Tylko w dwu latach 1993 - 1994 instytut przeznaczył na nie 155.000 DM uzyskane od donatorów i jeszcze 120 tys., jakie przyniosły zgromadzone na koncie odsetki. Przez pierwszych piętnaście lat budowano i rozbudowywano bibliotekę specjalistyczną, na wyposażenie której wydatkowano 35 tys. marek. Na serię wydawniczą „Biblioteka Polska” przeznaczono 216.000 DM ze środków Fundacji Roberta Boscha i Fundacji Alfreda Kruppa. Na wyjazdy studyjne polskich dziennikarzy Instytut w okresie 15 lat przeznaczył 200. 000 DM, zaś na program niemiecko - polskiego dialogu kulturalnego w rejonach przygranicznych 170.000 DM. Instytut rozliczał się skrupulatnie z każdej wydanej marki i feniga. Budziło to zaufanie mecenasów, którzy uruchomili swego rodzaju pogotowie kasowe dla realizacji najpilniejszych zamierzeń. Wśród mecenasów znaleźli się: dr Berthold Beitz z Essen, dr Monika Blankenburg z Hamburga,

dr Thomas Niewodniczański, prywatne banki, Lufthansa, browar w Bitburgu, spółka Siemens, kasy oszczędnościowe we Frankfurcie i Darmstadt.

## ZESPÓŁ

W rok 1979 instytut, w stadium organizacji, zatrudniał tylko kierownika - dr Karla Dedeciusa i sekretarkę. Rok później doszli bibliotekarka i pracownik naukowy. W 1986 r. zatrudniono dalsze 3 osoby. Pozyskiwanie nowych pracowników nie było to sprawą prostą - sekretarka pracowała na umowę - zlecenie, jeden z pracowników naukowych był na przysłowiowym garnuszku Wydziału Kultury Auswartiges Amt, na drugiego łożyła Fundacja Volkswagena. Tymczasem przybywało z każdym rokiem spraw organizacyjnych i informacyjnych. Wszystko, czym w innych instytutach zajmowały się całe wieloosobowe zespoły pracowników, w Darmstadt spadało na kilka osób. Z pomocą pośpieszyło Miasto Darmstadt, przekazując swojego pracownika do prowadzenia spraw finansowo - gospodarczych. W 1987 r. do budżetu, na który składały się udziały z dwu krajów związkowych - Hesji i Rheinlandu - Pfalzu, doszły pieniądze ze wszystkich pozostałych landów, dorzuciły też kolejne środki dwie niezawodne Fundacje - Roberta Boscha i Alfreda Kruppa. Dzięki temu od 1995 r. Instytut „dorobił się” 10 etatów i zatrudniał łącznie 14 osób. W ciągu kilkunastu lat przez placówkę „przewinęło się” blisko 30 osób, które następnie pracowały w różnych ważnych instytucjach - ambasadzie niemieckiej w Warszawie, Ministerstwie Spraw Zagranicznych, na uniwersytetach oraz w niemieckich instytutach kulturalnych. Pozostawały one wiernymi sympatykami placówki w Darmstadt. Karl Dedecius dobierał sobie do współpracy ludzi młodych, najczęściej na progu kariery naukowej, dobrze znających kulturę i język polski. Oto kilku spośród nich: Ewa Dappa, urodzona w 1961 r. w Strzelcach Opolskich, w Polsce ukończyła studia germanistyczne. W Instytucie od 1990 r. prowadziła sekretariat dyrektora. Dagmara Dzierżan, urodzona w 1958 r. w Gryfowie, studia teatrologiczne i literaturoznawcze ukończyła w Monachium. Odpowiedzialna za roczniki Instytutu, kontakty z prasą i współpracę z instytucjami kulturalnymi.

Renata Idzikowska, urodzona w 1960 r. we Wrocławiu. Tam ukończyła germanistykę. Korespondentka prasy zagranicznej. W instytucie odpowiedzialna za rocznik, bank informacji, wydawnictwo „Panorama”. Dr Ewa Kobylińska urodzona w 1954 r. w Gdańsku. Romanistykę i filozofię studiowała w Poznaniu i Paryżu. Doktoryzowała się w 1982 r. w Poznaniu, gdzie następnie pracowała w Instytucie Kulturoznawstwa. W Darmstadt od 1990 r. odpowiedzialna za projekty naukowe, publikacje i organizację spotkań. Dr Andreas Lewaty, urodzony w 1953 r. w Bytomiu. Studiował slawistykę i historię krajów wschodnioeuropejskich w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Od 1982 r. redaktor „Biblioteki Polskiej” i wydawca „Niebieskiej Serii” oraz „Bibliografii niemiecko - polskich stosunków kulturalnych”. Dr Albrecht Lempp urodzony w 1953 r. w Stuttgarcie. Studia slawistyczne i prasoznawcze w Monachium, Sofii, Krakowie i Stanach Zjednoczonych. Po pięcioletniej pracy w instytucie w Darmstadt przeniósł się do Krakowa, w którym pracuje do dzisiaj. Angela Miemietz, urodzona w 1951 r. w Dobrodzieniu. Studia slawistyczne i z historii krajów wschodnio-europejskich w Heidelbergu. Od 1985 r. bibliotekarka instytutu. Elisabeth Panitzek, urodzona w 1961 r. w Sztumie. Technik, odpowiedzialna za programy komputerowe, sekretarka języków obcych w instytucie. Renate Schmidgall, urodzona w 1955 r. w Heilbronn. Studia germanistyczne i slawistyczne w Heidelbergu. Bibliotekarka, a następnie redaktor „Panoramy” i rocznika. Jutta Wierczimok urodzona w 1949 r. we Frankfurcie nad Menem. Studia germanistyczne, slawistyczne i z historii krajów wschodnioeuropejskich we Frankfurcie i Marburgu. Od 1985 r. w Instytucie jako redaktor rocznika, „Niebieskiej Serii”, „Panoramy”.

## PORÓWNIANIA

W 1993 r. w Niemczech przetłumaczono i wydano 42 książki polskie, z czego połowa to utwory literatury pięknej. Stanowiło to 0,4 proc. ogólnej ilości przetłumaczonych tytułów na rynku niemieckim. Z łaciny w tym samym roku przetłumaczono w Niemczech 123 pozycje - 1,3 proc. ogólnej ilości tłumaczeń. W tym samym roku w Polsce przetłumaczono 259



ksiązek niemieckich, w tym 31 utworów literackich. W Niemczech ukazuje się rocznie przeciętnie od 80.000 pozycji książkowych, w Polsce - do 10.000. Język niemiecki, jest drugim po angielskim, najpopularniejszym językiem obcym w Polsce. Co trzeci uczeń szkół średnich uczy się w Polsce języka niemieckiego. Na wszystkich polskich uniwersytetach znajdują się Katedry Germanistyki. W Gdańsku, Łodzi, Poznaniu i we Wrocławiu ukazują się periodyki naukowe w języku niemieckim. W Niemczech językiem polskim posługują się głównie przybysze z Polski. Literatura polska dociera do niemieckiego czytelnika prawie wyłącznie poprzez tłumaczenia.

### BIBLIOTEKA

Instytut skupił się na stworzeniu monumentalnej „Polnische Bibliothek” / „Biblioteki Polskiej”/. Składa się z 50 tomów - antologii literackich i najbardziej znanych dzieł literatury polskiej. Przedsięwzięcie firmowało wydawnictwo Surhkamp i Fundacja Roberta Boscha. Pierwszy tom Biblioteki zatytułowany „Die Dichter Polens” - / Poeci Polski / - ukazał się w 1982 r., tom pięćdziesiąty - autorstwa Karla Dedeciusa zamyka cykl wydawniczy. Połowa „Biblioteki” poświęcona została literaturze minionych epok, druga - literaturze polskiej dwudziestego wieku. Jeśli idzie o epoki to prezentacja zaczyna się od literatury średniowiecznej, następne tomy to: literatura renesansu, literatura baroku, polskie Oświecenie, polski romantyzm, polski realizm, Młoda Polska. Z wielu przetłumaczonych powieści odnotujmy chociażby nazwiska autorów: Teodor Parnicki, Leon Kruczkowski, Władysław Terlecki, Waclaw Berent, Józef Wittlin, Stefan Żeromski, Jerzy Andrzejewski, Andrzej Kuśniewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz. Dodajmy do tego zbiory opowiadań: Władysława Stanisława Reymonta, Bruno Schulza, Jarosława Iwaszkiewicza, Juliana Strykowskiego, Kornela Filipowicza, Jana Józefa Szczepańskiego. Na półce z tomami przetłumaczonych na niemiecki wierszy znajdujemy nazwiska: Adama Mickiewicza, Stanisława Wyspiańskiego, Juliana Przybosa, Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta.

Jeden tom poświęcony został polskim bajkom, w innym zebrano 2222 aforyzmów i sentencji. Ma swój tom poezja emigracyjna - od średnio-wiecza, po współczesność. Dodajmy autorów innych tomów: Jan Sobieski /listy do Marysieńki/, Henryk Rzewuski, Janusz Korczak, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Maria Dąbrowska /dzienniki/, Witold Gombrowicz, Kazimierz Brandys, Gustaw Herling - Grudziński, Stanisław Lem, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrożek, Joachim Christoph Schulz /"Podróż do Warszawy"/, niemieckie wiersze o Polsce, z XX wieku z wyborem wierszy od XII po XIX wiek. „Bibliotekę Polską” oceniono w Niemczech entuzjastycznie. „Kto miał w rękę tomy „Biblioteki Polskiej, radował się nie tylko ich wyglądem, lecz również głębią przekazanych treści” - Richard von Weizsaecker, prezydent RFN. „Na równi podziwiana w Polsce, jak w Niemczech” - Tadeusz Nowakowski, Frankfurter Allgemeine Zeitung. „Biblioteka Polska” - przedsięwzięcie jedyne chyba w Europie” - Valentin Polcuch, Die Welt.

#### PANORAMA

Kto nie miał czasu na zgłębianie 50 tomów Biblioteki, otrzymał od Karla Dedeciusa propozycję skromniejszą objętościowo. Nazywała się „Panorama der polnischen Literatur des 20. Jahrhunderts” /"Panorama literatury polskiej 20. wieku"/. „Panorama” liczyła 4.000 stron i składała się z pięciu części:

- I. Poezja - 1000 wierszy i fragmentów prozy poetyckiej 100 autorów, około 1250 stron.
- II Proza - 100 noweli, opowiadań, fragmentów powieści 100 autorów, około 1250 stron.
- III. Krótkie formy literackie - aforyzmy, epigramaty, felietony, 100 autorów, około 400 stron.
- IV. Komentarz wprowadzający w teksty i kierunki literackie, ok. 300 stron.
- V. Sylwetki twórców, bibliografia, skorowidz, około 800 stron.

Część pierwsza „Panoramy”, poświęconą poezji, liczy dziesięć tomów. Tom pierwszy poświęcony jest Młodej Polsce, drugi - Skamandrytom, trzeci - Awangardzie I, od Tytusa Czyżewskiego po Adama Ważyka, czwarty - Awangardzie II, od Władysława Sebyły po Aleksandra Rymkiewicza, piąty - poetom lat wojny, szósty - pokoleniu starującemu w pierwszych latach powojennych, siódmy - generacji 56, ósmy - generacji 68, dziewiąty - rocznikom 1948 - 1958, dziesiąty - rocznikom 1958 - 1968. Tomy poświęcone prozie noszą tytuły: Psychonauci, Płomienie, Krajobrazy i charaktery, Ekscentrycy, Przed sądem, Ogołocenie lasu, Historie o historii w historii, Polskie kompleksy, Drang nach Westen, Powrót do źródeł.

## AKTYWNOŚĆ

Kolejna seria wydawnicza Instytutu - BLAUE REIHE /"Niebieska Seria"/ poświęcona została prezentacji współczesnych problemów polskiej kultury i niemiecko - polskim stosunkom kulturalnym. Oto tytuły dziesięciu tomów:

1. Republika Federalna Niemiec - Polska Rzeczpospolita Ludowa. Współpraca kulturalna.
2. Wymiana młodzieżowa między RFN a PRL.
3. Polska literatura w niemieckich przekładach od początków do 1985r.
4. Recepcja polskiej literatury w niemieckim obszarze językowym i niemieckojęzycznej w Polsce w latach 1945 - 1985.
5. Inicjatywy kulturalne.
6. Pragnienie - być Europejczykiem? Naród i Europa. Niemiecko - polskie sympozjum z okazji 1 września 1989 r. w Krakowie.
7. Erazm naszych czasów. Otto Forst de Battaglia: Pisma o polskiej literaturze.
8. Religia i kościół w nowoczesnym społeczeństwie. Polskie i niemieckie doświadczenia.
9. Studia na temat obrazu Polski w historii niemieckiej /1848 - 1933/.
10. Niemieckie literatura w przekładach na język polski od początku do 1990 r.

„BIBLIOGRAPHIE ZUR GESCHICHTE DER DEUTSCH - POLNISCHEN KULTURBEZIEHUNGEN“ /Bibliografia historii niemiecko - polskich kontaktów kulturalnych/. Projekt wydawniczy powstał we współdziałaniu Instytutu z Biblioteką Uniwersytecką w Toruniu. Zaplanowano wydanie dziesięciu tomów:

1. Niemiecko - polskie kontakty polityczne, gospodarcze, kulturalne - historia i współczesność.
2. Książki i prasa.
3. Literatura.
4. Język.
5. Religia.
6. Filozofia.
7. Nauka i oświata.
8. Malarstwo.
9. Muzyka, opera i balet.
10. Teatr, film, radio, telewizja.

DAS JAHRBUCH DES DEUTSCHEN POLEN - INSTITUTS, / „Rocznik Instytutu“/, zawiera zapis najważniejszych wydarzeń z życia placówki a także aktualne informacje na temat stosunków niemiecko - polskich w zakresie kultury. Spotkania historyków, socjologów, germanistów, polonistów, pisarzy, tłumaczy i filozofów zapoczątkowane zostały publikacjami Instytutu, które jeden z recenzentów określił jako „dialogi bez tabu”. Ich autorzy, z niemieckiej i polskiej strony, odrzucali wzajemne uprzedzenia i starali się wydobywać to co łączyło nas w przeszłości, a co często odeszło w niepamięć. Rozważano dylematy historii i świadomości historycznej, kultury i środowiska społecznego, wojny i jej następstw, współżycia i wzajemnej walki. Starano się o niekonwencjonalny podział wypowiedzi - Polacy wypowiedzieli się na temat niemieckiego „Michela” i „Gemutlichkeit”, Niemcy o „Solidarności” i fenomenu polskiej religijności. Przedstawiano niemieckie i polskie interpretacje wielkich postaci - Napoleona, Bismarcka, Kopernika i Jana Pawła II. Tematy publikacji stały się przedmiotem dyskusji na spotkaniach, które Instytut wspólnie z Fundacją Roberta Boscha organizował

w nowych krajach związkowych. Pierwsze spotkanie odbyło się we Frankfurcie nad Odrą w 1993 r. i poświęcone było kulturalnemu znaczeniu religii i poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie na ile różnice stwarzają szansę dialogu między Niemcami i Polakami. Żywa dyskusja ukazała polską zdolność do samokrytycznego przedstawiania rzeczywistości i krytycznej analizy własnego obrazu. Rok później w Dreźnie dyskutowano o formach kolektywnej pamięci. Okazało się, że Polacy swoje wewnętrzne problemy potrafią przedstawić Niemcom i dyskutować o ich różnych aspektach. Biblioteka Instytutu zawiera blisko 40 tysięcy pozycji, na które składają się utwory literatury polskiej, jedyne tak licznie zgromadzone na terenie Niemiec, tłumaczenia polskie i niemieckie, w tym tzw. „Zbiór Lipschera” składający się z 1600 książek przetłumaczonych po wojnie z niemieckiego na język polski, ofiarowany Instytutowi przez Winfrieda Lipschera, radcę Ambasady Niemieckiej w Warszawie. Podstawowy księgozbiór został przekazany bibliotece przez Karla Dedeciusa w 1980 r. Następnie powiększał się dzięki hojności Fundacji Roberta Boscha, sponsorom prywatnym, różnym fundacjom i darom przekazywanym przez polskie wydawnictwa i biblioteki. Dodatkowy „zastrzyk” na zakup polskich książek, głównie słowników i wydawnictw, jakie ukazały się w nielegalnym obiegu, przekazała w 1994 r. Fundacja Współpracy Polsko - Niemieckiej. Archiwum dzieli się na trzy działy. I dział gromadzi niemieckie i polskie artykuły prasowe poświęcone współczesnym pisarzom polskim. Zbiór zawiera ponad 1200 nazwisk pisarzy. II dział zawiera artykuły prasowe poświęcone polskiej literaturze i kulturze, niemiecko - polskim kontaktom kulturalnym oraz dokumentacji poświęconej Polsce, liczącej 32 tysiące wycinków prasowych ze 120 czasopism. III dział gromadzi dokumentację filmową i radiową przekazaną przez niemieckie stacje radiowe i telewizyjne. Około 250 filmów zapisanych zostało w systemie komputerowym. W coraz szerszym zakresie do archiwum Instytutu wkracza Internet, umożliwiając wymianę informacji wszystkim zainteresowanym zbiorami archiwalnymi.

## GOŚCIE

Instytut pamięta o polskich tłumaczach. Sześciu spośród nich przyznane zostały nagrody Fundacji Roberta Boscha. W 1983 r. nagrodę otrzymała Sława Lisiecka - łodzianka. Od 1993 r. przyznawane są nagrody dla debiutujących tłumaczy, którzy przedstawiają swoje projekty, a po ich przyjęciu otrzymują stypendium na pobyt twórczy w Niemczech. Instytut jest szeroko otwarty dla polskich pisarzy i poetów. Przybywają oni do Darmstadt na spotkania i wykłady. Wśród gości Instytutu znaleźli się: Tadeusz Różewicz, Ewa Lipska, Wisława Szymborska, Zbigniew Herbert, Tadeusz Nowakowski, Adam Zagajewski, Hanna Krall, Ryszard Kapuściński, Andrzej Szczypiorski, Andrzej Kuśniewicz, Ryszard Krynicki, Bronisław Maj, Paweł Heulle, Jacek Bocheński i wielu innych. Instytut w Darmstadt stał się celem licznych wycieczek młodzieży niemieckiej i polskiej. W maju 1987 r. niemieccy i polscy studenci spotkali się na bezpośredniej rozmowie, w której uczestniczyli również Karl Dedecius i ówczesny prezydent Niemiec Richard von Weizsacker. Na Politechnice w Darmstadt odbywały się liczne imprezy poświęcone prezentacji kultury polskiej. Jedną z wystaw poświęconą została lekarzowi, pisarzowi i wychowawcy - Januszowi Korczakowi. Nagroda jego imienia przyznawana jest w Darmstadt organizacjom i osobom działającym na rzecz zbliżenia Niemców i Polaków. Wymiana odbywała się w obie strony. Wystawa zatytułowana „Polskie Dedeciana” ukazująca dorobek twórczy Karla Dedeciusa przedstawiana była w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Darmstadt, jako miasto odgrywające ważną rolę w budowaniu porozumienia między Niemcami i Polakami było prezentowane na wystawie, którą mogli obejrzeć mieszkańcy Lublina, Łodzi i Torunia. O Darmstadt i Instytucie powstało kilkanaście filmów, prezentowanych następnie w telewizji polskiej i niemieckiej.

## KONTAKTY

Członkami zbiorowymi Stowarzyszenia Deutsches Polen - Institut jest 12, wcześniej wymienionych, miast niemieckich. Z ich inicjatywy instytut zorganizował kilka posiedzeń na wybrane tematy związane z funkcjonowaniem samorządów, w których uczestniczyli przedstawiciele miast i gmin niemieckich, które pragnęły nawiązać kontakt z partnerami w Polsce. Ilość podpisanych umów o współpracy partnerskiej z każdym rokiem szybko rosła. Na kolejnych kolokwjach miast zjawiało się coraz więcej osób, do Darmstadt na dyskusje samorządowe zaczęli również przyjeżdżać przedstawiciele miast polskich. „Niemcy i Polacy w Europie” brzmiał tytuł wykładu Karla Dedeciusa, który stał się hasłem pierwszego roku pracy Instytutu. Następne hasło to: „Polskie odpowiedzi na niemieckie pytania” i jego odmiana: „Niemieckie odpowiedzi na polskie pytania”. Stawiano je kiedy jeszcze nie całkiem opadła „żelazna kurtyna”. Karla Dedeciusa i jego współpracowników zapraszały uniwersytety, miasta, szkoły, stowarzyszenia. Rocznie tych spotkań bywało do 40 w Niemczech i Polsce. Dyskutowano na temat: „Obraz nieprzyjaciela, i co dalej?”, „Przyszłość i przeszłość”, „Problemy niemiecko - polskiego porozumienia”. Zasypywano w ten sposób wzajemną nieufność, obcość, bezradność. Zachęcano do nawiązywania kontaktów i szukania terenów do współdziałania. Instytut uczestniczył w sympozjach niemiecko - polskich organizowanych w Dubrowniku i Wiedniu, kongresach tłumaczy w Warszawie, Sofii i Moskwie. Karl Dedecius towarzyszył swoimi wykładami wystawie niemieckich książek przetłumaczonych na język polski, która zaprezentowana została w Nowym Jorku, Chicago i Milwaukee, skupiających znaczny odsetek ludności niemieckiej i polskiej. Podobne wystawy, odczyty i imprezy odbywały się, dzięki wsparciu Instytutu Goethego i Inter Nationes, w Rotterdamie, Hadze, Zurychu, Raperswilu, Paryżu, Gdańsku i Toruniu Ciesząca się dużym zainteresowaniem wystawa „Polonica Dedeciana” prezentowana była w 1982 r. w Instytucie Polskim w Wiedniu, pięć lat później wystawa ta zaprezentowana została na uniwersytetach w Łodzi i Lublinie. Wydarzeniem obszernie odnotowanym przez prasę była zorganizowana w Krakowie w 1989 r. debata „Pragnę być Europejczykiem? Naród

w Europie." w której wzięło udział blisko stu młodych Niemców i Polaków. Wygłaszali oni liczne referaty, prowadzili dyskusje wyznaczone hasłem : „Czy Polska leży w Europie?”, „Niemiecka tożsamość pod warunkiem zgody na podział?” Z żywym zainteresowaniem spotkała się wystawa „Książki nie znają granic” zaprezentowana w 1990 r. w wielu miastach Polski, w tym również w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Dodać do tego należy udział pracowników Instytutu w różnych spotkaniach pisarzy i tłumaczy z Niemiec i Polski, udział Karla Dedeciusa w jury ważnych konkursów i gremiach przyznających prestiżowe niemieckie nagrody literackie. Otrzymywali je najwięksi polscy poeci - Tadeusz Różewicz, Wisława Szymborska, Zbigniew Herbert.

## EPILOG

Instytut, pod nowym kierownictwem, działa nadal. Karl Dedecius przeszedł na zasłużoną emeryturę. Był twórcą Instytutu, wytyczał jego program, skutecznie zabiegał o fundusze, umiał przydać działaniom naukowym atmosferę klubu literackiego i kawiarni artystycznej. Do Deutsches Polen - Institut często przyjeżdżali politycy, pisarze, znani dziennikarze, życie kulturalne Darmstadt wzbogaciło się o wiele interesujących i prestiżowych imprez. Trudno uwierzyć, jak wiele najrozmaitszych przedsięwzięć w niespełna 20. lat udało się zrealizować. Najważniejszym osiągnięciem Instytutu było zbliżenie poprzez kulturę Niemców i Polaków. Dzisiaj, kiedy stali się oni sobie bliscy, jak nigdy dotąd w tysiącletniej historii, dobre stosunki niemiecko - polskie wydają się czymś zupełnie normalnym. Warto pamiętać co dla tej normalności wniósł Instytut w Darmstadt i jego twórca - Karl Dedecius, Niemiec rodem z Łodzi.

W artykule wykorzystano roczniki Deutsches Polen - Institut,



KRZYSZTOF  
SKUDZIŃSKI - KWIST

## WSPOMNIENIA O FILMÓWCE

Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa Telewizyjna i Teatralna, zwana popularnie w Łodzi Filmówką, jest miejscem na tyle szczególnym, iż stwarza fragment kulturowego kolorytu miasta. Posiada ona wydziały filmowe: kierownictwa produkcji, operatorski i reżyserii filmowej, oraz wydział aktorski, który trudno nazwać filmowym, ponieważ jego program przygotowuje raczej do zajęcia miejsca na scenie niż przed kamerą. Programem kształcenia wydział aktorski jest powiązany z wydziałami filmowymi w sposób marginesowy czy też przypadkowy.

W czasach kiedy studiowałem w Filmówce reżyserię były w programie zajęć reżyserskich tylko dwie godziny zajęć w tygodniu wspólnych z aktorami. Niektórzy studenci wydziału aktorskiego garnęli się do kontaktów z filmowcami, czując, iż są one doskonałym uzupełnieniem programowego kształcenia oraz wiedząc, iż na wydziale operatorskim i reżyserii znajdują się blisko nich ludzie, którzy będą w przyszłości kreatorami branży filmu. W latach 70-tych grupa studentów wydziału aktorskiego z różnych lat studiów, spotykała się ze studentami wydziałów filmowych „poza pro-

gramem lekcyjnym", aby zbliżyć się do reżyserskiego czy też operatorskiego myślenia oraz odczuwania filmowej sztuki i rzeczywistości. Ta tendencja zbliżenia jest obecna także współcześnie, zwłaszcza, iż niektórzy wykładowcy filmowi chętnie prowadzą zajęcia otwarte, podnoszące twórczą temperaturę uczelni. Odrębność wydziału aktorskiego jest chyba jedynym powodem, stojącym na przeszkodzie, aby Filmówkę traktować jako jednorodną i spójną całość, natomiast głównym powodem, aby ją tak traktować, jest fakt, iż wszyscy się tutaj dobrze znają, ponieważ chcą się znać, bo zwiększa im to zawodową szansę na przyszłość. Jeszcze zanim wkroczyłem do Filmówki jako student, wiedziałem o niej dużo i miałem w niej wielu znajomych i przyjaciół. Byłem studentem filmoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Teorii Literatury, Teatru i Filmu u profesora Bolesława Lewickiego, który w pewnym momencie zagościł również na tronie rektora Filmówki. Pisząc pracę magisterską z teorii aktorstwa filmowego, korzystałem z przemyśleń przyjaciół z Filmówki, z którymi miałem kontakt przez Klub 77 (i kilka domów otwartych), gdzie na początku lat 70-tych student reżyserii Marek Koterski prowadził artystyczne spory w dyskusjach z kim się dało i przy jakiegokolwiek okazji. Kiedy już o 23-ciej klub kończył pracę, dyskusje przenosiły się do SPATIFU, gdzie trwały do 2-giej w nocy, a następnie przenosiły do „Casanowy”, którą ktoś ochrzcił komicznym mianem „Kaszanki”, gdzie trwały do 5-tej rano. Łódź w tym czasie początku lat 70-tych była miastem artystów biesiadnych, których kilka grup mijało się na ulicach przy przemieszczaniu z restauracji do restauracji. Miejscem artystycznych biesiad była wtedy również restauracja „Turystyczna”, a w pewnym momencie „Klub Plastyków”, gdzie dwie panie podawały napój żurawinowy i potrafiły go nie podać, jeśli ktoś zasiadł przy stoliku, nie mając poręczenia ze strony członków klubu, którzy posiadali karnety wejściowe. Rolę „Honoratki” z lat 60-tych przejął „Klub Plastyków”, którego miła elitarna atmosfera niebywale inspirowała do rozmów i dyskusji twórczych, kraszonych od czasu do czasu happeningiem lub projekcją filmową z udziałem autorów. Bywało, iż Klub był po prostu zapchany podczas niektórych spotkań, a gościli w nim twórcy ogniskujący na sobie dużą

ciekawość środowiska. Filmówka była szkołą otwartą. Mógł do niej wchodzić kto chciał i rozmawiać z kim chciał. Portier nikogo nie sprawdzał. W tamtych latach nieoficjalnym centrum kulturalnym w Szkole był bar, w którym pani Halinka błyskawicznie przyrządzała pyszną jajecnicę, oraz robiła to, co nie było praktykowane nigdzie indziej w Łodzi: sprzedawała papierosy na sztuki, przekonana do tego przez studentów warszawskich. W tym małym pomieszczeniu, w którym oprócz bufetu mieściły się jeszcze tylko 4 stoliki, ocierali się o siebie studenci z profesorami, ze statystami oraz różnymi filmowymi kibicami spoza Szkoły. Niektórzy statyści byli postaciami niezwykle barwnymi, na czele z panem Wacławem Antczakiem, Kawczyńskim, czy panią Iżykowską, statystującą w Filmówce od czasów Romana Polańskiego, który już tutaj był gwiazdą. Pan Antczak i pani Iżykowska grali nawet w „Rejsie” Marka Piwowskiego, który przeszedł Filmówkę w glorii genialnego bon vivanta.

Otwartość Szkoły najlepiej zaznaczała się na projekcjach, na które wpuszczano gości z prawdziwą gościnnością. Projekcje odbywały się codziennie, a w czwartek wyświetlane były „bezdebitny” czyli filmy nie zakupione przez kinematografię polską. W tych czasach dużo ważnych filmów nie było kupowanych, ponieważ były za drogie lub ukazywały rzeczywistość od strony, która nie była mile widziana. Filmy zbuntowanych politycznie reżyserów nie były kupowane, dotyczyło to nawet takich wielkości jak Forman. Niezwykle sprawną pocztą pantoflową rozchodziła się po mieście wiadomość, że będzie w Filmówce projekcja jakiegoś ważnego filmu i wtedy przybywała do szkoły grupa entuzjastów kina, którzy czekali na niezakupione filmy ze zglodniałą ciekawością. Tylko w szczególnych wypadkach niezmordowana w animacji spotkań, organizacji pokazów i wszelkiego życia intelektualnego Szkoły dr Jolanta Leman, przestrzegała, aby pierwszeństwo w zajmowaniu miejsc przysługiwało studentom i profesorom Szkoły. Ale nigdy nie zaistniała taka sytuacja, aby ktoś nie został wpuszczony, kiedy na sali było jeszcze miejsce. Zdarzało się, że był tłok, że siedziano niemal pod ekranem i zapełnione były tłoczno wszystkie miejsca stojące. Tak było na projekcjach ważnych filmów, takich jak np. „Woodstock”, albo „Wiek XX”

Bertolucciego, które można było obejrzyć w tamtych czasach tylko tutaj. W ten sposób Szkoła była otwartym centrum filmowym niezależnie od tego, iż była uczelnią wyższą z jej wszelkimi rygorami i z obowiązkiem posiadania podpisów w indeksie.

Filmówka przeżywała swoje wzloty i upadki oraz miała charakter politycznie plastyczny, dzięki czemu mogła istnieć. Na wydziale o największej odpowiedzialności kreatywnej, czyli wydziale reżyserii, studiowały prawdziwe indywidualności o bardzo szerokim zaangażowaniu emocjonalno-intelektualnym w rzeczywistość. Byli to ludzie, którzy iskrzyli zaangażowaniem politycznym i pulsowali energią kreatywną, zatem marzec 1968 nie mógł ominąć Filmówki i przykręcił jej nieco śrubę. Po 1968 roku zmuszony był opuścić szkołę jej wielki guru, profesor i rektor Jerzy Toeplitz. Zostało to odczute jako żenujący antysemityzm. Studenci bronili profesora, ale on sam polecił im spokój, „ponieważ tak mała uczelnia jak Filmówka może być zawsze rozwiązana, a przecież jest ona dla entuzjastów filmu rzeczą dobrą, ponieważ dopuszcza do filmu młodą krew, młode myślenie i młode pomysły, a zatem umożliwia naturalny rozwój narodowej sztuki filmowej, niezależnie czy wywodzi się ona z rodowodów sarmackich czy semickich.”

Wydział reżyserii był niesforny. Był on przez Ministerstwo ugrzeczniany na drodze zmian personalnych na stanowiskach wykładowczych w Szkole. To ugrzecznianie było odczuwane jako działanie przeciwko sztuce filmowej, która póki co znajdowała się pod dobroduszną promocją hasła: „ze wszystkich sztuk sztuka filmu będzie dla nas najważniejszą” (W.I.Lenin) Profesor Bolesław Lewicki zajął fotel rektora i zachowywał się na nim ze swobodą i *vis comica* przewyższającymi swego poprzednika rektora. Znalazł się on w Szkole w bardzo niefortunnej chwili. Nastąpił na wydziale reżyserii moment strachu, iż Szkoła zostanie przemieniona na uczelnię teoretyczną i że ta teoria będzie pod dyktando władz szkodziła praktyce. Nie było tak źle, chociaż trochę się zamroziło. Reżyserka Wanda Jakubowska stała się ponownie osobą decydującą wśród pedagogów na wydziale reżyserii, bowiem Ministerstwu wydawało się, iż historia poświadcza kompetencje ideowe tej artystki

jako pedagoga i stróża umysłów i talentu. Przeszła ona znakomitą praktykę ideową w czasach stalinowskich. Władza nie chciała filmów, które ukazywałyby podszywkę rzeczywistości. Władza lubiła filmy bezproblemowe w sensie społecznym, lub z fikcyjnym problemem ideowymi i na ten zakres sztuki filmowej rozciągała się jej promocja. Po marcu 1968 władza straciła zaufanie do reżyserów i zaczęła uważniej się im przyglądać. Tendencja ta promieniowała z Komitetu Centralnego do Naczelnego Zarządu Kinematografii i na dół aż do wydziału reżyserii w Filmówce.

W roku 1973 rozpoczął swe zajęcia na wydziale reżyserii w Filmówce reżyser Henryk Kluba. Jego obecność była przez studentów bardzo dobrze przyjęta. Dwa filmy „Chudy i inni” oraz „Słońce wschodzi raz na dzień” były znane studentom, a fakt, iż nie były one promowane przez władzę zjednywał sympatię dla ich reżysera. Sympatia dla Kluby wynikała z faktu, iż nie był on reżyserem koniunkturalnym i wszyscy szanowaliśmy jego niezależną postawę twórczą oraz udany kształt artystyczny filmów. Jeszcze zanim stałem się oficjalnym studentem reżyserii, zdarzało mi się przysłuchiwać zajęciom, które Kluba prowadził od czasu do czasu w... „Klubie Plastików”. Kluba miał nam dużo do powiedzenia, był on bliskim świadkiem rozwoju takiego zjawiska jak Szkoła Polska i wchodził ze studentami w stosunek prywatny, czyli nie wzbraniał się nam powiedzieć więcej niż było przewidziane w oficjalnym programie edukacyjnym. W Szkole trwał mit Romana Polańskiego, z którym Kluba był związany przez fakt udziału aktorskiego w filmie „Dwaj ludzie z szafą”. Polański był dla aspirantów w zawodzie reżyserii filmowej posiadaczem tajemnicy realizacji filmów pełnych inwencji warsztatowej, doskonałych w sensie formalnym i emocjonalnym, żywo trafiających w zainteresowanie widza, symbolem mistrzostwa i sukcesu w sensie międzynarodowym. „Dwaj ludzie z szafą” był filmem szkolnym najczęściej oglądanym przez studentów i tak to jest do dzisiaj. Tak jak przed laty również i obecnie coraz to nowe grupy studentów reżyserii dociekają tajemnicy mistrza Polańskiego, który przynosi swymi filmami najwięcej splendoru wydziałowi reżyserii łódzkiej Filmówki. Czy to była

minutowa etiuda „Uśmiech zębiczny”, czy dokument „Rozbijemy zabawę”, czy psychologiczny „Nóż w wodzie” (najbardziej nie lubiany film przez sekretarza Gomułkę, ponieważ ukazywał on konflikt, którego rzekomo nie było).

W 1974 roku jako magister filmoznawstwa Uniwersytetu Łódzkiego (z rozprawą o specyfice aktorstwa filmowego) i autor opowiadań wydanych w Wydawnictwie Literackim „Rekolekcje dla głuchoniemych” przystąpiłem do egzaminu wstępnego na wydział reżyserii. Egzamin ten to trwający 2 tygodnie konkurs. Startowałem w grupie około stu kandydatów, absolwentów szkół wyższych. Kieślowski niegdyś żartował, iż Filmówka to „państwowa najwyższa szkoła wyższa” - przynajmniej w trakcie egzaminu wstępnego na wydział reżyserii można było odnieść takie wrażenie. Udział w tym egzaminie była to prawdziwa przygoda. Około stu absolwentów wyższych uczelni w kraju i za granicą poddawało się sprawdzianowi w zakresie znawstwa filmu, wyobraźni, smaku, dojrzałości i praktycznych predyspozycji dowodzenia ekipą filmowych współpracowników. Kandydat musiał czymś zaimponować komisji. Komisja była zmęczona całodziennym przyglądaniem się kandydatom. Nie koniecznie egzaminowanie z predyspozycji do reżyserii musiało być rzeczą interesującą. Egzaminujący przysypiali czasem i premiiowany był kandydat, który umiał komisję wybić ze snu. Niektórzy z nas celowo dramatyzowali swoje spotkania z komisją, inni niebezpiecznie wspinali się do góry, ryzykownie balansując na krawędzi dobrego i złego poczucia humoru. Na egzaminie zawiązywały się pierwsze więzi przyszłych studentów między sobą i z asystentami wykładowców z wydziału reżyserii. Od czasu do czasu wybuchała jakaś bomba, na przykład pojawiał się kandydat spóźnialski. Spóźnienie się kandydata na egzamin wstępny, choć ryzykowne, było bardzo dobrą formą zwrócenia na siebie zainteresowania, a do takich zwycięsko spóźnialskich zaliczyć należy reżyserów Adka Drabińskiego i przede wszystkim Lecha Majewskiego, który bardzo niepokojąco „naciągnął strunę”, pojawiając się dopiero na ostatnim etapie egzaminu. Jeden z najbardziej pewnych kandydatów podobno tak dużo się spóźnił, że w ogóle nie zdążył na egzamin.

Niektórzy kandydaci byli pewniakami, większymi pewniakami niż niektórzy wykładowcy na swoich stanowiskach. Trzeba było znać trochę arkan sztukmistrzostwa i umieć „wydobyć gołębia spod pachy” lub jaką „silną kartę z rękawa”. Trzeba było umieć rozmawiać na temat reżyserii blefów czy blagierstwa, czy też rozprawiać na temat prawdy własnego przeznaczenia reżyserskiego. W tym wszystkim trzeba było udowodnić własną dyscyplinę i pryncypialność w traktowaniu sztuki filmowej. Rozprawiając o reżyserii blefu, trzeba było umieć skrótowo udowodnić brak blefów we własnych działaniach. Asystent Marek Koterski był niezłomnym tropicielem blefów na egzaminie wstępnym i drastycznym demaskatorem blagi, zwłaszcza u kandydatów, którzy próbowali wśliznąć się z pożyczoną twórczością. Gdyby wzorem rzymskiej szkoły filmowej, chcieć się pokusić o serial na temat łódzkiej Filmówki sekwencja egzaminów wstępnych dawałaby wiele świetnych materiałów. Jeśli Filmówka ma swoją legendę (a ma ją), to legenda ta dopomni się wreszcie o swą ekranizację, a wielu z nas studentów reżyserii patrzyło już z tego punktu widzenia na życie Szkoły. Kadra wykładowców i pracowników nie jest tutaj grupą bezbarwną, wręcz przeciwnie i byłoby wstyd pomyśleć o nich, iż nie nadają się oni do scenariusza. Byłoby wstyd pomyśleć, że dziekan Mierzejewski nie nadaje się do scenariusza, że profesorzy Rybkowski, Has, Kluba, reżyser Królikiewicz, czy też Maria Kornatowska (czarująca krytyk filmowa) lub Sabina Kubik (strażnik utajnionych obrad egzaminacyjnych) nie nadają się do scenariusza. Egzamin wstępny wyluskuje tych, którzy rokują największe nadzieje na czteroletnie współżycie ze Szkołą. Po dwutygodniowych zawodach, zostało nas przyjętych 10 osób, którzy od razu poczuli wręczoną im „buławę marszałkowską”. Niedługo po odebraniu legitymacji studenckich te 10 osób poczuło swoje role w scenariuszu, który mogłby nosić roboczy tytuł „Studia reżyserii”. Scenariusz był zaprojektowany przez profesora Jerzego Toeplitza, lekko zmodyfikowany przez profesora Bolesława Lewickiego, zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i podpisany do realizacji przez Kierownika Wydziału Kultury Komitetu Centralnego PZPR. W tym scenariuszu trzeba było odegrać dobrze swoją

rolę, bowiem złe odegranie roli znaczyło odebranie sobie promocji artystycznej, uwarunkowanej od dostosowania się do różnych reguł, które nie były wykładane w zakresie kursu reżyserii filmowej. W swoim uproszczeniu zadanie to polegało na nakręceniu jak najlepszych filmów w Szkole, ale były jeszcze wyżej notowane pomysły. Najwyżej na giełdzie pomysłów stał ten, aby wszystkie etiudy w Szkole realizować w taki sposób, aby złożone razem stanowiły one jeden film gotowy do rozpowszechniania. Wadą pomysłu było, iż został on już zrealizowany i jako pomysł nieoryginalny mógł być oczywiście powtórzony, ale nie było to rzeczą łatwą, gdyż musiał się on zaspokoić dość niskimi kosztami, jakie gwarantowała Szkoła. Większość z nas miała już na pierwszym roku pełnometrażowe propozycje scenariuszowe, ale niestety nie nadawały się one do czteroletniej realizacji w warunkach finansowych Szkoły. Geniusz reżysera Jerzego Skolimowskiego polegał na umiejętności dostosowania scenariusza do wyjątkowo taniej inscenizacji, co było możliwe przez znalezienie atrakcyjnego wizualnego sposobu na ukazanie biednej akcji, dziejącej się w ubogich dekoracjach. Witold Leszczyński ze swym „Żywotem Mateusza” wyszedł również zwycięsko w realizacji taniej wizualności. Być może bardzo udana etiuda absolwencka lub dyplomowa, dawałaby widoki na dokończenie dzieła w którymś z 10-ciu państwowych Zespołów Filmowych, ale osiągnięcie takiej promocji było w latach 70-tych niestety niemożliwe. Nie pozostawało nic innego jak realizować jak najlepiej etiudy szkolne, licząc na sukces na festiwalach filmów studenckich. Nie było to rzeczą prostą. Opiekunowie etiud często nie zatwierdzali pierwszych scenariuszy. Te następne scenariusze zmniejszały szanse artystyczne etiud, były momenty, kiedy studenci jednego roku reżyserii objawiali się sobie nagle w tym kontekście jako przyszli rywale w bitwie o fundusze twórcze. Takie momenty nie były miłe, a jednak konkretne lata posuwały się przez Szkołę w pogodnej atmosferze, chociaż czasami mogła budzić wątpliwości jej szczerłość. Z przybyciem na etat wykładowcy i opiekuńki artystycznej Wandy Jakubowskiej pojawił się wśród studentów reżyserii błąd strach. Ta wielce uhonorowana reżyserka, która „Ostatnim etapem”



wprowadziła kinematografię PRL do Europy, nie rozumiała naszych pomysłów i naszej wrażliwości. Najbardziej szanowała ona adaptacje polskiej klasyki literackiej, czym przyczyniła się na przykład do ekranizacji „Dymu” według Marii Konopnickiej przez studenta Jarosława Kuszę (z roku 2 lata wyżej od mojego). Powstał utwór delikatnie mówiąc bardzo kontrowersyjny i dopiero kilka lat potem jego reżyser wystąpił na arenie filmu telewizyjnego z udanym filmem „Panienci”. Podobne kłopoty jak z etiudą fabularną napotykaliliśmy przy realizacji etiudy dokumentalnej, którą dozorował nestor polskiego dokumentu, profesor Kazimierz Karabasz. Mało z nas potrafiło się zmieścić w wyjątkowo delikatnym guście autora znakomitych „Muzykantów”. Autentyczny sprzeciw profesora budziły wszelkie drastyczności w filmie. Sprzyjało to powstawaniu wyjątkowo chłodnych i neutralnych etiud, podczas gdy na festiwalach nagradzane były etiudy gorące i drastyczne. Bardziej tolerancyjny dla naszej młodości był profesor Jerzy Bossak (dokumentalista, autor głośnej „Powodzi”), dlatego też garnęliśmy się do niego. Profesor Bossak lubił wykraczać poza granice instytucjonalności i rozmowy z nim uzyskiwały pełen prawdy wymiar prywatny. Bossak zapraszał nas do swego domu w Warszawie na konsultacje, gdzie można było otwarcie gawędzić na temat sytuacji w kinematografii i dowiadywać się rzeczy, które wynikały z głębokiego doświadczenia profesora i jego znanstwa. Profesor miał bardzo dużo do powiedzenia, dawał wyraz swemu znanstwu nie tylko na terenie filmu dokumentalnego, ale i fabularnego. Jako kierownik artystyczny Zespołu Filmowego „Syrena” był on producentem głośnego „Noża w wodzie” Romana Polańskiego i przeszedł na swojej skórze wszystkie kłopoty polityczne z tym filmem związane, a warto pamiętać, iż dla Władysława Gomułki był to właśnie dokładnie taki film, jakich „nam nie potrzeba”. Profesor Bossak, znając płynnie język angielski i niemiecki, był bywalcem Europy, członkiem wielu jury festiwalowych i właścicielem wielu zadziwiających kontaktów. Bardzo lubił występować on w roli inspiratora i wszyscy znaliśmy historię jak jego pomysł o jednostce wojskowej na przepustce w mieście prowincjonalnym z nadmiarem dziewcząt zainspirował „Miłość blondynki” Miłosa Formana. Profesor Bossak najuważniej czytał nasze

scenariusze i naprawdę zależało mu na wartości swego doradztwa. Był człowiekiem skromnym bez tej nonszalancji jaką przejawiał Jan Rybkowski, opiekun zrealizowanego przeze mnie filmu absolutoryjnego „Lekarz wiejski” według Franza Kafki, który uzyskał sympatię Wojciecha Hasa. Kiedy rozpocząłem studia, dziekanem wydziału reżyserii był profesor Jerzy Mierzejewski - artysta malarz, który swoją pełną humoru postawą przypominał nam, iż reżyser musi być człowiekiem pogodnym i znać się na żartach. Mierzejewski miał swój program edukacyjny na wydziale reżyserii, który demonstrował nam prezentacjami wybranych przez niego etiud szkolnych, po których prowadził z nami dyskusję warsztatową. To co najistotniejszego chciał nam przekazać zawierało się w etiudzie Witolda Leszczyńskiego „Portret mężczyzny z medalionem”. Mierzejewski akcentował filmem Leszczyńskiego prymat klimatu ponad wszelkimi innymi możliwościami kina fabularnego. Za czasów Mierzejewskiego w dyskusjach o filmie ważne było pojęcie smaku, gustu i stylu, z nastaniem Jana Rybkowskiego najważniejsze było rzemiosło, a ideałem reżyser do wszystkiego.

Do kolejnych przemian w Filmówce na wydziale reżyserii przyczyniły się dwa incydenty. Byłem wówczas studentem pierwszego roku, który zajęty był ćwiczeniami telewizyjnymi z przedmiotu reżyseria widowiska telewizyjnego. Opiekunem tych zajęć była Wanda Jakubowska, która zaakceptowała pomysł studenta Tadeusza Kijańskiego, abyśmy wszyscy pracowali nad tekstami Tadeusza Konwickiego. Przysługiwał nam wybór fragmentów z bogatej twórczości pisarza. Równocześnie na 3-cim wówczas roku Wanda Jakubowska opiekowała się fabularnym filmem politycznym Filipa Bajona, osnutym na wydarzeniach poznańskich. Profesor Jakubowska nie przewidziała, iż wszyscy wybraliśmy z Konwickiego najbardziej gorące fragmenty. Komisja pod wodzą rektora Kuszewskiego ujrzała na ekranie wyjątkowo gorzkie i obnażające nie to co potrzeba adaptacje. Kropkę nad i postawił wyjątkowo prawdomówny film Bajona. To co się stało po prostu wykroczyło poza wyobraźnię profesor Jakubowskiej, oto przez niedopatrzenie stała się ona opiekunką filmów, które jawiły się jako złowrogie zarzewie polityczne. Rektor Stanisław Kuszewski miał na tyle

duże pretensje do głośnej reżyserki, iż ta obraziła się na niego i Szkołę. Były inne drobne przemiany, rektor miał również pretensje do dziekana Mierzejewskiego, który zachwycił nas bezustannie swą inwencją, wyobraźnią i iskrzącym się od dowcipu sposobem bycia - na skutek tych pretensji dziekan spoważniał, a następny rok szkolny rozpoczęliśmy już w dziekanacie Jana Rybkowskiego. Nowy dziekan miał swój wyraźny program. Nie chciał on nas nauczyć niczego więcej prócz rzemiosła reżyserii filmowej. Szkoła miała kształcić rzemieślników a nie artystów. To, co komu w sercu gra przestało być ważne, chodziło o to, aby absolwent reżyserii był w stanie podołać tradycyjnemu zamówieniu producenckiemu. Aby nie sprawiało mu różnicy, czy realizuje swój czy cudzy scenariusz, swój czy cudzy pomysł. Reżyser filmowy to miał być ktoś do usług. Sam reżyser Rybkowski był najlepszym przykładem artysty do wszystkiego. W tym czasie realizował on serial „Nikodem Dyzma” i dowodem jego wirtuozowskiego rzemiosła reżyserskiego był fakt, iż nie potrzebował w ogóle być na planie. To było dla nas wszystkich coś nowego, ale stopniowo dowiadywaliśmy się coraz więcej. Andrzej Wajda też nie potrzebował być na planie „Kanału”, który według jego zaleceń rzetelnie wyrzeźbił drugi reżyser Kazimierz Kutz. Kiedy Andrzej Wajda realizował „Ziemię obiecaną”, asystent Jerzy Oblamski zaangażował nas przy filmie jako epizodystów. Była w epizodach w tym filmie prawie cała Filmówka. Andrzej Wajda przyszedł na plan na pół minuty. Stał i spojrzał na nas spoza przymkniętych powiek. W tym momencie poczuliśmy się wszyscy w swoich rolach. Potem reżyser omówił realizację z operatorami i asystentami, i w ogóle nie reżyserował nic bezpośrednio, co mógłby zobaczyć aktor. (Pracę przy filmie reżysera rejestrował wtedy świeży absolwent Radosław Piwowski.) Na planie widzieliśmy Wajdę około pół minuty w ciągu całego dnia zdjęciowego, ale trzeba przyznać, iż wszystko było zainscenizowane i sfotografowane bez zarzutu. Franciszek Pieczka, obok którego spędziłem cały ten dzień zdjęciowy, zwrócił mi uwagę na głębokie przemyślenie pracy reżyserskiej przed przyjściem na plan reżysera i jego pracę „za kulisami”. Cudotwórstwo Wajdy polegało na tym, iż zdjęcia posuwały się bezproblemowo, cała zaś metoda polegała

na wszczęciu w ekipę nieomylnego i twórczego ducha. Przykłady te mogłyby posłużyć myślniej tezie, iż reżyseruje się łatwo, gdy tymczasem sama organizacja ekipy to trudna i odpowiedzialna reżyseria. Świeżo przyjęci studenci reżyserii byli zazwyczaj zbyt ambitni, aby poddać się koncepcji szkolenia rzemieślniczego. Wszyscy mieli własne projekty, pomysły, indywidualną wrażliwość, własne przesłania i upodobania artystyczne, własne wyobrażenia w zakresie tematów, rodzajów i stylów tej twórczości, która miała być ich własna, nie przyczesana, nie konformistyczna, i właśnie z tego względu wartościowa. Wszyscy mieliśmy wyobrażenie, iż to my będziemy kreować własne drogi twórcze. Podczas gdy studiowaliśmy i zapoznawaliśmy się ze strukturą kinematografii, musieliśmy pogodzić się z faktem, iż będzie od nas oczekiwana dyspozycyjność w realizacji tematów zleconych. W produkcji ówczesnych Zespołów Filmowych twórczość z inwencji reżyserów nie przekraczała 50 procent. A jednak wielu z nas decydowało się na trudniejszą drogę własnych propozycji. Jaką iść drogą i jak się orientować w zależności od założeń i aspiracji była to wiedza tajemna, którą zdobywaliśmy od starszych studentów drogą przyjaźni. W tym sensie studenci wszystkich lat byli grupą przyjaciół, wśród których bardziej uprzywilejowani nie zawsze mieli ochotę wtajemniczać innych. Wytwarzały się różne rodzaje oddziaływań emocjonalnych, z których większość miała charakter pozytywny. Z punktu widzenia socjologii na wydziale reżyserii reprezentowane były 4 środowiska: środowisko warszawskie, środowisko łódzkie, środowisko obcokrajowców i środowisko prowincjonalne. Kiedy Filmówka była zakładana w Łodzi, podobno wzięło się to z przekornego pomysłu władz partyjnych, aby upokorzyć nieco „Warszawkę” i aby dzieci ministrów poznały też sytuację dojeżdżania do szkoły - w poniedziałek rano pociąg z Warszawy do Łodzi i w piątek wieczorem z Łodzi do Warszawy - co tydzień kilka przedziałów tego pociągu zapelnionych było studentami wydziału reżyserii i operatorskiego. Grupa warszawska była w sensie branżowym informacyjnie uprzywilejowana, nie wynikało z tego jednak, aby była ona oceniana w sposób uprzywilejowany. Gdyby przypatrzeć się grupie aspirantów w zawodzie, ocenianych jako najzdolniejsi, niekoniecznie Warszawa

wychodziła z tego zwycięsko. Niepodważalnym liderem studentów lat 70-tych był o to „prowincjusz” z Pińczowa Andrzej Barański. Począwszy od dokumentalnego „Dnia pracy” wszystkie szkolne filmy Barańskiego zwyciężały w szkolnych notowaniach, zostawiając w polu pokonanych takie nazwiska jak Falk czy Bugajski. Rzemieślniczy program kształcenia spod znaku rektora Stanisława Kuszewskiego i dziekana Jana Rybkowskiego wytworzył na wydziałach reżyserii i operatorskim opozycję artystyczną, która skupiła się wokół „Warsztatu formy filmowej”, dzielnie reprezentowanemu wśród kadr pedagogicznych przez operatora i artystę awangardowego Józefa Robakowskiego, wiernie oddanego idei poszukiwań twórczych, znakomitego animatora niepokoju twórczego. „Warsztat formy filmowej” stanowił grupę studentów zainteresowanych poszukiwaniami warsztatowymi. W grupie tej stawiał pierwsze kroki Zbigniew Rybczyński, nie można pominąć ciekawych dokonań „warsztatowych” Tadeusza Junaka, Ryszarda Waśki, Wojciecha Bruszewskiego i innych. Przeciw ograniczonej doktrynie pojmowania reżyserii występowała również liczna grupa studentów, która skupiła się wokół Grzegorza Królikiewicza, prowadzącego zajęcia z przedmiotu „Analiza filmu fabularnego”, właśnie on najbardziej z całej kadry wykładowczej reprezentował tendencję zbliżenia się do studentów, a dzięki swej nieprzejednanej waleczności o wolność sztuki stał się dla nas guru. Piotr Szulkin również próbował w pewnym momencie zgromadzić grupę ideowo-artystyczną pod nazwą „kaligrafów”.

Gdyby jednak na kurs reżyserii spojrzeć od strony zamówionych z archiwum szkolnego filmowych projekcji edukacyjnych w sensie statystycznym, należałoby uznać, iż najpopularniejszym nauczycielem sztuki filmowej w sensie pozainstytucjonalnym był jednak Roman Polański. Fascynacja Polańskim była uzasadniona i podtrzymywana przez miasto, w którym żyli przyjaciele Polańskiego, przede wszystkim Frykowscy. Polański jako student uwiódł Filmówkę i dzierżył ciągle z daleka magiczną władzę nad wydziałem reżyserii w latach 70-tych, kiedy to niedobry klimat polityczny w Polsce nie sprzyjał jego wizytom tutaj. Było wiele zaproszeń ze strony studentów na poprowadzenie lekcji pokazowej reżyserii przez Polańskiego, ale artysta nie lubił się pokazywać

w Polsce, dopóki nie zabłysnął adaptacją teatralną „Amadeusza”. Było jasne, iż Polański daje do zrozumienia, iż należy traktować go jak Mozarta. Ale gdyby się cofnąć do początków reżysera aż do najkrótszej etiudy „Uśmiechu zębicznego”, wyraźnie widać jak doskonałość wypowiedzi filmowej tegoż reżysera nie dość, iż jest mało zależna od kosztów filmu, ale co bardziej imponujące - do nich dostosowana. Mamy więc bezbłędną melancholijną burleskę „Dwóch ludzi z szafą”, bezbłędnie udramatyzowany i opowiedziany „Nóż w wodzie”, głęboko odczuty „Wstręt” z doskonale oddanym klimatem kobiecego przeczu- lenia, imponująco atrakcyjny traktat cywilizacyjny o sprzeczności natury i kultury w „Matni”, itd., itd.

Kiedy studenci reżyserii skończyli już swe pierwsze zawodowe sprawdziany na trzecim roku filmem absolutoryjnym, rok czwarty pozostawał przede wszystkim na działania, których celem było zajęcie miejsca w branży. Jednym z najaktywniejszych działaczy na rzecz otwarcia dróg do debiutu młodym absolwentom był Wojciech Wiszniewski, sam niedawny absolwent, który z podziwu godną, szaleńczą aktywnością przecierał warszawskie szlaki i podejmował akcje organizacyjne, których zwieńczeniem było powstanie „Koła młodych” przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich, a później „Studia im. Karola Irzykowskiego”. Efektem działań Wojtka Wiszniewskiego, który sam sobie ukuł pseudonim Szajbus, była znaczna poprawa stosunków między świeżymi absolwentami reżyserii a kierownictwami Zespołów Filmowych i redakcjami Telewizji, które wyraziły swoją otwartość na propozycje młodych. Plon tego otwarcia się nie był wielki, można go zamknąć zaledwie kilkoma nazwiskami i filmami, ale jednak był. Na zebraniach „Koła Młodych” aspiranci w zawodzie reżyserii mieli możliwość wymiany poglądów z renomowanymi reżyserami, z których niektórzy wyrażali zainteresowanie młodymi, jak np. Kazimierz Kutz, i byli zdolni do udzielania poparcia, do których żaden urzędowy statut nikogo nie zobowiązywał. Nie było jednak łatwo: aby uzyskać możliwość debiutu fabularnego młody reżyser musiał odbyć praktykę asystencką, potem sprawdzić się w godzinnym filmie telewizyjnym, potem mieć zatwier-

dzony scenariusz przez Naczelny Zarząd Kinematografii, a potem jeszcze uzyskać zgodę na debiut Koła Reżyserów przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich.

Lata 70-te były okresem aktywnej walki Stowarzyszenia Filmowców Polskich z Naczelnyim Zarządem Kinematografii o uzyskanie jak największej autonomii programowej dla kierownictw Zespołów Filmowych. Naczelny Zarząd Kinematografii nie pozwolił sobie jednak odebrać przywileju zatwierdzania scenariuszy i ich reżyserów. Zdarzało się, że Naczelny Zarząd Kinematografii nie przyjmował filmu wyprodukowanego przez Zespół Filmowy i nie dopuszczał do rozpowszechniania, co bardzo osłabiało pozycję Zespołu Filmowego. Zdarzało się również, iż taka blokada Naczelnego Zarządu Kinematografii była dla filmu reklamą, jak w przypadku „Ręk do góry” Jerzego Skolimowskiego, czy też debiutu reżyserskiego Andrzeja Żuławskiego „Diabeł”. Do konfliktu interesów między Naczelnyim Zarządem Kinematografii a kierownikami Zespołów Filmowych dochodził jeszcze konflikt wewnętrzny w Stowarzyszeniu Filmowców Polskich między zwolennikami i przeciwnikami totalitarnej władzy. To wszystko stwarzało w branży chaos, w którym przebijali się najsilniejsi, o których trudno powiedzieć, że byli najbardziej zdolni. Taka atmosfera i taka świadomość towarzyszyła studentom 4-go roku reżyserii, podczas gdy ostrogi swe ostrzyli już studenci młodszych lat. Starsi szukali branżowych sponsorów, natomiast młodszy starali się uzyskać wtajemniczenie od starszych. Do Szkoły przybył Piotr Bikont, który w owym czasie prowadził spośród studentów najostrzejsze, naprawdę bardzo spektakularne (dramatyczne, ale w większości komiczne) spory z rektorem Kuszewskim. Okazało się też, iż lepszym sposobem na szybki debiut były nie działania grupowe, ale uzyskanie promocji uznanego mistrza reżyserii. Pojawił się w Szkole Janusz Kijowski, który po świetnym dokumencie „ZK Sieradz”, począł doskonale radzić sobie w filmie fabularnym. Dzięki promocji Wojciecha Hasa udało się Januszowi Kijowskiemu powtórzyć osiągnięcie Jerzego Skolimowskiego i Witolda Leszczyńskiego. Będąc jeszcze studentem, Kijowski napisał scenariusz i wyreżyserował film „Indeks”, a także ochrzcił pod koniec lat 70-tych gatunek współczesnego kina społecznego

nazwą „moralnego niepokoju”, adekwatnie określającą klimat filmów, których twórcy odważnie wpisywali się w model kina ideowo zaangażowanego.

Maja Komorowska, chcąc skomplementować Krzysztofa Zanussiego, powiedziała niegdyś przed kamerą, iż „mógłby on być nawet dyplomatą”. Wynika z tego, iż prestiż dyplomaty jest dla niej czymś więcej niż prestiż artysty, nawet uznanego, reprezentującego swymi dziełami naród polski za granicą. Gdyby takie stanowisko (które reprezentuje bardzo powszechne odczucie społeczne) odnieść do żartu Kieślowskiego, iż Filmówka to „najwyższa szkoła wyższa w kraju”, należałoby rozważyć, czy wydział reżyserii nie rozszerzyć o zakres dyplomacji. Filmy byłyby wtedy mniej szczerze ale bardziej taktowne. Tymczasem filmy Pasikowskiego udowadniają, iż im film jest mniej taktowny, tym bardziej przyciąga widza. Kwitnienie wydziałów filmowych Wyższej Szkoły Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi ma jednak swój związek z kwitnieniem filmu w ogóle.



ANNA  
IŻYKOWSKA-MIRONOWICZ

## ŁODZIANIE Z WYBORU



Rodowita lwowianka przybyła po raz pierwszy do Łodzi - ukochanego miasta rodziców - jako mała dziewczynka. Jednak po paru latach studiów w Warszawie powróciła do Lwowa, aby w 1940 r. ukończyć tam Wydział Prawa Uniwersytetu im. Iwana Franco. Podczas wojny postanowiła walczyć, zaciągnęła się do III Dywizji 9 Pułku Piechoty i pod dowództwem majora Franciszka Mierzińskiego uczestniczyła m.in. w tragicznej bitwie września 44 r. o przyczółek Czerniakowski. Ta drobna filigranowa kobieta zjawiała się w wyzwolonej Łodzi w mundurze kapitana. Jej małżonek Zygmunt Nowicki - również żołnierz - już był tu przed nią pracując jako aktor w Teatrze Wojska Polskiego przy ulicy Cegielnianej, czyli w dzisiejszym Teatrze im. S. Jaracza. Tej właśnie scenie Sabina Nowicka poświęciła kilkadziesiąt lat swojego życia. Zasłynęła jako wybitny organizator życia teatralnej Łodzi. Była współtwórczynią Opery łódzkiej, której dyrektorowała przez pełne heroizmu i woli wytrwania pierwszych siedem lat. Wywalczyła przyznanie Operze, a nie teatrowi dramatycznemu gmachu przy ul. Dąbrowskiego. Współtworzyła Teatr Ziemi łódzkiej Dzięki jej staraniom oraz

Feliksa Parwella powstała przy operze Szkoła Baletowa, zaś przed kilku laty zainaugurowała swoją działalność Scena Kameralna Teatru im. Stefana Jaracza, nosząca imię Leona Schillera - nauczyciela i mistrza Sabiny Nowickiej.

*Pani dyrektor, proszę przypomnieć, jakie były te łódzkie początki?*

Dowództwo VI Okręgu miało wtedy swoją siedzibę w Łodzi, gdzie zostałam przeniesiona. To był rozkaz, bo przecież nadal służyłam w regularnej armii Wojska Polskiego. W początkach roku 47 otrzymałam dość zaskakującą propozycję. Zaprosił mnie na rozmowę ówczesny dyrektor teatru WP Władysław Krasnowiecki. Spotkanie odbyło się w rektoracie Szkoły Aktorskiej, mieszczącej się wtedy przy ul. Gdańskiej. Obaj z obecnym podczas rozmowy Leonem Schillerem zaproponowali mi wtedy stanowisko zastępcy Krasnowieckiego. Nie bardzo wiedziałam czy poddam, czy dam sobie radę, ale dzięki pomocy Schillera szybko uczyłam się teatru. Zezwolił mi nawet na podglądanie swoich prób, co dla „nieaktorów” było zabronione. Po odejściu Schillera do Warszawy w 1949 r. nadal utrzymywałam stały kontakt z nim i jego żoną. Złożył mi nawet propozycję przejścia do Teatru Polskiego, ale zanim zdążyłam mu odmówić, bo oboje z mężem bardzo pokochaliśmy Łódź, już Schillera pozbawiono dykcji. On poszedł do stolicy mając nadzieję, że będzie miał większy wpływ na inne teatry w Polsce. Tymczasem - zjazd w Oborach, wszystko poszło w innym kierunku... To, aż się wierzyć nie chce, że taki wielki artysta miał swój teatr w stolicy tylko jeden sezon! Zdjęli go i to nagle, bez uprzedzenia... Potem choroba, szpital... Zmarł w 1945 r.

*Wróćmy jeszcze do łódzkich czasów Schillera i złożonej mu przez nasze miasto obietnicy wzniesienia Teatru Narodowego. 26 czerwca 1949 roku ruszyły prace budowlane przy pl. Dąbrowskiego.*

Rzeczywiście, inicjatorem budowy tego teatru dramatycznego w Łodzi był Leon Schiller. Pisał wtedy: „Gorąco apelujemy do ofiarności obywatelskiej tych wszystkich, którym na sercu leży, aby w „Stolicy Pracy jak najprędzej powstał teatr tego świata godzin”. Podkreślał,

że muszą się w nim znaleźć najnowsze urządzenia techniczne i miejsce dla orkiestry, bez której nie wyobrażał sobie teatru dramatycznego z prawdziwego zdarzenia.

*Po wyjeździe Schillera z Łodzi mówiono, że ten gmach obiecano Kazimierzowi Dejmкови i aktorom jego sceny. Wszyscy pamiętamy jak długo straszyla Łodzian „wielka dziura” przy pl. Dąbrowskiego. Budowę przerywano, wznawiano, było z tym bardzo dużo kłopotów...*


Pewnego dnia, w początkach 1954 r., odwiedzili mnie dwaj przedstawiciele świeżo powołanego właśnie do życia stowarzyszenia Przyjaciół Opery - profesorowie Władysław Raczkowski i Mieczysław Drobner. Zaproponowali mi objęcie dyrekcji Studium operowego. Odpowiedziałam, że takie studium, to powinna prowadzić Szkoła Muzyczna, a drugie miasto w Polsce zasługuje na własną operę. Do tego pomysłu bardzo zapalił się Raczkowski. Przeprowadził rozmowy ze wszystkimi pozostałymi członkami Stowarzyszenia - m.in. prezesem Kazimierzem Sikorskim, Kiejstutem Bacewiczem, Olgą Olgina, Grzegorzem Orłowem, Tomaszem Kiesewetterem - i ponownie, już sam złożył mi wizytę oświadczając, że idea stworzenia Opery Łódzkiej „zakiełkowała”. Bardzo dobrze zareagowały na ten pomysł ówczesne władze miasta. Odbyły wiele spotkań m.in. z dyrektorami teatrów łódzkich apelując, aby udostępniły śpiewakom swoje sceny. Kierownikiem artystycznym Opery Łódzkiej został Mieczysław Drobner, muzycznym i zarazem pierwszym dyrektorem - Władysław Raczkowski, a całokształt spraw administracyjnych powierzono mnie. Teatr Nowy Dejmka udostępnił mi swoją salę na niedzielne poranki operowe i wieczorne przedstawienia poniedziałkowe, a potem ja, w swoim Teatrze Jaracza, przesunęłam aktorom dzień wolny z poniedziałku na wtorek, żeby Operze dać do grania jeszcze jeden, trzeci spektakl w tygodniu. Wbrew pozorom ta decyzja nie była łatwa, a nawet groźna dla bytu aktorów mojego teatru, bo przecież i film i dubbing liczyli na ich usługi głównie w poniedziałki - dzień wolny od spektakli w całej Polsce. Na szczęście znalazłam partnera tej koncepcji w dyr. Żukowskim, który zdołał

przekonać aktorów do nowej sytuacji. Pamiętam, że to mordercza i heroiczna praca dla wszystkich. Opera bez własnego lokalu, bez sal prób, zaplecza, bez warsztatów, bez baletu, bez własnej orkiestry... Muzycy ciągle pożyczani to z Filharmonii, to z Orkiestry Debicha... Bezustanny transport pożyczanych instrumentów. A śpiewacy?... Wiemy co to dla

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ OPERY

# LODZKA OPERA

GMACH TEATRU NOWEGO, UL. WIECKOWSKIEGO 15



OD DNIA 18 PAZDZIERNIKA 1954 R.

STANISŁAW MONIUSZKO

## STRASZNY DWÓR

OPERA W 4 AKTACH  
DO SŁÓW JANA CHĘCIŃSKIEGO

WYKONAWCY:  
ZESPÓŁ WOKALNY OPERY ŁÓDZKIEJ  
ORKIESTRA PANSTW. FILHARMONII

W PARTIACH SOŁOWYCH WYSTĄPIĄ:

Irystyna Jackowska, Barbara Jęlicz, Nina Jurdzińska, Weronika Kuzminska, Halina Ostrowska, Zofia Sępińska, Jolanta Sorka, Wanda Strzemińska, Zofia Świrzyńska, Urszula Wadzyk, Wiktor Chodźnik, Kazimierz Cylulski, Edward Dukalski, Tadeusz Garzowski, Stanisław Heinberger, Marlon Kłopotowski, Edward Kamiński, Zdzisław Kłimek, Michał Marchwiński, Igor Mikulski, Antoni Nowosińska, Ireneusz Potera, Andrzej Szczyk, Jerzy Sidorowicz, Eugeniusz Szymkowski, Marian Torun.

nich znaczy wstać w niedzielę o szóstej rano żeby dojechać do teatru, rozśpiewać się, ucharakteryzować i być w pełni formy na spektaklu o 10 rano...Ja przez te wszystkie lata nie miałam ani jednej wolnej niedzieli. To już leży w mojej naturze, że sama muszę wszystkiego dopilnować. A personelu nie było. Miałam tylko kasjerkę i księgowego. Zjawiałam się w Nowym każdej niedzieli przed wszystkimi, a wychodziłam dopiero w momencie, kiedy światła Dejmkowej popołudniówki już były ustawione. Nasz wielki dzień to był 18 października 1954 r. - premiera „Straszego Dworu” na scenie Teatru Nowego. Wspaniałe przyjęcie przez publiczność i krytykę! Pamiętam, że Władysław Orłowski zatytułował swoją recenzję „Łódzki cud operowy”. Niestety, bez mazura, bo przecież baletu jeszcze nie mieliśmy. Drugim spektaklem była opera „Don Pascuale”, już na scenie Teatru Jaracza. A potem jeszcze ponad dwadzieścia premier. Po kilku latach takiego tułania się po scenach łódzkich, kiedy przy pl. Dąbrowskiego już coś powoli zaczęło się wyłaniać i ruszyła budowa Teatru Narodowego, to ja rozpoczęłam swoją wędrówkę po naszych władzach. Przekonywałam wszystkich, że ten gmach należy przyznać Operze. Bardzo życzliwie podeszła do sprawy Michalina Tatarówna - Majkowska. Kochała kulturę i muzykę. Podobnie jak i Edward Kaźmierczak... Obydwoje ich pamiętam z cotygodniowej obecności na koncertach filharmonicznych w dawnej sali przy ulicy Narutowicza. Tatarówna niemal do ostatnich swoich dni zjawiała się dużo wcześniej, aby móc pokonać o lasce wysokie schody i zasiąść na swoim stałym miejscu w lewej łoży... Kultura Łodzi ogromnie dużo zawdzięcza tej prostej łódzkiej prządce. Nie musiałam jej długo przekonywać, aby wydała decyzję o zmianie dokumentacji obiektu. Należało przecież powiększyć kanał orkiestrowy, zaplanować salę prób, m.in. dla baletu, orkiestry, chóru, większą ilość garderób dla solistów... To były o wiele większe koszty...

*No, ale udało się. Uchwałą Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi zmieniono przeznaczenie teatru z dramatycznego na operowy. Czy ta zmiana adresata obiektu nie wywołała sprzeciwu Kazimierza Dejmka?*

Nie, bo on już wtedy rozważał chyba propozycje warszawskie. W każdym razie nie protestował. Pamiętam, że dość szybko zlecono zmiany w dokumentacji, zrewidowano koszty budowy, no a ja...Cóż, zaczęłam rozmowy z Poznaniem, aby ściągnąć do Łodzi Feliksa Parnella. Zgodził się wreszcie i zaczął kompletować niezbędny operze balet. Wskazałam mu tymczasową salę prób w Domu Kultury przy Traugutta 18, z której często korzystaliśmy przygotowując kolejne spektakle. W styczniu 1957 r. Parnell podpisał z nami umowę, a ja już wiedziałam, że mamy najlepszego w Polsce kierownika baletu. Spełniłam jedyny jego warunek: mieszkanie możliwie na wysokim piętrze. Upolowałam moment, kiedy akurat Milicja Obywatelska zwalniała budynek przy Al.Kościuszki 56 i tam właśnie sprowadził się Parnell. Marysia, jego żona, do tej pory tam mieszka. Podobno potem opowiadał: „Gdzie nie jestem w Polsce, to takiego mieszkania, jak załatwiła mi Nowicka, nigdzie nie miałem” Ostro zabrał się do roboty i stworzył 16 - osobowy zespół tancerzy z Traczewskim, Łapińską, Niesobską, Zalewską... Mocna, utalentowana grupa. Włączyła się we wszystkie grane spektakle, ale też dawała samodzielne spektakle baletowe. Najpierw były dwie składanki - „Parady Parnella” wystawione z dużym sukcesem na deskach Teatru Powszechnego, a potem - już poważna pozycja - „Giselle” z Marią Łapińską w partii tytułowej. W 1958 r. nasze „Parady Parnella” obejrzeli widzowie Paryża i Londynu. Łódzcy tancerze zrobili furorę! Pamiętam, że pożyczyłam wtedy z Poznania na solistę Conrada Drzewieckiego, a ten za zgodą naszej ambasady przyjął propozycje pracy w Paryżu i został, żeby tam się uczyć. Musiałam gęsto się tłumaczyć dyr. Górczyńskiemu z Opery Poznańskiej, który z wielkimi oporami oddelegował do nas swojego pierwszego tancerza. Feliks Parnell wytrwał w Operze Łódzkiej aż siedem lat. W 1964 r. zrezygnował z kierowania naszym baletem... Proszę się nie dziwić. Miał już 66 lat, a praca w „teatrze bez teatru” była bardzo męcząca. Po śmierci nieodżałowanego Władysława Raczkowskiego w 1959 r. nie było też chętnych do objęcia po nim

dyrygenckiej batuty i kierownictwa muzycznego, a namawiałam wielu kandydatów. Kiedy po rozmowie w Poznaniu zgodził się przyjąć propozycję nasz wybitny śpiewak Antoni Majak, to całkiem niespodziewanie pozytywnie odpowiedział dyrygent Włodzimierz Ormicki, który wcześniej mi odmówił. Ale jednak zdecydowaliśmy się już na Majaka. Ja nie lubię czekać. Moim zdaniem żaden teatr nie powinien zbyt długo pozostawać bez kierownika artystycznego, bo się może szybko rozwalić. Przypominam sobie, że z Wodiczką także rozmawiałam. Odmówił. Każdy chce mieć własny gmach do pracy, a tu nasza budowa ciągnęła się latami...

*Pani dyrektor również nie dotrwała na stanowisku do inauguracji w Teatrze Wielkim...*

Ze mną to była całkiem inna historia. W momencie obejmowania dyrekcji w 1954 r. powiedziałam, że jestem do dyspozycji tylko do momentu, kiedy uda nam się organizacyjnie uruchomić Operę Łódzką.. Byłam dużo dłużej, bo odeszłam w 1961 r., kiedy kierowanej przeze mnie placówce już udało się osiągnąć wysoką pozycję w polskim życiu muzycznym i teatralnym. Moje miejsce w Operze zajął Tadeusz Laskowski, a kierownictwo artystyczne powierzono na długie, szczęśliwe lata wielce zasłużonemu dla polskiej sceny operowej dyrygentowi dr Zygmuntowi Latoszewskiemu. Po czterech latach, kiedy Laskowski przeszedł na emeryturę, znowu zwrócono się do mnie o pomoc w znalezieniu następcy. Stanisława Piotrowskiego znalazłam od jego młodzieńczych lat, kiedy był u mnie w Jaraczu kierownikiem magazynu. Był ambitny, uczył się języków, gry na skrzypcach i bardzo chciał studiować ekonomię. Zdał egzamin, ale z braku miejsc nie dostał się, więc załatwiłam mu przyjęcie na miejsce z tzw. puli rektorskiej. Po latach przyszedł mi podziękować i pokazać dyplom. Jego żona została naszą kasjerką związaną z Teatrem Jaracza przez wiele lat. Potem Piotrowski przeniósł się do Teatru Powszechnego, gdzie został najpierw głównym księgowym, a potem awansował na zastępcę dyrektora u Chojnickiej i na dyrektora u Sykały. Ja sama namówiłam go, żeby objął dyrekcję Opery, która właśnie weszła w okres gorączkowych przygotowań do objęcia

w posiadanie własnego, upragnionego lokum przy pl. Dąbrowskiego. Jeszcze przez dwa lata za dyrekcji Piotrowskiego działano na zasadach sublokatorskich, grając nie tylko repertuar bieżący, bo i znalazł się czas i zapał by przygotować dwie kolejne premiery operowe. Piotrowski na pierwszym etapie przejął w Teatrze Wielkim całe zaplecze administracyjne, oraz sale ćwiczeń i prób, w których rozpoczęto przygotowania do czterech wielkich spektakli otwierających teatr w styczniu 1967 r.

*Latem ubiegłego roku pożegnała Pani Dyrektor Teatr Jaracza...*

... ale nadal bywam na wszystkich spektaklach i dużej sceny i mojej ukochanej kameralnej. Teatr wielbiłam odkąd pamiętam, ale siedem lat życia poświęconych Operze łódzkiej rozbudziło we mnie ogromne umiłowanie muzyki, pięknego śpiewu, tańca... Muszę przyznać, że żaden z kolejnych dyrektorów Teatru Wielkiego nie zapomina o zapraszaniu mnie na premierowe przedstawienia. Za każdym razem z wielką życzliwością wzruszeniem i wieczną ciekawością zasiadam na widowni. I tak będzie zawsze...

*Serdecznie dziękuję za te bezcenne wspomnienia.*



IGOR GÓRSKI

## BIZANCJUM W CENTRUM ŁODZI

Na skrzyżowaniu ulic Kilińskiego (dawniej Widzewska) i Narutowicza (dawna Dzielna) obok Parku Kolejowego położony jest jeden z ciekawszych łódzkich obiektów architektoniczno-sakralnych Cerkiew Katedralna w Łodzi pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego. Jej budowę rozpoczęto w roku 1880. W cztery lata później budowę świątyni zakończono. Do czasów współczesnych pozostała w niezmienionym kształcie. Od 117 lat w cerkwi odprawiane są uroczyste nabożeństwa dla wyznawców prawosławia. Prawosławna katedra w Łodzi stanowi dziś ważny zabytek historyczny podlegający opiece władz miasta.

\*\*\*

Rozwój przemysłu włókienniczego w Łodzi i jej okolicach miał początek w latach dwudziestych XIX stulecia. Był to okres poprzedzający akcję znakomitej powieści Władysława Reymonta pt. „*Ziemia Obiecana*” Łódź dzięki budowie wielu fabryk włókienniczych i gwałtownemu rozwojowi tej dziedziny przemysłu stopniowo nabierała znaczenia. Z wielu regionów Cesarstwa Rosyjskiego,

a także z innych krajów, zaczęli przybywać tu ludzie różnych narodowości i wyznań, dla których "polski Manchester" otworzył nowe możliwości pracy, osobistej kariery i szybkiego osiągnięcia wielkiej fortuny. Obok Polaków, Żydów i Niemców, stanowiących fundament ówczesnego społeczeństwa łódzkiego, pojawiła się też ludność wyznania prawosławnego. Początkowo byli to Grecy z Kalisza i Piotrkowa, później napłynęli Rosjanie: zdemobilizowani żołnierze 37. Jekatierinoburskiego Pułku Piechoty, który przybył do Łodzi podczas powstania styczniowego, a po jego upadku zadomowił się w niej na stałe, pracownicy carskiej administracji, kupcy i fabrykanci. W końcu lat siedemdziesiątych XIX wieku wyznawcy prawosławia stanowili ok. 1% mieszkańców Łodzi. Dla nich to właśnie oraz dla prawosławnych z Brzezin, Łasku i Rawy Mazowieckiej (mieszkańcy tych miejscowości należeli do łódzkiej parafii do 1889 r.) postanowiono wybudować cerkiew. W skład komitetu budowy świątyni weszły łódzkie znakomitości należące do różnych wyznań. Większość z nich stanowili przemysłowcy, m.in. Karol Scheibler, Juliusz Heinzel, Ludwik Meyer, Izrael Poznański i wybitny architekt a zarazem autor projektu architektonicznego cerkwi Hilary Majewski. Według wcześniejszego projektu tego znanego i cenionego łódzkiego budowniczego w czerwcu 1874 r. powstał wspomniany już Park Kolejowy zwany Aleksandrowskim, na obrzeżach którego wzniesiono cerkiew. Uczestnicząc gorliwie w budowie świątyni elity przemysłowo-handlowe Łodzi miały zamiar podnieść znaczenie miasta oraz skłonić carską administrację do przeniesienia siedziby guberni z Piotrkowa do Łodzi. Dlatego też prawie w całości pokryły bardzo wysokie (liczące 100 tysięcy rubli) koszty jej wzniesienia. 8 V 1880 r. po uzyskaniu błogosławieństwa prawosławnego arcybiskupa chełmsko-warszawskiego, członka Świętego Synodu Leoncjusza, uroczyste położono kamień węgielny pod budowę świątyni. Do jej wzniesienia zatrudniono specjalistów z różnych dziedzin oraz znane firmy krajowe i zagraniczne. Jako materiału budowlanego użyto cegieł. Budynek miał pomieścić ok. 900 osób. Cerkiew zbudowano w stylu rosyjsko-bizantyjskim na planie ośmiokąta otoczonego pięcioma absydami. (Projektując świątynię

architekt wzorował się także na kościele San Vitale z Rawenny, gdyż wiele kopulek zastąpiła jedna). Przsadzista wieża zakończona dachem w kształcie cebuli i pięcioma wieżyczkami zamykała cerkiew od strony zachodniej; wewnątrz była polichromowana i zdobiona bogatą sztukaterią. W architektoniczne detale świątyni, tj. jej ornamenty, kapitele, pilastry, wniesiono wiele z bizantyjskiego przepychu. W cerkwi umieszczono kolorowe, witrażowe okna, dzięki czemu panował tam półmrok. Ikonostas (wysoka ściana oddzielająca ołtarz od nawy) posiadał troje drzwi i był rzeźbiony w drewnie dębowym. Zdobily go obrazki z życia Jezusa, Matki Boskiej oraz świętych. W centralnym miejscu ikonostasu umieszczono obraz przedstawiający Zmartwychwstanie. W inwentarzu cerkwi znalazły się krzyże procesyjne pochodzące z XVII–XIX stulecia. Wnętrze świątyni zostało udekorowane malowidłami i drogimi ikonami. Historycy sztuki zwracają uwagę, iż święte obrazy nie przypominają tu malowideł tworzącego w XV wieku Andrieja Rublowa, lecz są malarstwem portretowym wywodzącym się z Akademii Sztuk Pięknych w Sankt-Petersburgu. Wiązało się to zapewne z europejskim gustem fundatorów. Po prawej stronie pomieszczenia cerkwi umieszczono tablicę informującą, iż została ona zbudowana dzięki staraniom mieszkańców Łodzi wszystkich wyznań, tj. prawosławnych, katolików, ewangelików i wyznawców judaizmu. Szczególnie czczonymi przez wiernych miejscami w świątyni stały się: kopia Krzyża Pańskiego, znajdująca się w niszy przy prawym klirosie (chórze; kopia Krzyża znajdowała się dawniej w żeńskim klasztorze w Dymitrowie, niedaleko Moskwy, słynęła z wielu cudów i została przekazana przez tamtejszych bogobojnych mieszkańców do Łodzi jeszcze przed zakończeniem budowy obiektu), starodawna ikona św. Mikołaja Cudotwórcy przy lewym chórze, a także kopia ikony Matki Boskiej Poczajewskiej przywieziona z Poczajewa w 1937 r. i umieszczona nad Carskimi Wrotami. Dźwięk dzwonów łódzkiej świątyni jest obecnie jednym z bardziej melodyjnych, jakie można usłyszeć w polskich cerkwiach. Cerkiew posiada osiem dzwonów ważących łącznie ok. 3500 kg. Podczas I i II wojny światowej największy z nich (1888 kg) był zasłonięty deskami i nieużywany w obawie przed

zabraniam go przez niemieckich okupantów i przetopieniem dla celów wojskowych. Na zewnątrz świątyni umieszczono dziesięć religijnych malowideł. Wśród nich na frontonie dzwonnicy namalowano wizerunek patrona cerkwi, rosyjskiego świętego Aleksandra Newskiego. Książę nowogrodzki i włodzimierski Aleksander został przez Rosjan nazwany "Newskim" po odniesieniu w 1240 r. nad Newą zwycięstwa w bitwie ze Szwedami. Prowadził on również umiejętną politykę w stosunku do Tatarów. Za skuteczne przeciwstawianie się próbom zaprowadzenia łacińskiego obrządku na Rusi i podporządkowania jej Rzymowi Kościół prawosławny ogłosił go świętym. Jak się powszechnie uważa, wybierając na patrona św. Aleksandra Newskiego, budowniczości świątyni chcieli również przypodobać się cesarzom rosyjskim (podczas panowania których trwała jej budowa), tj. Aleksandrowi II, zwanemu "Oswobodzicielem", i Aleksandrowi III. 29 V 1884 r. arcybiskup Leoncjusz uroczyście wyświęcił nowo wybudowaną cerkiew, po raz pierwszy zapalił przy świętym ołtarzu świecę i dokonał na nim tajemnicy eucharystii. Przy ołtarzu na wewnętrznej ścianie ikonostasu umieszczono podpisaną przez niego notę o wybudowaniu świątyni. Pierwszym proboszczem łódzkiej parafii został ks. Jan Juchnowski, uczestnik konsekracji cerkwi. Zaslugą jego było wzniesienie wokół niej ogrodzenia, a także wybudowanie kapliczki p. w. Zmartwychwstania na cmentarzu św. Aleksandra przy ul. Oгородowej 41. Cmentarz ten został założony w latach 1855–1858 jako miejsce wiecznego spoczynku rosyjskich urzędników i ich rodzin, a także żołnierzy z miejscowego garnizonu. Do dziś znajduje się na nim grób dziewięciu żołnierzy 40. Koływańskiego Pułku Piechoty poległych w latach 1906–1907 podczas walk ulicznych z robotnikami ogarniętej rewolucyjnymi wystąpieniami Łodzi. W czasie probostwa ks. Juchnowskiego przeprowadzono również w 1891 r. pierwszy remont cerkwi. W 1892 r. proboszczemznaczono ks. Antoniego Rudlewskiego, kandydata (doktora) Akademii Teologicznej w Petersburgu, który pełnił tę funkcję do roku 1918. W historii cerkwi był to "złoty wiek". Z dokonań tego okresu parafia korzysta po dziś dzień. Podczas kadencji ks. Rudlewskiego w Łodzi zbudowano na

cmentarzu na Dołach cerkiew p. w. Zaśnięcia Bogurodzicy oraz cerkiew p. w. św. Olgi przy ul. Piramowicza (d. Olgińska). Zgodnie z tradycją księżna Olga, babka księcia Włodzimierza, który w 988 r. ochrzcił Księstwo Kijowskie, przyjęła chrzest jako jedna z pierwszych na Rusi w 957 r. podczas pobytu w Konstantynopolu. Cerkwie te zostały konsekrowane przez arcybiskupa warszawskiego Hieronima (wyświęcenie cerkwi św. Olgi odbyło się 4 X 1898 r.). Oprócz tego staraniem ks. Antoniego Rudlewskiego na miejscu niewielkiego cerkiewnego domku zbudowano w latach 1896–1897 duży trzypiętrowy dom mieszkalny, którego koszt wyniósł ok. 38 tysięcy rubli, a następnie budynek przeznaczony na ochronkę dla dzieci i drugi dom przy ul. Piramowicza 10/12 (d. Olgińska). W Łodzi ks. Antoni Rudlewski długie lata był nauczycielem religii i dużo czasu poświęcał wychowaniu młodzieży. Dzięki jego zabiegom w 1895 r. otworzono dwuklasową cerkiewno-parafialną szkołę, w której corocznie uczyło się ponad 100 dzieci. Z jego też inspiracji w końcu 1898 r. powstała dziecięca ochronka, w której wychowywało się jednorazowo nawet 25 dzieci. Ochronka utrzymywała się ze środków parafii i kierowała się statutem zatwierdzonym przez arcybiskupa warszawskiego Hieronima. Istniała ona do czerwca 1954 r., później została zlikwidowana przez komunistyczne władze PRL. Ale do końca jej istnienia wisiał w niej portret ks. Rudlewskiego. W 1906 r., w związku z wizytacją Łodzi przez warszawskiego arcybiskupa Nikanora, "Warszawska Diecezjalna Stroniczka" (Warszawskij Jeparchialnyj Listok) pisała:

*Chociaż prawosławna parafia w Łodzi została otwarta dopiero w 1884 roku, mając jedynie 300 wiernych; w obecnej chwili liczy już 3514. Nie bacząc na swoje krótkie istnienie, jest jedną z najbardziej rozwiniętych parafii, gdzie życie cerkiewne wykazuje wiele radujących zjawisk. Życie cerkiewno-parafialne rozkwitło dzięki staraniom pasterskim ks. proboszcza... (tłum. aut.)*

W 1913 r. były w Łodzi cztery prawosławne cerkwie. Po wybuchu I wojny światowej w 1914 r., gdy wielu łódzkich wyznawców prawosławia ewakuowało się przed nacierającą armią niemiecką w głąb Rosji, ks. Rudlewski pozostał w Łodzi. Pod jego wpływem łódzcy prawosławni rozpoczęli wówczas szeroką działalność charytatywną, okazując pomoc ludności, która ucierpiała na skutek wojny. Dzięki nieugiętej postawie proboszcza i jego niezłomności po uzyskaniu przez Polskę niepodległości przy parafii pozostały trzy cerkwie, domy i majątek cerkiewny. Jedynie cerkiew garnizonową p. w. św. Aleksego przy ul. Jerzego pozbawiono kopuł i zamieniono na kościół rzymskokatolicki. Stało się tak, gdyż w tamtym czasie cerkwie (szczególnie te wojskowe) kojarzyły się Polakom z carskim despotyzmem. Z chwilą przejścia ks. Rudlewskiego w 1918 r. do pracy duszpasterskiej w Warszawie proboszczem w Łodzi został jego pomocnik ks. Teodor Walikowski. Kontynuował on owocnie działalność swego poprzednika.



\*\*\*

Po 1918 r. liczba wyznawców prawosławia w Łodzi ponownie zaczęła wzrastać. Wiązało się to z napływem do odrodzonej Rzeczypospolitej uchodźców z ogarniętej wojną domową Rosji. Po wybuchu rewolucji październikowej w 1917 r. przez kilka kolejnych lat przybywali do Łodzi rosyjscy oficerowie i żołnierze armii białych, obszarnicy i przedstawiciele inteligencji, rodziny kupieckie i rzemieślnicze – wszyscy ci, którzy nie zgadzali się z nową sowiecką rzeczywistością, a którym los szczęśliwie pozwolił uniknąć bolszewickich kul lub wieloletniego pobytu na Wyspach Sołowieckich czy w innych łagrach. Wracali również ci, którzy opuścili Łódź po wybuchu wojny. Wszyscy oni stanowili łącznie tysiãcosobowã społecznoœć. Z biegiem czasu przybysze włączyli siã czynnie w życie parafii i miasta. Wielu z nich uczestniczyło w działającym legalnie łódzkim Rosyjskim Towarzystwie Dobroczytnoœci o profilu kulturalno-oœwiatowym (natomiast po II wojnie œwiatowej do połowy lat 70. działał w Łodzi oddział Rosyjskiego Stowarzyszenia Kulturalnego w PRL), zwanym tak¿e Towarzystwem Rosyjskim (patrz wspomnienia ks. dr Mikołaja Lenczewskiego w "Przeglądzie Prawosławnym" 1999 nr 3) gdzie mieli mo¿liwoœć kultywowania ojczyŝtych tradycji i przekazywania ich dzieciom. Znamiennym jest fakt, i¿ pierwsze pokolenie emigrantów (w przeciwieñstwie do pokoleñ póżniejszych) przewa¿nie zawierało zwiãzki mał¿eñskie w swoim œrodowisku, w zwiãzku z czym w cerkwi odbywało siã wiele œlubów, a nastãpnie chrztów. W okresie miãdzywojennym jednã z najwybitniejszych postaci łódzkiego prawosławia była rzeźbiarka Katarzyna Kobro-Strzemiñska, ¿ona utalentowanego polskiego malarza Władysława Strzemiñskiego, autorka (niestety, niezachowanych do dziœ) powstałych w latach 1925–1928 *Rzeźb przestrzennych* oraz kolejnych numerów "*Kompozycji przestrzennych*", zapoczątkowanych w roku 1925. Za ¿ycia nie zawsze jã doceniano. Po œmierci uznano za artystkã œwiatowego formatu. Korzenie prawosławne miał tak¿e piszãcy w jãzyku polskim poeta sanacyjnej Łodzi Grzegorz Timofiejew, współredaktor (obok Mariana Piechala) zało¿onego

w 1931 r. pisma literackiego "Prądy", które było organem Łódzkiego Klubu Literackiego. W 1929 r. przeprowadzono kolejną restaurację świątyni, zaś w maju 1934 r. cerkiew św. Aleksandra Newskiego uroczyście obchodziła pięćdziesięciolecie swego istnienia. Przybyło wówczas do Łodzi wielu gości, m.in. biskup lubelski Sawa oraz były proboszcz Rudlewski. W obchodach uczestniczył też jeden z aktualnie najstarszych wiekiem, cieszący się olbrzymim szacunkiem i autorytetem polski duchowny prawosławny ks. dr Mikołaj Lenczewski, nauczyciel i wychowawca obecnego Prawosławnego Metropolity Warszawskiego i całej Polski ks. arcybiskupa Sawy oraz Prawosławnego Ordynariusza Diecezji Łódzko-Poznańskiej ks. arcybiskupa Szymona.

\*\*\*

Po wybuchu II wojny światowej i wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Łodzi życie parafialne nie uległo zasadniczej zmianie. Prawosławni bez większych przeszkód uczęszczali do cerkwi i uczestniczyli w życiu rosyjskiego stowarzyszenia, m.in. wystawiając amatorskie przedstawienia klasyków rosyjskiej dramaturgii, np. *Rewizora* Mikołaja Gogola. Dzieci ich uczęszczaly do szkoły z wykładowym językiem rosyjskim. Wiązało się to z pewnym łagodniejszym traktowaniem przez okupanta Rosjan i Ukraińców zamieszkujących Rzeczpospolitą Polską jako zagorzałych antykomunistów i naturalnych wrogów ZSRR. Zapewniono im lepsze racje żywnościowe i w mniejszym stopniu ograniczono swobodę poruszania się. Jednak mimo to faszyci nie cieszyli się powszechną sympatią i życzliwością łódzkiego środowiska prawosławnego. Jako przykład może służyć wypowiedź jednego z byłych oficerów carskich. Gdy zapytano go, kogo chce widzieć zwycięzcą w tej wojnie, odpowiedział, że bolszewików. Kiedy powiedziano mu, iż poniesie tego przykre konsekwencje, odparł, iż będzie uciekał z Niemcami. Takie zapatrywania nie były rzadkością. W latach 1934–1941 proboszczem parafii był Michał Borecki, którego starsi wiekiem wierni przez długie lata źle wspominali z powodu ciągłych konfliktów



z parafianami. Później na krótki czas zastąpił go biskup Wiednia Bazylej. W latach 1943–1947 proboszczem został archimandryta Stefan, późniejszy biskup wrocławsko-szczeciński. Przy nim wznowiono, z pewnymi wyjątkami, codzienne odprawianie liturgii. Przejawił on wiele starań o pozostawienie przy cerkwi domów, ochronę praw miejscowej prawosławnej ludności i utrzymanie dziecięcej ochronki. Kiedy w rezultacie "wichrów wojny" do Łodzi przybyło ok. 20 prawosławnych księży-uciekierów, ks. proboszcz okazywał im pomoc. Po wyzwoleniu Łodzi w styczniu 1945 r. i wkroczeniu do miasta Armii Radzieckiej, wielu prawosławnych (którzy nie ewakuowali się) było represjonowanych przez NKWD za udział w wojnie domowej lub przynależność do białych emigracyjnych organizacji. Wśród nich byli i ci, którzy mieszkali w Łodzi przed rewolucją lub przyjechali do Polski z rodzicami w wieku dziecięcym. Wywózki prawosławnych do obozów pracy w Kraju Rad stały się codziennością. Nie obyło się bez ofiar śmiertelnych. W "Przeglądzie Prawosławnym" (nr 2/1999) Ała Matreńczyk spisująca wspomnienia ks. Lenczewskiego podaje następującą historię, która podobno wydarzyła się wówczas w Łodzi:

Sowieci zaczęli wprowadzać swoje porządki, Polacy donosili, gdzie mieszkają Rosjanie. Sprawą zajęło się NKWD, posypały się aresztowania.

– *Tak szto wy dielajetie. My Was tak źdali* [Co wy robicie. My was tak oczekiwaliśmy – tłum. aut.] – usiłował dyskutować z nimi dyrygent [chóru cerkiewnego – przyp. aut.] Kocyk.

– *Mołczał', bielogwardziejcy* [Milczeć, białogwardziści – tłum. aut.].

– *Wed' my drugoj Rossii nie znali...* [Przecież innej Rosji nie znaliśmy – tłum. aut.] nie dokończył. Zastrzelili na ulicy. Aresztowali też drugiego dyrygenta, który przejął obowiązki po Kocyku.

W tym czasie rzeźbiarka Katarzyna Kobro żyła wraz z córką Niką w skrajnym ubóstwie. Jak wspomina ks. Mikołaj Lenczewski, na prośbę archimandryty Stefana przynosił on jej drobne kwoty pieniężne, pożywienie, udzielał spowiedzi i komunii ("Przegląd Prawosławny" 3/1999). Choć z innej strony, następstwa barbarzyńskiej wojny nie ominęły i tej łódzkiej społeczności.

\*\*\*

W maju 1945 r. zakończono działania wojenne. Pomimo wieloletniej tragedii życie w Łodzi wracało do normy. Łódzka parafia prawosławna powoli przestawała nosić rosyjski charakter. Szeregi parafian zasilili prawosławni Białorusini i Ukraińcy. Byli to repatrianci zza Buga lub przybysze ze wschodnich i wschodnio-południowych terenów niepodległej Polski. Stanowili oni znaczny procent wiernych. W 1947 r. do Łodzi przybył biskup Jerzy, a w 1951 r. decyzją soboru prawosławnych biskupów utworzono diecezję łódzko-poznańską z siedzibą w Łodzi. Tą samą uchwałą podniesiono cerkiew p. w. św. Aleksandra Newskiego do rangi cerkwi katedralnej. W 1955 r. proboszczem parafii został ks. Aleksander Surwiłło. Wikariuszem katedry pozostał ks. Piotr Struk-Strukow, od trzydziestu lat pełniący tę funkcję, długoletni nauczyciel religii. Podczas ich pracy duszpasterskiej przeprowadzono remont zewnętrznych powierzchni ścian świątyni. Po okupacji hitlerowskiej zamieszkali w Łodzi wybitni muzycy wyznania prawosławnego Olga Olgina i Grzegorz Orłow, którzy opuścili Rosję tuż po socjalistycznej rewolucji. Nauczali oni śpiewu w Wyższej Państwowej Szkole Muzycznej. Wychowanką Olgi Olginej jest znana śpiewaczka Teresa Żylis-Gara, a studentką Grzegorza Orłowa Delfina Ambroziak. Także wybitna i ceniona w międzynarodowych kręgach naukowych łódzka humanistka prof. Ija Lazari-Pawłowska była osobą prawosławną. Do wyznawania prawosławia przyznaje się też dr hab. Eugeniusz Iwaniec, znany badacz kultury i obyczajów staroobrzędowców. Przez wiele powojennych lat do tradycji łódzkiej parafii prawosławnej, obok prowadzenia lekcji religii, należało organizowanie bożonarodzeniowych choinek dla dzieci i młodzieży. Każdego roku po świętach Bożego Narodzenia (z uwagi na małą liczbę wiernych w Łodzi są one obchodzone razem z katolikami i protestantami 25 i 26 grudnia, a nie jak u innych prawosławnych wg kalendarza juliańskiego – 7 i 8 stycznia) w sali parafialnej zbierali się dorośli i ich pociechy, by uczestniczyć w uroczystych imprezach choinkowych, na których dzieci deklamowały

wiersze po polsku i rosyjsku, otrzymywały świąteczne paczki z cukierkami i czekoladkami od św. Mikołaja (Dziadka Mroza) oraz występowały w przedstawieniach według baśni Iwana Kryłowa, Siergieja Michajkowa lub Hansa Christiana Andersena czy Braci Grimm. Dziecięce spektakle tradycyjnie grano w języku rosyjskim, choć pojawiały się też glosy by odbywały się w bardziej zrozumiałym języku polskim. Wieloletnią reżyserką dziecięcych przedstawień była działaczka cerkiewno-społeczna Maria Kisiel, pedagog, wychowawczyni wielu pokoleń młodzieży. Żadna choinka organizowana przez cerkiew oraz akcje charytatywne nie odbyły się bez jej uczestnictwa. Za całokształt swej pracy Maria Kisiel otrzymała nagrodę państwową – Złoty Krzyż Zasługi. Jej pracę kontynuowała na przełomie lat 70. i 80. Lidia Dubrowin. W 1985 r. z uwagi na zmniejszającą się liczbę prawosławnych dzieci i młodzieży organizowania zabaw choinkowych zaprzestano. Następnie zrezygnowano z prowadzenia systematycznych lekcji religii. Wszystkie późniejsze próby wskrzeszenia tradycji spełzały na niczym. Dopiero w październiku 2001 r. udało się wznowić zajęcia prawosławnej katechezy dla kilkorga dzieci. Ale na jak długo? – Nie wiadomo. Po śmierci biskupa Jerzego w 1979 r. nowym ordynariuszem diecezji łódzko-poznańskiej został biskup Sawa (obecnie metropolita), a po nim w 1981 r. biskup Szymon, zarządzający w randze arcybiskupa diecezją po dzień dzisiejszy. Dużą zasługą obu łódzkich biskupów było rozpoczęcie trwającej przez kilka lat renowacji katedry, którą latem 1985 r. uroczyście wyświęcono i ponownie otwarto dla wiernych. Arcybiskup Szymon prowadzi obecnie nowy remont świątyni, pragnąc, by jeszcze długie lata służyła łódzkim prawosławnym. Niestety, jak w przypadku każdej mniejszości, czas i tu robi swoje. Postępuje nieubłagana asymilacja. Wydaje się więc, iż okres świetności łódzka parafia prawosławna ma już za sobą.

\*\*\*

Pomimo prowadzonych prac katedra p. w. św. Aleksandra Newskiego jest nadal czynna. Obecnie w niedzielnych liturgiach uczestniczy systematycznie kilkadziesiąt osób. Są to nie tylko "starzy łódzcy parafianie". Do cerkwi przychodzi studiująca w Łodzi prawosławna młodzież ze wschodniej Polski, przebywający lub zamieszkali na stałe w Rzeczypospolitej Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy, a także Grecy i Ormianie. Nieraz bywają i dzieci. Wszyscy pragną modlić się i słuchając wspaniałego śpiewu cerkiewnego (w wykonaniu kilkunastoosobowego chóru prowadzonego przez Walentynę Dubrowin) uczestniczyć w podniosłym, bizantyjskim nabożeństwie.

EDWARD SZUSTER

## JUBILAT I OKOLICE

„Nie było nas - był las.” Mieszkańcom Łodzi w końcu dziewiętnastego stulecia przypominał tę prawdę las ograniczający miasto od zachodu i oddzielający ich od sąsiednich wsi Stare Rokicie, Karolew i Bruss. Na planie miasta Łódź, sporządzonym około 1900 roku przez inżyniera mierniczego K. Sturtzla i przysięgłego geodetę 2 klasy E. Kułakowskiego, obszar miasta zamyka duża zielona plama sięgająca ulicy Pańskiej. Wkrótce jednak - gdzieś około 1902 roku - przetnie ją i uszczupli linia Kaliskiej Drogi Żelaznej wraz z zabudowaniami stacji Łódź Kaliska a część lasu położona między torami kolejowymi a wspomnianą już Pańską zostanie przeobrażona w park. Taki stan rzeczy poświadcza wydany w 1913 roku „10-cio kopiejkowy plan miasta Łodzi”, na którym zarysowany jest i kształt parku i układ głównych parkowych dróg. Tak więc dzisiejszy park im. ks. Józefa Poniatowskiego liczy już sobie prawie sto lat a moja znajomość z nim trwa już - strach powiedzieć - osiemdziesiątkę. Tak się bowiem zdarzyło że, w ciągu tych osiemdziesięciu lat przyszło mi mieszkać w czterech domach, z których każdy położony był opodal parku. Szczególnie mocno utrwalił się w moich najwcześniej-

szych łódzkich wspomnieniach. „Nie było mnie - był park.” - taka odmiana starego porzekadła wydaje mi się trafna. Park bowiem był miejscem naszych codziennych spacerów zaraz po naszym przybyciu do Łodzi a miałem wówczas lat pięć.

Wkrótce po śniadaniu - jeśli pogoda sprzyjała - szykowaliśmy się do wyjścia i ulicą Radwańską dreptaliśmy w stronę niedalekiej rzeźni a ściślej - do ulicy Inżynierskiej w którą skręcaliśmy w prawo do parkowej bramy. W tym czasie i przez następnych kilkanaście lat park był ogrodzony murkiem z żelaznymi prętami i można było do niego wejść jedynie przez kilka furtek. Ta naprzeciw Inżynierskiej sąsiadowała z pałacowatym budynkiem z czerwonej cegły, w którym - tak uważaliśmy - przebywali rzeźnicy z pobliskiej rzeźni. Raz i drugi widzieliśmy właśnie przy tym budynku brodatych mężczyzn w jarmułkach i wyświechtanych fartuchach z zawieszonymi u pasa nożami i oselkami. Baliśmy się ich trochę i pospiesznie wchodzili do parku, do którego oni jakoś nie zaglądali,

W dniu powszednie, przed południem, w parku pustawo było i nudno. Łaziliśmy po wymiecionych alejkach odrabiając codzienną spacerową pańszczyznę irytując się na siostrę, która co trochę przykuciała nad alejką i kawałkiem znalezionej patyka rysowała na niej jakieś bezsensowne zygzaki. Co raz nawoływaliśmy ją by nie zostawała za nami ale ona nic sobie z tego nie robiła. Niecierpliwiło to nie tylko mnie i brata ale nawet opiekującą się nami pannę Gienię, która poza tym skłonna była przymykać oczy na rozmaite pomysły dziewczynki.

Kręcąc się po alejkach sąsiadujących z Radwańską czy Parkową nie miałem pojęcia o tym iż park udostępniony został mieszkańcom Łodzi przed czternastoma laty, że praca nad przetworzeniem w park sporego obszary starego lasu trwała prawie lat dziesięć, że dwaj warszawscy ogrodnicy z rozmysłem wytyczyli nie tylko alejki ale i szerokie, żwirowane jezdnie obramowane szpalerami lip i klonów. Prawdę mówiąc wcale mnie wówczas nie interesowały te wszystkie historie; dopiero kilkadziesiąt lat później zapoznałem się z nimi przy lekturze

książki Wacława Pawlaka „Na łódzkim bruku” Kiedy wyczytałem z niej, że w trakcie urządzania parku wycięto około 1.500 drzew szpilkowych. Pomyślałem że dzisiejsi ekologowie nie pozwoliliby na takie barbarzyństwo. Nie powstałby więc ten park po którym teraz wędruję we wspomnieniach.

Opodal wejścia do parku od ulicy Inżynierskiej jego twórcy zaprojektowali i urządzili owalny, otoczony klonami plac mający służyć różnym zabawom. Najczęściej nic się na nim nie działo ale pewnego dnia, niezadługo po naszym pierwszym spacerze parkowym, na ten placyk wmaszerowało porządnymi dwójkami kilkudziesięciu młodych ludzi odzianych w czarne sutanny i czarne kapelusze. Patrzyłem na nich zdumiony gdyż tyłu księży na raz dotychczas nie widziałem; dopiero panna Gienia wyjaśniła mi że to nie są jeszcze księża lecz dopiero klerycy z seminarium przy katedrze. Z zaciekawieniem patrzyliśmy wszyscy jak przyszli kapłani, na znak przewodzącego im księdza preceptora, składają na ławkach swe kapelusze i wbiegają na placyk pokopując przyniesioną z sobą piłkę. Po chwili na zaimprovizowanym boisku furkotały ożywione nogami biegających sutanny wzniesając kłęby pyłu a zdyscyplinowani, utemperowani alumni zmieniają się w gromadę rozbrykanych i uradowanych ruchem chłopaków.. Przyglądałem się temu wszystkiemu z zachwytem i zdumieniem zarazem bo nie sądziłem by osoby duchowne mogły zachowywać się tak jak ci rozhasani księżykowie. Zdaje się że i panna Gienia była nieco zgorzozona tą sytuacją ale ciekawość sprawiła iż nie przynaglała nas do odwrotu. Uważnie doczekaliśmy końca tej zabawy - był to pierwszy mecz piłkarski jaki widziałem - i patrzyliśmy jak na rozczochrane głowy graczy wracają dostojne kapelusze, jak dysząca gromadka napastników i obrońców otrzępuje wzajem swe sutanny a potem formuje zdyscyplinowane pary godnym krokiem zmierzające do wyjścia z parku.

Przez kilkanaście następnych dni oczekiwałem na poranny spacer i znalazłszy się w parku spieszyłem w stronę placu zabaw w nadziei że znów zobaczę furkocące sutanny. Jakoś mi się nie udało, widocznie

klerycy mogli wyhasać się gdzieś bliżej swego seminarium. Dziś na starym placyku do zabaw urządzono tor do nauki jazdy na rowerach. Niczego równie interesującego, jak wspomniany mecz piłkarski nie udało mi się tam zobaczyć. Inna rzecz, że rzadko zaglądam dziś do parku a jeszcze rzadziej w ten kąt między Parkową a Aleją Włókniarzy.

Za placem zabaw była - i jest nadal - górka. Nie obchodziło mnie wówczas skąd raptem na tym płaskim terenie wzięła się górka, dziś domyślałam się że powstała z ziemi wydobytej z wykopów przeznaczonych na staw. Te wykopy - jeszcze puste, bez wody - można było zobaczyć ze szczytu góry, na którą prowadziła alejka. Można by też było zbiec z góry po trawiastym stoku schodzącym ku zwirowanej jezdni ale na trawniki nie wolno było wchodzić. Oznajmiali o tym - tak mi mówiono - napisy na licznych tabliczkach a pilnowali zakazu dozorca chodzący po alejkach z laskami zakończonymi długim metalowym szpikulcem. Służył on - ten szpikuliec - do zbierania z alejek czy trawników papierków lub innych śmieci porzuconych przez przechodniów. Bardzo zazdrościłem dozorcóm ich laski ale nigdy nie udało mi się trzymać jej w rękę; gwizdki, którymi wieczorem oznajmiali oni rychłe zamknięcie parkowych furtek mniej mnie interesowały.

Odwróciwszy się plecami do dolów na stawy można było zobaczyć ponad gęstwiną krzewów kawał murawy wspinającej się na nasyp toru kolejowego. Żeby się tam dostać trzeba było wędrować do bramy najbliższej Dworcowi Kaliskiemu i zaraz potem skręcić w prawo na wybrukowaną kocimi łbami ulicę biegnącą równolegle do torów. Tam już niczego nie było: ani domów, ani płotów, można więc było swobodnie biegać po trawie i wspinać się na stok nasypu. Chadzaliśmy tam jednak rzadko gdyż pannie Gieni bardziej odpowiadał zadbane park niż bezpieczna murawa. Tylko w pogodne dni wiosenne zaglądaliśmy tu w poszukiwaniu młodych listków mniszka, rośliny tworzące najpierw żółte kwiaty a potem kule delikatnego, białego puchu. „Męska stałość” mawiała o niej panna Gienia i bez przekonania wydłubywała z murawy młode, jeszcze nie kwitnące kępki owej „stałości”. Czyniła to na prośbę



naszego ojca, który zasmakowawszy w młodości we włoskiej kuchni chętnie jadał listki mniszka doprawione - niczym sałata - oliwą i octem.. W trzydzieści parę lat później, kiedy w rzymskim pensjonacie podano mi do obiadu sałatę z mniszka, przypomniała mi się natychmiast murawa wchodząca na nasyp kolejowy opodal Dworca Kaliskiego.

Nie przepadałem za tymi spacerami po doskonale znanych alejkach, w których nic się nie działo. Bez satysfakcji witałem kolejny pogodny poranek wiedząc, że po śniadaniu będę musiał szykować się do wyjścia na ciągle taką samą ulicę aby dojść do parkowej furtki. Cieszył mnie natomiast spływający po szybach deszcz, który oznaczał, że żadnego spaceru nie będzie więc zamiast łązić nie wiadomo gdzie i po co lecz zostaniemy w domu i będziemy mogli wyglądać albo na podwórze albo na ulicę. Podwórze, co prawda, było niezbyt interesujące - zapuszczony kawałek ziemi z kilkoma mizernymi grządkami - ale znajdowała się na nim kłapa włazu, w którym ukryty był motor pompujący wodę do domowego rezerwuaru. /Wodociągu miejskiego wówczas jeszcze nie było./ Co dnia wchodził do tego włazu nasz dozorca, pan Mela, a sprawiało mu to sporo kłopotów bo był bardzo tęgi. Widok wpychającego się do okrągłej dziury i znikającego w niej pana Meli był fascynujący i śledziliśmy go z zapartym tchem.. Potem, kiedy pan Mela wylazł z otworu, budowaliśmy z krzeseł coś w rodzaju włazu i wchodziliśmy kolejno do niego. Niestety, ten nasz, krzesłowy wąż był obszerny i nie musieliśmy się do niego wciskać. Kiedy sprzykrzyła nam się zabawa w pana Melę przechodziliśmy do okien wychodzących na Radwańską. Z parteru widać było niewiele, bo zaraz naprzeciwko stała dwupiętrowa kamienica, ale wszystko co się na jezdni działo mieliśmy przed sobą jak na dłoni. A właśnie na jezdni ruch był ożywiony i ciekawy bo rano zdążyły w stronę rzeźni furgony rzeźników czy wędliniarzy a przed południem wracały w stronę ulicy Pańskiej. Były to ciągnięte przez konie - częściej jednego, rzadziej dwa - specjalne wozy do transportu mięsa: zamykane na dwie kłapy skrzynie na kołach, wymalowane kolorową farbą i opisane wielkimi literami oznajmiającymi nazwisko rzemieślnika.

Przed naszymi oczami przetaczał się co chwila inny wóz, innym kolorem wymalowany, inaczej zaprzęgnięty i z innym woźnicą na ławeczce. Było na co patrzeć! Po pewnym czasie znaleźmy te zaprzęgi z widzenia i zgadywali, który przyjedzie wcześniej a który później. Około południa jednak jezdnia przed naszymi oknami pustoszała, klienci rzeźni zaopatrzyli się w towar i pracowali nad nim w swoich warsztatach. Mogliśmy oglądać jedynie stojącą naprzeciw kamienicę i wytrwale siedzącego w oknie pierwszego jej piętra tęgiego mężczyznę w podtrzymującej wąsy bindzie. Podobno - tak mówiono - był to pruski żołnierz, który ożenił się z łodzianką i został w naszym mieście. Przyglądanie się jego bindzie było mało ciekawe więc nie pozostawało nam nic innego jak zabawa w „grubą świnie”, w której główną rolę grał kręgiel zastępujący pałkę. A po kilku dniach deszczowych przykrzyły się nam domowe zajęcia i czekaliśmy niecierpliwie na „spacerową” pogodę.

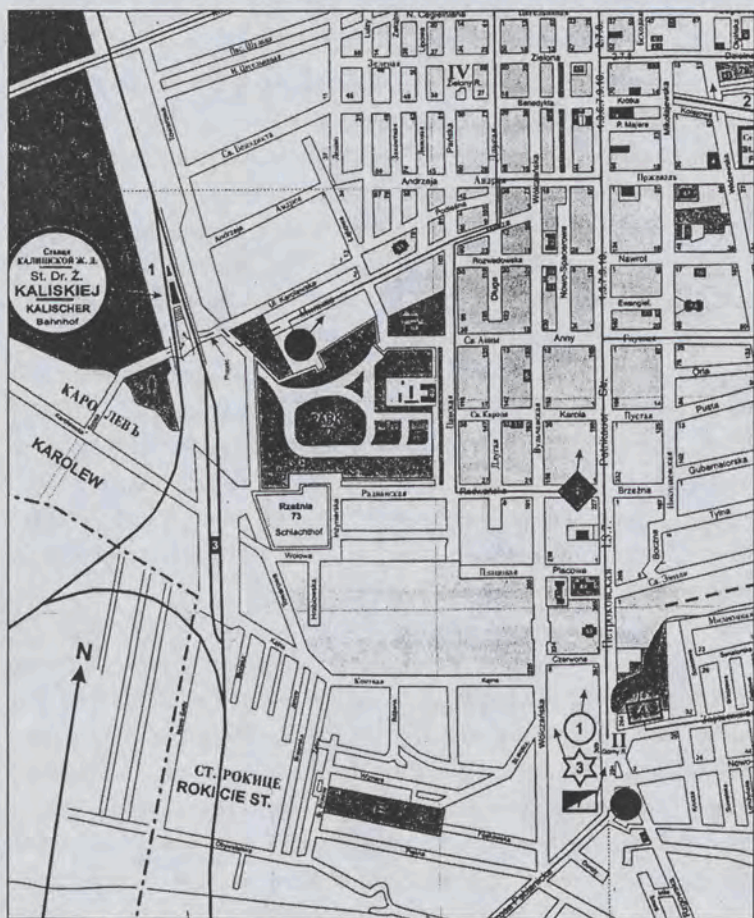
W dnie powszednie aż do obiadu pozostawaliśmy pod opieką panny Gieni jako że oboje rodzice szli rano do pracy. W pogodne niedziele na spacerzy zabierała nas często Matka i te spacerzy bardzo lubilem nie tylko ze względu na jej osobę. W pogodne niedziele przed południem park zupełnie nie przypominał pustawego miejsca jakim był w dni powszednie: po szerokiej, zataczającej krąg żwirowanej alei aż rojno było od „zażywających przejażdżki” rowerzystów i rowerzystek. Co młodsi panowie ścigali się z sobą, starsi pedałowali godnie i miarowo, podobnie jak dosiadające „damek” panie w spódnicach do połowy łydki. Rozmaitość rowerów i strojów oraz sposobów jazdy tworzyła widowisko, na które mogłem patrzeć bez końca.; znacznie to było ciekawsze niż defilada rzeźnickich furgonów po Radwańskiej. Na dodatek w ciżbie krążących po alei rowerzystów pojawiał się od czasu do czasu powóz ze stangretem na koźle i eleganckimi pasażerami w wygodnych siedzeniach. Mama, która podczas pobytu w Szwajcarii często jeździła na rowerze, mówiła nam kto jeździ elegancko a kto prostacko; nie zyskiwali jej uznania cykliści pochylający się nad kierownicą i wypinający tylną część ciała na jadących za nimi. Opowiadała nam także, że gdy przed kilkoma laty

była po raz pierwszy w Łodzi po powrocie do kraju, widywała w parku jeżdżących konno oficerów francuskich. Bardzo żałowałem że ich teraz nie ma i dziwiłem się że wyjechali. Kiedy po latach dowiedziałem się że jednym z członków wojskowej misji francuskiej był pułkownik de Gaulle pomyślałem iż mógł on być jednym z tych oficerów o których wspominała Mama. Gdzieś około południa liczba krążących po parkowej alei rowerzystów i pojazdów zaczęła się przerzedzać. Bramą ulokowaną między Radwańską a Karola opuszczali oni park wjeżdżając na Pańską. Wjazd odbywał się przez bramę leżącą naprzeciw ulicy Karola, obok gmachu Sądu. Sądu, gdyż przez wiele lat Sąd mieścił się głównym budynku wzniesionym ongiś dla Szkoły Włókienniczej. W dniu powszednie można było zobaczyć przed Sądem odrapany powóz zaprzężony w lichawe konie, całkiem niepodobny do tych zaprzęgów jakie w niedzielę krążyły po parku. Wiedzieliśmy, że należał do dziedzica Stoków, teścia dalekiego kuzyna naszej Mamy. Starszy pan, z zawodu farmaceuta, ożeniony z krewniaczką Deotymy, ciągle sądził się ze swymi sąsiadami a podjeżdżając po Sąd z fasonem, jeszcze w biegu, wyskakiwał ze swego powozu. Z tym szlacheckim fasonem jakoś nie harmonizował zaprząg, w którym rzemienie uprzęży łatane były postronkami.

Od Sądu można było, idąc wzdłuż parkowego ogrodzenia, dojść do końca ulicy Pańskiej, którą chyba w tych latach właśnie zaczęto nazywać „Żeromskiego”. Kończyła się ona dochodząc do Radwańskiej a dalej, gdzieś bardzo daleko, biegła, wzdłuż głębokiego rowu, ni to polna droga ni trakt ocieniony wysokimi topolami. Nie pamiętam bym kiedykolwiek zapuścił się w tamtą stronę; panna Gienia unikała tej dzikiej i pustej okolicy i po pewnym czasie utrwaliło się we mnie przekonanie, że tam się nie chodzi. Koniec Pańskiej - czy Żeromskiego - był jednak ciekawym miejscem gdyż można tu było zobaczyć jak na końcówce zawraca tramwaj. Tramwaj - nieduży i zielony - dojeżdżał do ostatniego przystanku, czyli przed Radwańską, i opuszczali go nieliczni pasażerowie. Wówczas motorniczy dojeżdżał do końca toru tak daleko jak się tylko dało, zatrzymywał wóz, przekładał z lewej strony na prawą kratę

zagradzającą wejście do tramwaju a potem zdejmował z silnika korbę i przechodził przez cały tramwaj na pomost, który dotychczas był tylnym a teraz stawał się przednim.. Tam konduktor przełożył już wcześniej kratę z prawej strony na lewą i tramwaj mógłby już ruszyć ulicą Pańską - albo Żeromskiego - w stronę z której przyjechał. Trzeba było jednak jeszcze obrócić z tyłu do przodu wysięgnik kontaktujący motor z siecią elektryczną rozpiętą nad torem. Był to naonczas długi stalowy pręt zakończony dotykającym sieci bloczkiem czy kółkiem i należało pociągnąć go w dół sznurem, odłączyć od sieci i półkolem obejść tramwaj tak by bloczek dotknął sieci nad tylnym pomostem. Zdarzało się że tą operację powierzał czasem motorniczy czekającym na taką okazję chłopakom a ja z zazdrością patrzyłem jak któryś z nich obiega po półkolu tramwaj ściągając w dół linkę wysięgnika. Ta zazdrość została mi do dziś i nie będzie zaspokojona bo od lat nie ma już końcówki przy Radwańskiej ani takich jak tamte tramwajów z wysięgnikiem zakończonym metalowym kółkiem. Naprzeciw parku, od Karola do Radwańskiej, ciągnęła się ślepa ściana wyższych i niższych zabudowań fabryki Rosenblatta; część z nich - po adaptacjach i remontach - służy do dziś Politechnice Łódzkiej. Wąskim chodnikiem biegnący wzdłuż tej ściany chadzaliśmy rzadko bo pusto tam było i nieciekawie. Poza tym od czasu do czasu w okolicy fabryki rozchodził się duszący zapach sięgający nawet w głąb parku: „Szaja smrodzi” mawiała wówczas Mama, jako że właściciel fabryki miał na imię Szaja. Kiedyś jednak zdarzyło się nam iść podfabrycznym chodnikiem wówczas gdy Szaja smrodził i okazało się, że owe smrody unoszą się nad rynsztokiem, którym wartko spływała w stronę Radwańskiej bulgocąca, niebieskawa ciecz. Zawirowania i kaskady tworzące się na nierównościach dna tego niezwykłego potoku wprost mnie zafrapowały i uprosiłem pannę Gienię byśmy doszli nad tą fabryczną zupą do Radwańskiej. Podnosiłem z chodnika jakieś słomki czy patyki i wrzucając je do rynsztoka śledziłem ich drogę po wzburzonych falach. Niestety, przy Radwańskiej ścieki wraz z moimi patykami niknęły w biegnącej pod ulicą rurze i wypływały po drugiej stronie w wiodącym na południe rowie. Tam już nie mogłem ich obserwo-

wał bo tam się - jak wspominałem - nie chodziło. Wieczorem pani Gienia powiedziała Mamie o moim uporze i musiałem przyrzec że już nigdy nie będę chodził nad ściekami Szaji bo to bardzo niezdrowo. Dotrzymałem tej obietnicy tym łatwiej że wkrótce przenieśliśmy się z ulicy Radwańskiej na Gdańską, którą Mama nazywała Długą. A ślady kanału, którym spływały przed laty ścieki nie tylko z fabryki Rosenblatta odnalazłem niedawno: jest on wyrysowany na planie panów Sturtzla i Kułakowskiego jako ważny element miejskiej infrastruktury.



Część parku położoną między Sądem i Szkołą a ulicą Anny znalazłem wówczas słabo. Po to by dostać się do niej z ulicy Radwańskiej trzeba było przejść kawał drogi a nie było tu niczego szczególnie godnego uwagi. Jedynie zimą zapuszczaliśmy się czasem w te strony by popatrzeć na saneczkarzy zjeżdżających z górki pod dębem do dość głębokiej dolinki równoległej do ulicy Żeromskiego. /Podobno ongiś była tu kopalnia żwiru./ Przy dobrym śniegu i sprzyjającej pogodzie panował tu gwar i rwetes: starsi i młodszy saneczkarze zjeżdżali na łeb na szyję po dość stromej pochyłości dosiadając „fabrycznych” sanek lub leżąc brzuchem na czymś co przypominało stolnice. Na dole kłębiła się ciżba zjeżdżających i tych co wstawali z sanek aby wrócić na górkę i zjechać ponownie. W takim zamęcie nie mogło obyć się bez kolizji i upadków, o czym pewnego razu przyszło mi się przekonać. Normalnie, ze względu na wiek, mogłem tylko patrzeć na saneczkarzy ale kiedyś jakiś znajomy panny Gieni zaproponował że zabierze mnie na swoje saneczki i zjadę na dół z nim razem. Tak się też i stało ale nasz zjazd nie zakończył się szczęśliwie: sanki nam się wywróciły i choć ja wyszedłem z tej wywrotki bez szwanku, mój opiekun porzucił sobie skórę na głowie uderzając o grudy zmarzniętego śniegu. Pospiesznie wróciliśmy do domu gdzie Mama opatrywała rany mego przewoźnika zastanawiając się czy jednej z nich nie należałoby zaszyć. Miałem nadzieję, że zobaczę jak szyje się człowieka ale, niestety, owo szycie okazało się niepotrzebne. Dziś saneczkowa górka została przystosowana do potrzeb rowerzystów dosiadających górskich rowerów; wcześniej, w latach wojny urządzono na niej przeciwlotnicze schrony.

Z początkiem jesieni 1925 roku przestałem chadzać na codzienne spacerzy z panną Gienią i rodzeństwem ponieważ zacząłem sam „uczęszczać” do szkoły, ściślej mówiąc - do klasy B szkoły panny Wesołkówny. Ten nowy obowiązek okazał się trudniejszy niż dotychczasowy spacerowy bo nie potrafiłem nawiązywać znajomości i zażyłości z kolegami z owej klasy B. Co gorsza przeważały w niej wyfiokowane i rozgadane dziewczyny, stworzenia całkiem mi obce. Niecierpliwie

wyczekiwałem kończącego lekcje dzwonka i rad wracałem do domu i dobrze znanych domowników. Tak być chyba musiało bo przed pójściem do szkoły co najmniej dwa lata przebywałem jedynie z rodzeństwem i poza bratem i siostrą nie miałem żadnych rówieśnych znajomych. Brat i siostra nadal chadzali z panną Gienią do parku tylko nie w pobliże rzeźni lecz w rejon saneczkowej górki. Tam było bliżej z naszego nowego mieszkania przy ulicy Gdańskiej czy Długiej, jak często mawiała Mama, która przed wojną przez parę lat mieszkała w domu przy Długiej. Moje własne kontakty z parkiem stały się nieregularne i dorywcze i tak już zostało do dziś. Zachodziłem tam najczęściej przez furtkę przy ulicy Anny - potem Bandurskiego a teraz Mickiewicza - ale dziś tej furtki już nie ma. Nie ma zresztą otaczającego cały park ogrodzenia, rozebrali je Niemcy w latach okupacji. Po wojnie park był miejscem spacerów, na które wyprowadzała nasze dzieci moja żona a ja czasem dołączałem do nich. W latach sześćdziesiątych północna część parku została dotknięta kataklizmem związanym z przedłużaniem Aleii



Mickiewicza, która dotychczas kończyła się przy Łąkowej. Zaczęła się wycinka drzew, rycie wykopów, którymi pójść miała nowa arteria i budowa podziemnego przejścia pod ulicą Żeromskiego, ongiś Pańską. Z mieszanymi uczuciami patrzyłem na postępy tych prac: rozumiałem ich potrzebę ale żał mi było zakamarków po których chadzałem przed pół wiekiem. Dziś przywykłem już do tych zmian, które nie dawno mnie razily.

Park ciągle jest tam gdzie zaczęto go zakładać przed stoma laty. Jego także - podobnie jak sąsiadujących z nim ulic - nie ominęły zmiany nazwy. Za „carskich” czasów zwał się po prostu Ogrodem przy ulicy Pańskiej, po pierwszej wojnie nadano mu imię ks Józefa Poniatowskiego, w latach okupacji zwał się Hitlerjugendpark, po wojnie - Parkiem im. Józefa Poniatowskiego, Jakimś wrażliwym demokratom wydawało się politycznie błędne przypominanie arystokratycznego tytułu bohatera narodowego, Tablica z napisem „Park im. Józefa Poniatowskiego” długo stała w miejscu dawnej furtki przy ulicy Anny. Teraz już nie stoi a na planach miasta Józef Poniatowski odzyskał tytuł od stuleci związany z jego imieniem, No i dobrze.



BOGUSŁAW SIKORSKI

## BAŁUTY KTÓRYCH JUŻ NIE MA

Bałuty dzielnica mojego dzieciństwa. Jaka była jak jest? Przed 50-ciu laty na wielu wąskich uliczkach w rynsztokach płynęły w upalne lipcowe dni lata cuchnące pomyje. Gromady dzieci puszczało tam papierowe łódki, które miały wypłynąć w daleki świat. Przemoczone tonęły na pierwszym zakręcie. Zakrzywiony drut i fajerka skradziona z domowego pieca była ulubioną zabawką. Podwórka zabudowane licznymi komórkami i ubikacjami stwarzały doskonale miejsce do gry w chowanego. Odżywają te wspomnienia kiedy dziś patrzę na nowe osiedla. Mieszkam w jednym z nich w osiedlu Jagiełło. Ale tak trudno uciec od wspomnień dzieciństwa. Nie wiele zostało już brukowanych ulic. Nie wiele domów grzybem wrośniętych w ziemię. Jeśli gdzieś jeszcze drewniany domek zamieszkuje ludzie to nie płyną obok cuchnące kałuże. Ten drewniak przypomina jednak Bałuty, których już nie ma. Nie wiele o tych Bałutach wiedzą najmłodszy mieszkańcy. Choć wychowują się w betonowych wieżowcach, wzniesionych w nie najlepszej technologii to jednak dopływa tam czysta woda i ciepło. Moich wspomnień nie zatrze czas. Ale Bałuty to dziel-

nica, która zapisała trwale karty w historii Łodzi. Zapisała nędzę i najbardziej okazałe pałace Łodzi. Bałucka ziemia zapisała również najtragiczniejsze losy człowieka.. Getto żydowskie utworzone przez hitlerowców, obóz dla dzieci i palonych żywcem więźniów Radogoszcza. W tej dzielnicy jest także największa nekropolia żydowska w Europie. Choć dzielnica Widzew ma piękną robotniczą kartę w historii miasta, Chojny wzniesionych w okresie międzywojennym tysiące domków łódzkich tkaczy i przędzalników w zabudowie podobnych do Bałut. To żadna z tych dzielnic nie może poszczycić się takimi kartami historii jak Bałuty. W tej dzielnicy rodziły się legendy o ślepym Maksie i powstawały podwórkowe piosenki. Klimat podwórkowych zabaw i bałuckich rysztołów zapisał Julian Tuwim w „Kwiatach polskich”

„Bałuckie limfatyczne dzieci  
Z wyostrzonymi twarzyczkami  
( Jakbyś z bibułki sinoszarej  
Wyciął ich rysy nożyczkami)  
Upiorki znad cuchnącej Łódki,  
Z zapadłą piersią , starym wzrokiem  
Siadają w kucki nad rysztołem  
Puszczają papierowe łódki  
Na ścieki, tęczujące tłusto  
Mętami fabryk z apretury  
I płyną w ślad nędzarskich jachtów  
Marzenia a za nimi szczury”.

Wybranymi fragmentami pracy autorstwa Mariusza Kuleszy i Marka Pawłowskiego (konsultacja naukowa prof. dr hab. Bohdan Baranowski) przypomnę historię Bałut lat 1430 - 1915 - 1980)

Pierwsza historyczna wzmianka o Bałutach pochodzi z roku 1430, ślady występowania osadnictwa na tym obszarze odnoszą się do zamierchłej przeszłości, do okresu zawartego pomiędzy 4500 - 1800 l. p.n.e. tj. do młodszej epoki kamienia. Są to nieliczne znaleziska z terenu

Julianowa - ślady po grupach ludzkich zajmujących się gospodarką rolniczo-hodowlaną, a więc prowadzących już osiadły tryb życia. Podobnie nieliczne odkrycia w Julianowie i Marysinie III pochodzą z wczesnej epoki brązu (tzw. „kultura trzciniecka” 1800-1300 l. p.n.e.).

Obszar Bałut zamieszkały był w początkach naszej ery. Świadczy o tym odkrycie dużego cmentarzyska w Rogach (Marysin III), gdzie znaleziono n.in. dużą ilość narzędzi, broni, ozdób i przedmiotów codziennego użytku. Drobne przedmioty z tego okresu znaleziono również w Radogoszczu oraz Łągiewnikach Małych.

W XIII wieku osadnictwo dotarło do dolin kolejnych rzek - Bałuty i Łódki, nad którymi założone zostały osady Łódzia i Bałuty. Wszystkie wymienione punkty osadnicze stanowiły osady rolniczo-leśne, założone na wypalonych bądź wykarczowanych polaciach.

Tak więc obszar dzisiejszej dzielnicy Bałuty stanowił teren najwcześniejszego stałego osadnictwa w granicach obecnej Łodzi. Choć osady te powstały stosunkowo wcześnie, prawdopodobnie w XI-XII wieku, pierwsze wzmianki historyczne o nich odnoszą się do okresu znacznie późniejszego. Najwcześniejsza z nich dotyczy Radogoszcza-Julianowa i mówi o przybyciu księcia Konrada Mazowieckiego w roku 1242. Przykładowo pierwsza wzmianka pisana dotycząca Łodzi pochodzi z roku 1332, zaś Bałut z roku 1430.

Podjęta w latach Królestwa Polskiego industrializacja tego obszaru, która objęła m.in. miasteczko rządowe Łódź, nie objęła jednak pozostałych miejscowości tworzących dzisiejsze Bałuty, stanowiących dobra prywatne, tym niemniej wywarła jednak korzystny wpływ na rozwój tychże osad. Dodatkowym czynnikiem przyspieszającym rozwój okolicy było podjęcie budowy w roku 1818 nowego traktu biegnącego z Łęczycy do Piotrkowa, który połączył; bezpośrednio Zgierz z Łodzią, z pominięciem Łągiewnik. W okresie tym rozwijało się budownictwo, rosła także liczba mieszkańców.

W połowie tegoż stulecia ówczesny dziedzic Łągiewnik zdecydował się wydzielić część ziem z folwarku Bałuty przylegających bezpośrednio do granic Starego Miasta pod osadnictwo typu miejskiego. Inicjatywa

trafiła na szczególnie podatny grunt wobec ogromnego przeludnienia Starego Miasta. W ten sposób zaczęła się kształtować osada Bałuty Nowe. Jej wytyczona sieć drogowa nawiązywała do sieci ulic miasta, centrum zaś stał się Bałucki Rynek, w którym zbiegły się trakt zgierski i łagiewnicki oraz nowopowstała szosa Aleksandrowska.

W połowie lat 70-tych ubiegłego stulecia, zabudowa dzisiejszego obszaru dzielnicy liczyła już około 800 domów. Jeśli chodzi o zabudowę mieszkalną to nie istniały tutaj żadne ograniczenia. Budowano według własnych upodobań i możliwości. Typowe stały się jedno-, dwu-, a nawet trzykondygnacyjne, pośpiesznie stawiane domy drewniane o jednoizbowych najczęściej mieszkaniach, pozbawionych elementarnych warunków sanitarnych. Skutki tego procesu fatalnie rzutowały w okresie późniejszym na obraz Bałut. Utrzymywanie ich pod administracją wiejską hamowało, wręcz uniemożliwiała prawidłowy rozwój osady. Nowe Bałuty nie miały przecież charakteru wsi. Zamieszkiwali je w przeważającej większości robotnicy, wyrobnicy, rzemieślnicy i drobni kupcy. W 1886 r. osada liczyła już 320 domów i 9800 mieszkańców. Ludność utrzymywała się z pracy pozarolniczej. W ten sposób Bałuty stały się podmiejską dzielnicą rzemieślniczo-handlową dla Łodzi. W 1891



roku było tutaj około 750 domów, w 1907 już 2400 budynków i blisko 75 tysięcy mieszkańców. Zabudowa posunęła się ulicami Aleksandrowską po Żubardz, Wojska Polskiego po Doły. Ulica Zgierska stała się główną arterią łączącą Łódź, Bałuty i Radogoszcz.

Bałuty ze swoją „dziką”, bezplanową, tandetną zabudową, pozbawioną podstawowych urządzeń sanitarnych, zamieszkiwane głównie przez niewykwalifikowanych robotników o niskim poziomie kulturalnym, przez długi czas - aż do drugiej wojny światowej były synonimem brzydoty, nędzy i przestępczości. Sytuację pogarszał jeszcze fakt przymusowego osiedlania tutaj elementów przestępczych z Łodzi (tzw. „pobytwców”).

W roku 1915 władze okupacyjne włączyły w granice administracyjne miasto osadę Bałuty Nowe, wieś Bałuty Stare, część wsi i kolonii Radogoszcz, część wsi i kolonii Żabieniec, Doły, folwarki Marysin I i II oraz Julianów, Antoniew, a także pozostałą część Żubardzia; liczba mieszkańców Bałut, rządzonych do tej pory prawami wsi, przekraczała wówczas 100 tysięcy! Decyzja ta była jednak spóźniona o kilkadziesiąt lat. Miasto wchłonęło tereny silnie zurbanizowane, bezplanowo i chaotycznie zabudowane, bez jakichkolwiek urządzeń komunalnych. Rozwiązanie ogromu narosłych trudności i nieprawidłowości było już wręcz niemożliwe.

Pierwsze skromne, nie mające wpływu na całokształt oblicza dzielnicy próby poprawy sytuacji podjęte zostały w okresie międzywojennym. W roku 1925 Spółdzielcze Towarzystwo Budowy Domów dla Urzędników Skarbowych i Pracowników Umysłowych, wzniosło wzorcowe osiedle domów willowych, będące wzorem dla okolicznych właścicieli parcel na Julianowie i Radogoszczu. W 1935 roku na obszarze rozparcelowanego folwarku Marysin III, Towarzystwo Osiedli Robotniczych wzniosło osiedle domków przeznaczonych dla lepiej sytuowanych robotników. Zmodernizowano ciąg uliczny Kilińskiego-Franciszkańska, odciążając w ten sposób dotychczasową główną arterię Piotrkowska-Nowomiejska-Zgierska. Wybudowano wschodni odcinek obwodnicy kolejowej. Stopniowo zmieniała się też zabudowa obszaru Starego Miasta,

gdzie w miejsce dotychczasowego, dominującego tutaj budownictwa drewnianego, wkroczyły obiekty murowane. W roku 1937, po wykupieniu z rąk prywatnych parku na Julianowie, dzielnica wzbogaciła się o pierwszy park publiczny. Nadal jednak oprócz obszaru Starego Miasta, kilku enklaw osiedlowych oraz głównych ciągów ulicznych dominowało ubogie, chaotyczne i prymitywne budownictwo indywidualne, tzw. „bieda-domki”, a na obrzeżach dzielnicy nawet budownictwo typu wiejskiego. W domach tych mieszkała przeważająca liczba mieszkańców Bałut, wychowywały się i dorastały dzieci, toczyło się całe ówczesne życie mieszkających tam rodzin.

\* \* \*

Specjalistyczny charakter - Bałut - dzielnicy wąskich i ciemnych, nieutwardzonych, bądź z rzadka brukowanych ulic, prymitywnej zabudowy, bez miejsc rekreacji i wypoczynku, obiektów kulturalnych, dostatecznych sieci szkół, szpitali itp., zamieszkałej głównie przez biedotę, niewykwalifikowanych robotników i drobnych rzemieślników egzystujących w fatalnych warunkach - sprzyjał szerzeniu się przestępczości i specyficznej subkultury przedmieścia. Legendarna postać „Antka z Bałut” - chuligana nożownika - stała się na wiele dziesiątków lat synonimem tej części Łodzi. Ale na szczęście nie tylko tą niezbyt chlubną tradycją zapisały się Bałuty w dziejach Łodzi.

Warunki egzystencji proletariatu przyspieszyły budzenie się świadomości robotniczej. Pierwsze spontaniczne odruchy tego zjawiska obserwujemy już w 1861 roku, kiedy podczas wypadków luddyzmu w Łodzi, zdesperowany tłum drobnych tkaczy wdarł się m.in. do znajdującej się na Starym Mieście fabryki Prussaka, niszcząc znajdujące się tam maszyny i urządzenia fabryczne. To właśnie robotnicy dzielnicy bałuckiej, pracujący w słynącej z największego wyzysku gigantycznej fabryki I.K. Poznańskiego, po wpływie propagandy szerzonej przez kierowany wówczas bezpośrednio przez Juliana Marchlewskiego Związek Robotników Polskich, zainaugurowali ten ruch w krwawych starciach kwietniowo-majowych w czasie tzw. „buntu łódzkiego”.

Ponowny wzrost fali rewolucyjnej nastąpił w roku 1905. W pobliżu Bałuckiego Rynku doszło do zmasakrowania powracającego z wiecu w lesie łagiewnickim pochodu robotniczego. Wydarzenie to było jednym z głównych powodów wybuchu powstania, kiedy to w dniach 22-24 czerwca na ulicach Łodzi stanęło 100 barykad. Nie zabrakło ich również na Bałutach. A kiedy przeciw rewolucyjnemu proletariatowi obok caratu i burżuazji wystąpiła zbrojnie rodzima reakcja i nastąpiła, stanowiąca tragiczny epizod w historii dzielnicy i miasta fala skrytobójczych mordów, Bałuty przypominały warowny obóz. Przy ufortyfikowanych domach i całych kompleksach mieszkalnych pełniły straż uzbrojone bojówki robotnicze, składające się z członków SDKPiL i PPS, a na dachach rozmieszczone były posterunki obserwacyjne, chroniące życie działaczy partyjnych i ich rodzin. Szczególnie tragiczny okres w dziejach dzielnicy stanowiły lata okupacji hitlerowskiej 1939 - 1945. Łódź znalazła się wśród obszarów „Włączonych bezpośrednio” do III Rzeszy. Hitlerowcy dążyli do jak najszybszej germanizacji tego terenu i bezwzględnej zagłady narodu polskiego. Podstawowymi zasadami działania okupanta stał się terror, zbiorowa odpowiedzialność i specjalne prawo karne. Zapowiedzią poczynań hitlerowskich było dokonanie 11 listopada 1939 roku na Bałuckim Rynku pierwszej publicznej egzekucji. Na Bałutach także, w Radogoszczu, w murach fabryki Glazera a następnie fabryki Abbego zlokalizowany został obóz-więzienie, przez które przeszło w okresie ponad 5-letniej niewoli ok. 40 tysięcy więźniów; a blisko połowa z nich zginęła z rąk załogi, bądź w egzekucjach w podłódzkich lasach. Radogoszcz kojarzy się z jeszcze jedną bezlitosną zbrodnią hitlerowców - wymordowaniem i spaleniem żywcem w przeddzień wyzwolenia Łodzi, 18 stycznia 1945 roku ostatniej grupy - 2 tysięcy więźniów. Na Bałutach także, w lutym 1940 roku władze okupacyjne utworzyły wyodrębnioną dzielnicę-obóz dla ludności, żydowskiej - łódzkie getto. Dla 220 tysięcy ludzi tej narodowości z Łodzi, okolicznych miast, a nawet z zagranicy, stało się ono miejscem śmierci, bądź punktem etapowym przed deportacją do obozów zagłady. W końcu 1942 roku przy ulicy Przemysłowej okupant utworzył jeszcze jedno miejsce masowej zbrodni

- obóz dla dzieci i młodzieży. Wiek więźniów wahał się od 2 do 16 lat. Były to głównie dzieci zatrzymane za działalność w ruchu oporu, sieroty po poległych w walce bądź zgładzonych przez reżim hitlerowski, dzieci zatrzymane za drobne przewinienia. Z ogólnej liczby 12 tysięcy, w tym także dzieci z innych krajów, blisko połowa poniosła śmierć na skutek ciężkiej, wyniszczającej organizm pracy, głodu, chorób oraz sadystycznego traktowania przez hitlerowskich „wychowawców”. Na Bałutach funkcjonowało też szereg innych obiektów, wchodzących w skład hitlerowskiego systemu wyniszczania i zagłady, np. więzienie dla kobiet w klasztorze ss. Urszulanek przy ul. Teresy, czy Urząd Rasowy przy ulicy Spornej zajmujący się germanizacją młodych Polaków.

Piękną kartę w historii walk z okupantem zapisała młodzieżowa organizacja „Promieniści”. Powstała we wrześniu 1941 roku objęła ponad 40 członków skupionych w 6 grupach, z których 4 działały na Bałutach. Jej założycielami byli: Stanisław Gajek, Franciszek Prożek, Mieczysław Wołś i Eugeniusz Lisiak. Dziełem „Promienistych” była długa lista udanych akcji podpażeń niemieckich stodoł i stogów zboża w okolicznych wsiach, rozkręcenie szyn na trasie Zgierz-Stryków, brawurowa akcja na sklep z bronią przy ulicy Piotrkowskiej 83 przeprowadzona 20 kwietnia tegoż samego roku, rozbijanie żołnierzy niemieckich i wiele innych.

Przełomowym momentem dla dzielnicy stało się jednak wejście w życie w 1960 roku planu zagospodarowania przestrzennego Łodzi, którego opracowanie pozwoliło na bardziej racjonalne niż dotychczas wykorzystanie terenów i kształtowanie układu urbanistycznego, realizację inwestycji przemysłowych, rozwoju urządzeń komunalnych i zaplecza usługowego. W świetle tegoż planu Bałutom przyznano rolę szczególną. Właśnie wówczas ruszyło na wielką skalę bałuckie budownictwo mieszkaniowe i zaczęły kształtować się zręby przyszłej nowoczesnej dzielnicy przemysłowo-magazynowej. Było to możliwe i z tego względu, że już 20 grudnia 1945 roku patrząc perspektywnie zwiększono 4-krotnie obszar administracyjny Łodzi włączając m.in. dalsze, słabo zurbanizowane części Bałut i stwarzając tym samym możliwości planowego kształtowania rozbudowy i rozwoju dzielnicy.



ANDRZEJ GAŁECKI

## FENOMEN ŁODZI

Dzisiaj zajmujemy się fenomenem wielokulturowej Łodzi i nigdzie w Europie nie spotykanym oszałamiającym rozwojem miasta, aby zrozumieć przyczyny tego zjawiska musimy się cofnąć w czasie.

Łódź średniowieczna, Łódź rolnicza zaczęła gwałtownie upadać po wojnach szwedzkich. Proces ten dotknął wszystkie miasta w Polsce. Nie raz w naszej historii, kraj został tak zniszczony jak podczas potopu szwedzkiego. Wtedy jednak był to dla nas potężny cios. Łódź rolnicza licząca w 1598 roku około 600-700 osób w 1728 roku liczyła zaledwie 250 mieszkańców, a niektóre źródła podają, że nie przekraczała 200 osób. Pomimo starań właścicieli Łodzi - biskupów włocławskich, Łódź systematycznie wyludniała się. Kurczyła się wymiana handlowa, pustoszały szlaki i drogi, rozpadały się zabudowania drewnianych budynków publicznych w mieście. Jak podają źródła: „kury z powodu dziur w ścianach swobodnie chodziły w środku kościoła”. W roku 1775, w tym całkowicie do tej pory polskim i coraz bardziej podupadłym miasteczku osiedla się pierwsza rodzina żydowska. Arendaż Joachim Zelwerowicz z żoną zamieszkał w Browarze Łódzkim.

Po drugim rozbiórce teren Łodzi przypadł w 1793 roku Prusom. Mieszkało wówczas 191 łodzian w tym 11 żydów. Władze Prus odrzuciły wnioski o budowę hut szkła i zaczęły czynić starania o odebranie Łodzi praw miejskich. Bo co to było za miasto? Jeden kościół, 44 domy, 11 domów niezamieszkałych, 2 szynki, 1 młyn, wszystkie zabudowania były drewniane, mieszkańcy mieli 18 koni, 67 wołów, 58 krów i 63 świnie. Obszar zabudowany liczył około 20 hektarów a całość obszaru miasta z łąkami, polami i ogrodami około 900 ha. W najbliższej okolicy miasta Stryków, Sieradz, Brzeziny, Łęczyca liczyły ponad tysiąc mieszkańców, Łowicz ponad 3 tysiące, Piotrków Trybunalski ponad 5 tysięcy, Warszawa zaś 100 tysięcy osób. Łódź 200 osób - Warszawa 100 tysięcy osób. Doniosłym krokiem dla rozwoju miasta była decyzja władz pruskich z 1798 r. dotycząca sekularyzacji dóbr kościelnych. Prusacy przejęli miasto i inne dobra biskupie na własność rządu Prus - na własność skarbu państwa. Trwałym elementem ich krótkich trzynastoletnich rządów były kolonie osadników niemieckich wokół Łodzi. Zaborcy chcieli tu stworzyć silny ośrodek niemiecki promieniujący na całą okolicę. Głównym punktem miała być osada Sulzfeld - Nowosolna, na niezamieszkałych





gruntach wytyczono charakterystyczną gwiazdzistą osadę, z centralnego placu rozchodzi się osiem dróg. Nowosolna rozwinęła się błyskawicznie i w ostatnich latach panowania pruskiego przewyższyła liczbą mieszkańców miasto Łódź. Inne kolonie osadników pruskich to: Antoniew (dzisiejsze okolice ul. Wojska Polskiego i Strykowskiej) osada ta dorównała liczbą mieszkańców miastu Łódź, Olechów, Augustów, Karkoszka (okolice dzisiejszego Dworca Łódź-Fabryczna). Całkowicie niemiecki charakter miały Nowosolna i Olechów, w pozostałych koloniach ludność niemiecka była pomieszana z ludnością polską ze zdecydowaną przewagą elementu niemieckiego. Tylko część osadników trudniła się rolnictwem, większość rzemiosłem, w tym m.in. tkactwem. Jednak osadnictwo pruskie nie było najstarszym osadnictwem wokół Łodzi. Jeszcze przed rozbiorem powstały tu trzy kolonie tzw. osadników ołęderskich. Nie byli to Holendrzy lecz głównie przedstawiciele żywiotu niemieckiego również i Polacy, którzy otrzymywali nieużytki i moczary, zagospodarowywali je, byli zwolnieni z pańszczyzny, płacili czynsz w pieniądzu. Osady ołęderskie wokół Łodzi to: Dąbrowa, Janów, Żabieniec. Kolonizacja ołęderska była typowo rolniczą. Może warto

przypomnieć, że na terenie dzisiejszej Łodzi na przełomie XVIII - XIX wieku znajdowało się ponad 50 osad (wsi, koloni, młynów itd.).

W 1806 roku kiedy to Łódź znalazła się w granicach Księstwa Warszawskiego - po trzynastu latach zarządu pruskiego - liczyła 770 mieszkańców w tym 58 Żydów. Wzrost liczby żydowskich mieszkańców spowodował utworzenie w 1809 roku gminy żydowskiej w Łodzi. Przedtem w latach 1775 - 1782 żydzi łódzcy należeli do gminy w Strykowie, a od 1782 do 1809 roku do gminy w Lutomiersku. W ciągu niecałych 20 lat do czasów wytyczenia Nowego Miasta Łodzi, które nastąpiła w latach 1821-1823, liczba żydowskich mieszkańców Łodzi zwiększyła się z 10 do 36% ogółu mieszkańców. Po upadku Napoleona od 1815 roku Łódź znajduje się w Królestwie Polskim (a więc w zaborze rosyjskim). 18 września 1820 roku namiestnik Królestwa Polskiego generał Józef Zajączek wydaje dekret zaliczający Łódź do grupy miast fabrycznych - włókienniczych. Łódź nie była tu wyjątkiem, dekret wymienia również i inne miasta: Łęczycę, Zgierz, Przedecz, Gostynin, Rawę, Skierniewice, Turek, Uniejów, Pabianice, Częstochowę oraz miasta prywatne: Aleksandrów, Tomaszów, Ozorków, Zduńska Wola, Konstantynów. Wielu miastom dano szansę ale jedynie Łódź tę szansę niesamowicie wykorzystała. Ojcami chrzestnymi tej decyzji byli: Wojewoda Mazowiecki Rajmund RembIELIŃSKI i ks. Stanisław Staszic. Władze nakazały budowę nowych dróg: traktu piotrkowskiego (z Łęczycy przez Łódź do Piotrkowa), pracę ukończono w 1821 roku i traktu fabrycznego biegnącego z Warszawy przez Łowicz, Zgierz, Łódź, Sieradz do Kalisza, ukończono w 1829 roku. Wytyczono i rozpoczęto budowę nowego miasta Łodzi lata 1821-1823. Regularny geometryczny kształt z czterema ulicami obwodowymi: Wschodnia, Zachodnia, Północna, Południowa, ośmioboczny rynek, powierzchnia 27 ha z 184 działkami, zaplanowano ogrody i sady biegnące aż do ulicy Uniwersyteckiej. Zakazano jednak osiedlania się Żydów w nowym mieście i 25 kwietnia 1822 roku utworzono rewir żydowski na starym mieście. Przypomnijmy, że lata przed kolonizacją niemieckojęzyczną 1820-1823 to okres największego procentowego udziału Żydów do 36% mieszkańców Łodzi.



Po wytyczeniu nowego miasta Rząd rozpoczął intensywne zabiegi werbunkowe by skłonić zagranicznych fachowców do osiedlenia się w nowym mieście fabrycznym. Fachowców werbowano:

- przywilejami
- przydziałami gruntów pod zabudowę i ogrody
- zwolnieniami na 6 lat z opłat czynszu
- bezcłowym przywozem inwentarza imigrantów
- zwolnieniem od służby wojskowej osadników i ich synów
- prawem powrotu do macierzystego kraju
- pomocą finansową, kredytami i ulgami

W wyniku akcji werbunkowej zaczęli przybywać osadnicy z Saksonii, Brandenburgii, Sudetów, Czech, Śląska oraz pojedyncze rodziny i osoby z Francji, Belgii, Anglii, Szwajcarii i innych krajów. Trzeba także zaznaczyć, że najważniejszą przesłanką tej decyzji było dążenie władz województwa mazowieckiego do ożywienia gospodarczego zaniedbanych terenów, dokuczliwy brak artykułów włókienniczych, bo główne jego ośrodki były w Wielkopolsce, czyli poza Królestwem Polskim oraz narastające potrzeby armii polskiej (mundury z sukna) i wreszcie podpisanie unii celnej z Rosją w 1822. Decydenci mieli tu rozległe dobra

rządowe, dużo materiałów budowlanych (drewno, cegły, szkło, torf), dostateczną ilość wody, oraz istniejące już kolonie pruskie w okolicy co posiadało duże psychologiczne znaczenie dla nowych osadników. Oprócz Nowego Miasta, które miało mieć charakter włókienniczy (wełniarski), 3 lata później z inicjatywy księdza Stanisława Staszica w latach 1824-1825 wytyczono osadę fabryczną lniarsko-bawełnianą Łódka (teren od dzisiejszej ul. Narutowicza wzdłuż Piotrkowskiej do rzeki Jasień). Z pieniędzy rządowych wybudowano w 1826 roku duży zakład płócienniczy tzw. Bielnik, który wykańczał materiały lniane i bawełniane dostarczane przez samodzielnych tkaczy. Następuje teraz szybki rozwój liczby mieszkańców Łodzi. Przypomnę - początek rozwoju Łodzi przemysłowej 1823 rok - 799 mieszkańców, Polaków i Żydów (żydzi stanowili 36% mieszkańców). Rusza osadnictwo przemysłowe, przyjeżdżają tkacze i prządkowie. Zagraniczni fachowcy uciekają w dużej mierze od mechanizacji i nowinek technicznych, które stanowią zagrożenie dla nich w ich macierzystych krajach. W 1836 roku Łódź liczy już 6500 mieszkańców, blisko 75% ludności stanowią osoby niemieckojęzyczne, 15% Polacy i 10% Żydzi. Lata 40 i 50 to dalszy wzrost



liczebności mieszkańców miasta, ale procentowo pojawia się już tendencja zmniejszania się udziału ludności niemieckojęzycznej. Następuje powolny procentowy wzrost ludności polskiej i żydowskiej.

W przeddzień wybuchu powstania styczniowego Łódź liczy 40 000 mieszkańców i jest już drugim miastem w Polsce pod względem liczby ludności. Szczególnie korzystne były tu lata 1836-1842, kiedy nastąpił skok z 6 500 do 17 000 mieszkańców. Skutkiem ciężkiej zimy w 1845 roku nastąpił zanik napływu nowych przybyszów, niedożywienie, choroby i wysoka śmiertelność spowodowały, że nasze miasto straciło 20% stanu ludności. Okres od lat 30 do połowy 80 XIX wieku to niewątpliwie lata o zdecydowanej przewadze żywiołu niemieckiego. Niemieckojęzyczni protestanci i katolicy stanowią najliczniejszą grupą ludnościową. Wskutek restrykcyjnej polityki caratu po upadku powstania, poprzez uwłaszczenie chłopów, poprzez wybuch wielokapitalistycznego przemysłu do Łodzi szeroko zaczyna napływać element polski - który stanowi główną siłę taniej kadry robotniczej. Po pogromach Żydów w Rosji w latach 1881-1882 i po ich wypędzeniu z wielkich rosyjskich miast, szczególnie w latach 90 masowo napływają do Łodzi Żydzi rosyjscy tzw. litwacy. Procesy o których mówię radykalnie przyspieszyło oddanie do użytku linii kolei fabrycznej w 1866 roku. Generalnie biorąc napływowa ludność niemiecka była lepiej wykształcona, reprezentowała inteligencję techniczną, majstrów i zarządców. Żydzi tradycyjnie zajmowali się handlem, rzemiosłem, usługami finansowymi i transportowymi. Polacy głównie pracowali w zakładach jako robotnicy, przeważnie byli to chłopci z okolicznych przeludnionych i biednych wsi. Dopiero w latach 90, w samym końcu XIX wieku pojawia się w znaczniejszym stopniu Polska inteligencja i następuje polonizacja miasta. Na przełomie wieków XIX i XX Polacy stanowią blisko połowę mieszkańców, Żydzi około 30%, Niemcy około 20%, Rosjanie do 3%. Najszybszy przyrost liczby mieszkańców to lata 1872—1878, kiedy Łódź podwaja liczbę mieszkańców z 50 do 100 tysięcy osób w ciągu 6 lat. Takie tempo wzrostu było czymś zawrotnym i niespotykanym w Europie. W 1895 roku Łódź liczy już 200 tysięcy osób, około 1900 roku blisko 300

tysięcy, w 1908 - 400 tysięcy. W ciągu czterdziestu lat, a więc w ciągu jednego pokolenia, ludność Łodzi powiększyła się dziesięciokrotnie. Masowy napływ ludności od połowy lat 70 XIX wieku spowodował kolosalne dysproporcje pomiędzy rozwojem przemysłu a rozwojem miasta, zwłaszcza budownictwa mieszkaniowego i infrastruktury technicznej. Ten wysoki przyrost ludności był przede wszystkim skutkiem wzrostu migracji a nie przyrostu naturalnego. Na przełomie wieków blisko 65% mieszkańców urodziło się poza Łodzią. Do powstania styczniowego większość imigrantów pochodziła z terenów niemieckojęzycznych, później z terenu guberni kaliskiej, piotrkowskiej i warszawskiej. Oprócz Niemców, Polaków i Żydów Łódź zamieszkiwali także: Czesi - pierwsi przybyli jeszcze w latach 30 XIX wieku wraz z niemieckimi tkaczami z Sudetów, później przybywali głównie z Żelowa i Kucowa. Rosjanie - pojawili się w Łodzi w wyniku polityki rusyfikacyjnej w połowie lat 60 XIX wieku. Pracowali w aparacie państwowym jako urzędnicy, policjanci, wojskowi, nauczyciele. Ich liczba nigdy nie przekroczyła 3% mieszkańców. W Łodzi zamieszkiwali także: ukraińcy, białorusini, serbowie, grecy, Anglicy, Austriacy, Belgowie, Holendrzy, Francuzi, Szwajcarzy, Włosi, Szwedzi, Ormianie i Romowie. Niektórzy z nich byli właścicielami potężnych zakładów przemysłowych.

Pierwsza wojna światowa zastaje w Łodzi 50% Polaków, 35% Żydów i 15% Niemców, przed wybuchem II wojny Światowej Polacy stanowią 55% mieszkańców, Żydzi 35% i Niemcy 10%.

Ostatnio pojawiło się szereg interesujących publikacji przedstawiających obraz współżycia wielokulturowej XIX i XX wiekowej Łodzi. Są bardzo ciekawe pozycje omawiające fortuny największych łódzkich rodów fabrykanckich. Gorąco zachęcam wszystkich do szukania w obecnym obliczu naszego miasta śladów pozostawionych przez łódzkich Żydów, Niemców, Rosjan, Czechów i inne nacje. Tradycje te bada łódzki oddział Fundacji Tolerancja a także ostatnio powstały Instytut Tolerancji w Łodzi. Należy się tylko z tego cieszyć bo przecież jeszcze niedawno, 20 lat temu fenomenem Łodzi zajmowała się garstka hobbystów i miłośników.



KATARZYNA BARANKOWA

## NIEBO NAD ŁODZIĄ

Ten pokój jest izbą pamięci poświęconą historii łódzkiego lotnictwa. Makieta lotniska, stare mapy Łodzi, wycinki prasowe, zdjęcia pierwszych pilotów, modele samolotów i szybowców, także tych najstarszych, z XIX wieku, skupione w jednym, małym miejscu tworzą klimat wolnej, bezkresnej przestrzeni. Jedna ze ścian, w sposób szczególny przyciąga wzrok, kusi i zmusza do zastanowienia. Znajduje się tam, płaskorzeźba wykuta w metalu, która przedstawia płynącą po wzburzonej rzece łódź ciągnioną przez uskrzydłonego Ikara. Twórcą jej jest Pan Kajetan Zakrzewski mający dwie dusze. Jedną artystyczną, która pozwala mu postrzegać świat poprzez rzeźbę, drugą zaprzedał lotnictwu. Z pasją zajmuje się jego historią. Jest ona bardzo bogata. Najpierw nad Łodzią wlatywały balony. Pierwszy lot miał miejsce w 1894 roku, drugi w 1898. Ten najważniejszy miał miejsce dwadzieścia lat później. W 1912 roku z torów wyścigowych znajdujących się w Rudzie Pabianickiej wystartował samolot BLERIOT 11 pilotowany przez Polaka włoskiego pochodzenia - Scipio del Campo. Łodzianie po raz pierwszy obserwowali wtedy nad swoim miastem

lot samolotu. Przeleciał kilka razy nad ulicą Piotrkowską, nad kominami fabryk i robotniczymi osiedlami. Drugi samolot wystartował z pola cyklistów Helenowa, ten lot szybko się zakończył.

## OD ROMANTYZMU DO REALIZMU

Zakończył się czas romantycznych wzniesień, za sprawa których człowiek, niczym mityczny Ikar sięgnął marzeniami wysoko i wznosił się w przestworza. Nowe życie w młodej, ledwie co odzyskanej Ojczyźnie zmusiło Polaków do obrony młodego państwa. Powstała Liga Obrony Powietrznej Państwa, a 1924 roku powstał jej oddział na terenie Łodzi. Wstępowali do niej głównie studenci i zawodowi wojskowi a w naszym mieście uczniowie gimnazjum. Miłość do kraju, jego bezpieczeństwa i marzenia o lataniu sprawiły, że organizacja szybko zwiększyła swoje szeregi i poprzez liczne zbiórki oraz akcje zarobkowe również zasoby finansowe. Zaczęto szkolić pilotów szybowcowych, budować lotniska i tworzyć pierwsze areokluby. Pojawiły się też pierwsze sukcesy w sportach lotniczych. Uruchomiono działania zachęcające młodzież do latania. OLPP pomagało nawet finansowo np. refundowało koszt silnika. Bywało, że wyszukiwano sponsora, który pokrywał całość kosztów nabywanego samolotu. W 1925 roku Komitet Wojewódzki Ligi Obrony Powietrznej Okręgu Łódzkiego dokonał wyboru, najtańszego miejsca na budowę lotniska, czyli tereny na Lublinku. - To były takie błota, grzęzawiska, że jak nie udał się start, to kapotaże tonęły w błocie i deski trzeba było podkładać, żeby samoloty wyciągnąć - wspomina pan Kajetan. Młodzi adepci sztuki latania zgłębiali tajniki nawigacji, programu dyscyplin sportowych i obsługi samolotów. W 1929 roku powstał Łódzki Klub Lotniczy, a w rok później Centrum Przystosowania Wojskowego Lotniczego pod kierownictwem Franciszka Żwirki.

Od momentu zawieszenia komunikacji lotniczej w 1928 roku, aż do 1939 roku lotnisko służyło do szkolenia lotniczego i przystosowania wojskowego. Po wojnie łódzki areoklub znalazł dla siebie siedzibę w Dąbrówce koło Zgierza, a od 1953 roku do 1961 roku w Aleksadrowie. W rok później spalił się hangar i tak oto Łódzki Areoklub powrócił na



# POLSKA LINIA LOTNICZA AEROLOT S. A. ROZKŁAD LOTÓW

ważny od 18. października 1927 r.  
aż do odwołania.

Komunikacja  
codzienna  
z wyjątkiem  
niedziel

Godzina	Kierunek	Godzina
<b>Warszawa — Gdańsk</b>		
12,20	↓ Warszawa	↑ 11,40
13,20	↓ Gdańsk	↑ 8,40
<b>Warszawa — Łódź</b>		
14,30	↓ Warszawa	↑ 10,00
15,30	↓ Łódź	↑ 9,00
<b>Warszawa — Kraków — Wiedeń</b>		
8,30	↓ Warszawa	↑ 15,15
11,00	↓ Kraków	↑ 12,45
12,15	↓ Kraków	↑ 11,30
13,15	↓ Wiedeń	↑ 8,40
<b>Warszawa — Lwów</b>		
12,15	↓ Warszawa	↑ 11,30
13,15	↓ Lwów	↑ 8,30
<b>Lwów — Kraków<sup>*)</sup></b>		
8,24	↓ Lwów	↑ 15,30
11,24	↓ Kraków	↑ 12,45
<b>Kraków — Brno — Wiedeń<sup>**)</sup></b>		
11,35	↓ Kraków	↑ 12,15
12,30	↓ Brno	↑ 10,00
14,00	↓ Brno	↑ 9,30
15,00	↓ Wiedeń	↑ 6,40

Komunikacja  
codzienna  
z wyjątkiem  
niedziel.

<sup>\*)</sup> Samoloty kursują do Lwowa poniedziałek, środa, piątek.

Samoloty kursują do Krakowa wtorek, czwartek, sobota.

<sup>\*\*)</sup> Samoloty kursują via Brno z Wiednia poniedziałek, środa i piątek, z Krakowa zaś wtorek, czwartek, sobota.

Rekwiety na linii Lwów-Brno-Kraków-Wiedeń odbywać się będą codziennie.

### CENY BILETÓW.

Linja	Cena w	Warszawa	Gdańsk	Lwów	Kraków	Łódź	Wiedeń	Brno
Warszawa	zł.	—	65	70	60	25	120	120
Gdańsk	"	65	—	135	125	90	165	165
Lwów	"	70	135	—	60	95	125	125
Kraków	"	60	125	60	—	85	80	65
Łódź	"	25	90	95	85	—	145	145
Wiedeń	zł. Aus.	65	135	85	85	100	—	20
Brno	Cz. Kr.	120	130	120	100	160	—	—

Bilet uprawnia do rezerwacji bagażu podręcznego do 15 kg. Rezerwacja bagażu cięższego uprawnia do 30 kg. (z wyjątkiem podręcznego bagażu).

Za przewóz bagażu większego niż 30 kg. obowiązuje specjalny cennik. Przewóz bagażu większego niż 30 kg. obowiązuje specjalny cennik. Przewóz bagażu większego niż 30 kg. obowiązuje specjalny cennik.

UWAGA! Dopuszczalne, pod warunkiem, że nie przekracza 100 kg. waga bagażu i nie przekracza 100 cm. długość bagażu.

Dopuszczalne, pod warunkiem, że nie przekracza 100 kg. waga bagażu i nie przekracza 100 cm. długość bagażu.

Dopuszczalne, pod warunkiem, że nie przekracza 100 kg. waga bagażu i nie przekracza 100 cm. długość bagażu.

Dopuszczalne, pod warunkiem, że nie przekracza 100 kg. waga bagażu i nie przekracza 100 cm. długość bagażu.

### INFORMACJE

Warszawa Nowy Świat 14 tel. 9-00 19-06 Lądowisko tel. 8-50	Kraków Ś. Anny 4 tel. 12-22 Lądowisko tel. 25-41	Lwów Tęczyński 7 tel. 21-00 Lądowisko tel. 45-50
Łódź Działkowska No. 62 tel. 131 Lądowisko tel. 20-15	Wiedeń Terenhofstrasse 7 tel. 21-00 Lądowisko tel. 45-50	Brno Lądowisko tel. 415-11

swoje własne tereny, na Lublinek przejmując jako prawny spadkobierca we władanie lotnisko. Przetrwał do momentu powołania Spółki Lotnisko Łódź Lublinek. Dzisiaj posiada zaledwie 1% udziału i nie ma miejsca na swoją działalność szkoleniową, bo stracił lotnisko. Ruch komunikacyjny ze względu na przepisy bezpieczeństwa uniemożliwia starty szybowcom i samolotom szkoleniowym. Najgorsze stało się po 1989 roku. Do tego czasu kluby sportowe o charakterze lotniczym były subsydiowane przez państwo, od 1990 roku środki zostały obcięte. Brak wsparcia finansowego, pustki w kasie spowodowały, że trzeba było przestawić się z dnia na dzień i dotychczasową działalność statutową wesprzeć gospodarczą, bo w innym przypadku klub przestałby istnieć.

#### ŁODZI DODANO SKRZYDŁA

Wyjątkowo korzystne położenie Łodzi, to jeden z największych jej atutów. Zdawali sobie sprawę praojcowie tego miasta, w czasach, kiedy wsparta na rozwijających się dynamicznie manufakturach miejscowość zaczęła przeobrażać się w przemysłową aglomerację. Budowano i rozbudowywano infrastrukturę miejską: drogi dojazdowe, dworce, ulice, hotele, a także osiedla i domy dla stale napływających ludzi, chcących na stałe związać swe losy, z miastem przyszłości, jakim dla wielu okazała się Łódź. By sprostać wymaganiom rozwijającego się miasta i społeczeństwa, zapewnić szybką łączność z innymi ośrodkami przemysłowymi i handlowymi już w 1924 roku powstał projekt budowy lotniska. Jak podaje dodatek niedzielny do „Kuriera Łódzkiego”, z dnia 20 września 1925 r. „(...) w niedzielę, dnia 13 bm. przy szosie Pabianickiej nastąpiło uroczyste otwarcie lotniska. Poświęcenia dokonał J.F. Ks. Wincenty Tymieniecki w obecności przedstawiciela rządu, wiceministra Eberhardta, prezesa Centralnego Zarządu Ligi Obrony Powietrznej Państwa, miejscowych władz państwowych, wojskowych, samorządowych oraz tysięcznych rzesz publiczności. (...)”

Koszt budowy lotniska z zabudową wyniósł w 1925 roku 270 tysięcy złotych i był pokryty w całości z funduszy społecznych, L.O.P.P Tuż po otwarciu, lotnisko natychmiast oddano do użytku a Towarzystwo

Lotnicze „AERO” uruchomiło pierwsze połączenia Poznań - Łódź - Warszawa (linię obsługiwały samoloty FARMAN F-70 i JUNKERS 13). W rok później Polska Linia Lotnicza AEROLOT S.A. połączyła bezpośrednio Łódź z Warszawą, Gdańskiem, Krakowem oraz Wiedniem (z przesiadką). Od początku istnienia portu funkcjonowały: budynek portowy z mieszkaniami pilotów, stacja METEO, oraz drewniany hangar z częścią warsztatową. Samoloty odbywały regularne loty i przy sprzyjających warunkach atmosferycznych, odlatywały punktualnie. Ogólnie dostępne były rozkłady lotów. Bilety sprzedawano w Biurze „ORBIS” mieszczącym się przy ulicy Andrzeja 5. Łodzianie pokochali swoje lotnisko. Byli dumni, że je posiadają. W 1929 roku powstał Łódzki Klub Lotniczy. W rok później pod kierownictwem Franciszka Żwirki, powstało Centrum Przeposobienia Wojskowego Lotniczego. Pamiętano też o młodych adeptach sztuki latania, z myślą o nich wybudowano budynek szkoły pilotów i powiększono port o nowy, drugi hangar, wybudowany dla areoklubu łódzkiego. Teren lotniska był najlepszym miejscem do chłopięcych zabaw.

- Miałem wtedy dziewięć lat - wspomina Pan Kajetan - oczywiście jak zwykle z kuzynami, pałaliśmy się między hangarami. Dzień był mglisty, mżawka, taki nie lotny. Nagle usłyszałem charakterystyczne brzęczenie w powietrzu. Zdziwienie? Coś ląduje. Był to motoszybowiec. Wychodzi dziewczyna, w plisowanej spódnicy w turbanie, zamiast pilotki. Ówczesny szef lotniska - zapytał - Jak Pani tu przyleciała - a po torach z Warszawy. ( inaczej w języku lotniczym, „po meblach” , tak określają lot piloci w przypadku słabej widoczności ) - Chłopcze podaj mi mapnik. Szybko podbiegłem, podałem mapnik. Pilotka z szefem lotniska oddaliła się. Wróciła po chwili i wystartowała. W tej chwili gospodarz poderwał wszystkich kursantów, Postawił na baczność. Zasalutował. - Żegnamy córkę Józefa Piłsudskiego. Tak, to była przez wszystkich uwielbiana Jagódka.

Spełniły się marzenia rajców miasta i architektów przeobrażeń w nim się dokonujących, bowiem Łodzi nie tylko dopięto skrzydła, dzięki którym udało się jej wznieść wysoko w górę i połączyć z innymi polskimi

europijskimi miastami, ale także, w 1936 została gospodarzem III Ogólnopolskiego Zlotu Gwiazdzystego. Czarne chmury przesłoniły jasną przyszłość lotniska z początkiem drugiej wojny światowej. Niemcy natychmiast je zajęli, następnie przez cztery lata usiłowali przebudować w kierunku południowo-wschodnim, by wreszcie w 1945 roku dokonać nieodwracalnych zniszczeń. Wkroczenie Wojsk Radzieckich i wprowadzenie na teren zniszczonego lotniska Pierwszego Batalionu Inżynierijno Lotniczego (pierwszej polskiej jednostki wojskowej) dało początek jego odbudowy i przebudowy. Pas startowy, drogi kołowania ze stojakami wybudowano na potrzeby 3 Pułku Lotnictwa Szturmowego, który w latach 1945-1947 stacjonował na Lublinku. Znowu rozpoczął się dobry okres dla łódzkiego „okna na świat”. Uruchomiono regularne bezpośrednie połączenia z Warszawą, Gdańskiem i Wrocławiem. W 1945 roku oblatywano na Lublinku pierwszy w powojennej Polsce samolot krajowej produkcji LWD Szpak II, w 1948 roku pierwszy pasażerski port lotniczy. Aż do 1958 roku łódzkie lotnisko obsługiwało 10% całego ruchu krajowego. Powstały też w tym czasie Lotnicze Zakłady Remontowe, które funkcjonują do dzisiaj. Później ruch pasażerski wstrzymano, gdyż ówczesne władze uznały, że Łódź jest miastem robotników, którzy nie korzystają z luksusu w postaci podróży lotniczych. Przez długie lata jedynym, gospodarzem był Aeroklub Łódzki. Decyzje o modernizacji lotniska zapadły w 1993 roku, czyli w okresie przeobrażeń gospodarczych dokonujących się w naszym mieście: szybki rozwój sektora prywatnego w sferze produkcyjnej i handlowej, pojawienie się licznych oddziałów banków, skryształizowanie się planów dotyczących budowy autostrad transeuropejskich, z których aż dwie skrzyżują się w Łodzi, aż wreszcie powstanie specjalnej strefy ekonomicznej wpłynęło na ożywienie kontaktów gospodarczych i w efekcie przyczyniło się do reaktywowania portu lotniczego w naszym mieście. W 1994 roku powołano spółkę „Lotnisko Łódź Lublinek”, w której udziały ma Miasto Łódź, Aeroklub Polski i Aeroklub Łódzki, i natychmiast podjęto działania zapewniające sprawne funkcjonowanie lotniska. W ciągu czterech lat kosztem 15 mln dolarów oddano do użytku nowy

pas startowy, a w dniu 24 października 1997 roku nowy terminal. Dzięki przebudowie między innymi głównej drogi startowej lotnisko stało się jednym z 80 polskich portów dopuszczonych do ruchu międzynarodowego. Zakończenie inwestycji związanych z wykonaniem nowej nawierzchni drogi startowej, drogi kołowania i płyty przeddworcowej, umożliwiło przyjmowanie przez Lublinek samolotów zabierających na pokład do 70 pasażerów takich jak ATR-42, ATR-72, Dornier 32 B, Bae 146 (te ostatnie mogą lądować z niepełną masą startu). Z łódzkiego lotniska korzystali znani politycy, sportowcy, ludzie biznesu, nasi kolejni prezydenci odwiedzający miasto. Przyjmowane są małe śmigłowce prywatne, policyjne a także służby zdrowia. A w 1999 roku Łódź po 40 latach nieobecności wróciła na mapy lotnictwa cywilnego, uruchomiono bowiem połączenia lotnicze Łódź - Warszawa - Łódź. Dzisiaj możemy śmiało powiedzieć, że mamy połączenie z całym światem - choć z przesiadką. Tu na miejscu możemy kupić bilet do najdalszego zakątka świata,



Budynek lotniska na łódzkim Lublinku

dokonać odprawy bagażu, który „idzie swoją drogą”, a w Warszawie - miejscu przesiadki, załatwiane są jedynie ostatnie formalności. Od kiedy zostały uruchomione regularne loty Łódź znalazła się w Ogólnoświatowej Sieci Lotniczej LCJ (komputerowa). Mamy (jako miasto portowe) zagwarantowane miejsce w magazynie pokładowym PLL LOT S.A.. Otwarcie nieba nad Łodzią dodało jej skrzydeł i przeniosło w nowy, inny świat trzeciego tysiąclecia.

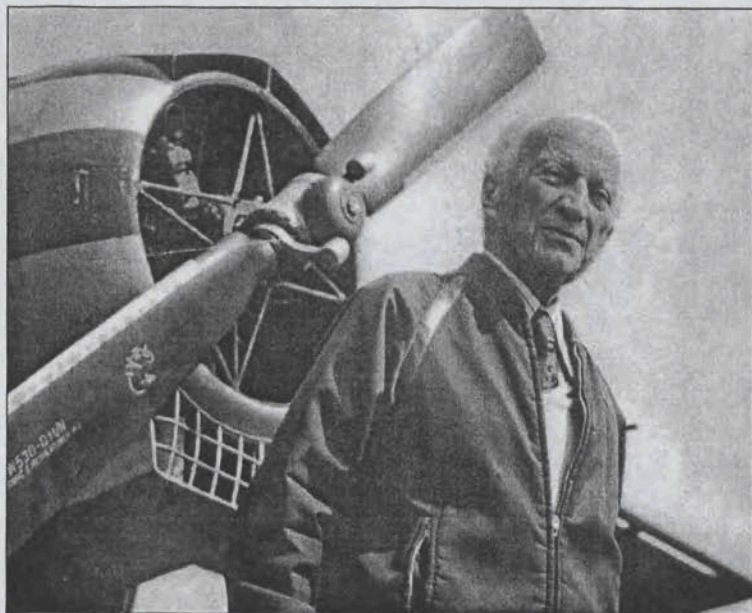
## JAKA PRZYSZŁOŚĆ

Lotnictwo niosło w sobie etos bohaterstwa, szlachetności, bezinteresowności, solidarności, równości - tych najlepszych cech ludzkich. Wszelkim działaniom patronowała początkowo idea. W latach późniejszych motorem napędzającym i sprawującym opiekę było wojsko wspierane rządowymi decyzjami. Dzisiaj lotnicze kluby sportowe są osamotnione. Na sponsorów, bogatych ludzi nie ma co liczyć, szczególnie w naszym, biednym mieście. Zdobywanie własnych pieniędzy w takich warunkach też nie jest łatwe.

- Robimy to co najlepiej umiemy robić, ale żeby zacząć zarabiać, musimy uruchomić procedury koncesyjne i certyfikacyjne - powiedział dyrektor Areoklubu Łódzkiego, instr. pil. Ryszard Michalski. Taki certyfikat Głównego Inspektora Lotnictwa Cywilnego na świadczenie niektórych usług w powietrzu klub posiada i dzięki niemu pozyskuje środki na bieżącą działalność. Pięć lat temu postawiono na młodych i to się udało. W tej chwili zatrudniona kadra jest świetnie wyszkolona technicznie, ma już spore doświadczenie i dlatego wiele skomplikowanych prac wykonuje samodzielnie, zmniejszając tym samym koszty. Największym marzeniem Zarządu jest, żeby do klubu trafiało jak najwięcej młodych ludzi, chcących uprawiać sporty lotnicze. Czas najwyższy na wyłonienie mistrzowskiej kadry. A jest to możliwe tylko wtedy, gdy wzrośnie wśród młodzieży zainteresowanie lataniem i gdy uda się zmniejszyć koszty szkolenia, poprzez wprowadzenie nowoczesnych, ekonomicznych samolotów, na zakup których, nawet na jeden, nie ma pieniędzy. Póki co musimy zadowolić się sukcesami wypróbo-



wanej już i doświadczonej kadry łódzkich lotników. Niewątpliwie najlepszym, najbardziej utytułowanym, choć niezwykle skromnym jest pan Ryszard Michalski. Zwycięzca Rajdowych Mistrzostw Świata w Anglii, dwukrotny pełny Mistrz Świata w lataniu rajdowym i dwukrotny wicemistrz, także Mistrz Europy w lataniu rajdowym i dwukrotny wicemistrz. Przez blisko osiemnaście lat utrzymywał najwyższą formę sportową, ma za sobą przelatanych 4700 godzin na samolotach i 1300 godzin na szybowcach. W sumie ponad 6 tysięcy godzin - to według znawców dużo. Utarło się powiedzenie, że pilot jest tak dobry, jak jego najgorsza cecha i dlatego, Ci najlepsi pracują nad swoimi, najsłabszymi cechami, po to, żeby umieć je wyeliminować w czasie zawodów. Ciągłe szkolenie, doskonalenie się, systematyczne zdobywanie wiedzy, obowiązują każdego zawodnika, który marzy o sukcesie i dobrych wynikach. Czy łódzka, mistrzowska kadra lotnicza doczeka się następców? Trudno dzisiaj to przewidzieć. Zbyt wiele problemów narosło wokół tego tematu. Łodzianie chcą mieć swoje



lotnisko i chcą mieć także klub sportowy. Lubią przychodzić na zawody. Do niedawna Lublinek służył za miejsce niedzielnych, rodzinnych wycieczek. Obecnie, pomimo urokliwej okolicy i dobrze prezentującego się lotniska, jest tam pusto. Regularna komunikacja pasażerska jest na razie wstrzymana, loty szybowcowe też są ograniczone. W lotnictwie, jak w lustrze odbijają się wszystkie potknięcia, błędy polityczne oraz trudności gospodarcze i ekonomiczne miasta a nawet kraju. Sytuację może uratować jednomyślność, spójność wszelkich poczynań i decyzji. Należy sądzić, że w naszym mieście wszystkie te problemy zostaną rozwiązane ku zadowoleniu łodzian - romantyków i realistów. Latanie sprawia przyjemność, niezależność, daje nieograniczoną wolność. Świat oglądany jest inaczej, bo w czterech wymiarach: z lewej i prawej strony oraz z góry i dołu. Ten specyficzny sposób poruszania się w przestrzeni odczuwają nieliczni, bo tylko Ci, którzy unoszą się w przestworzach.

PIOTR WERNER

## TU JEDNAK ZOSTANĘ

Kto raz go widział, rozpozna zawsze. Trudno się dziwić: 193 centymetry wzrostu, barczysty, z tubalnym głosem, siwe dziś włosy od lat spina w kitę lub harcap. No i twarz, charakterystyczna, na widok której wielu zadaje sobie pytanie - skąd ja go znam? Ludzie z tak zwanej „branży” wiedzą dobrze, że stać go na wiele. W pracy jest konkretny, czasem szorstki, a nawet wybuchowy; prywatnie zaś witalny, dowcipny, otwarty. Lubili pracować z nim najlepsi.

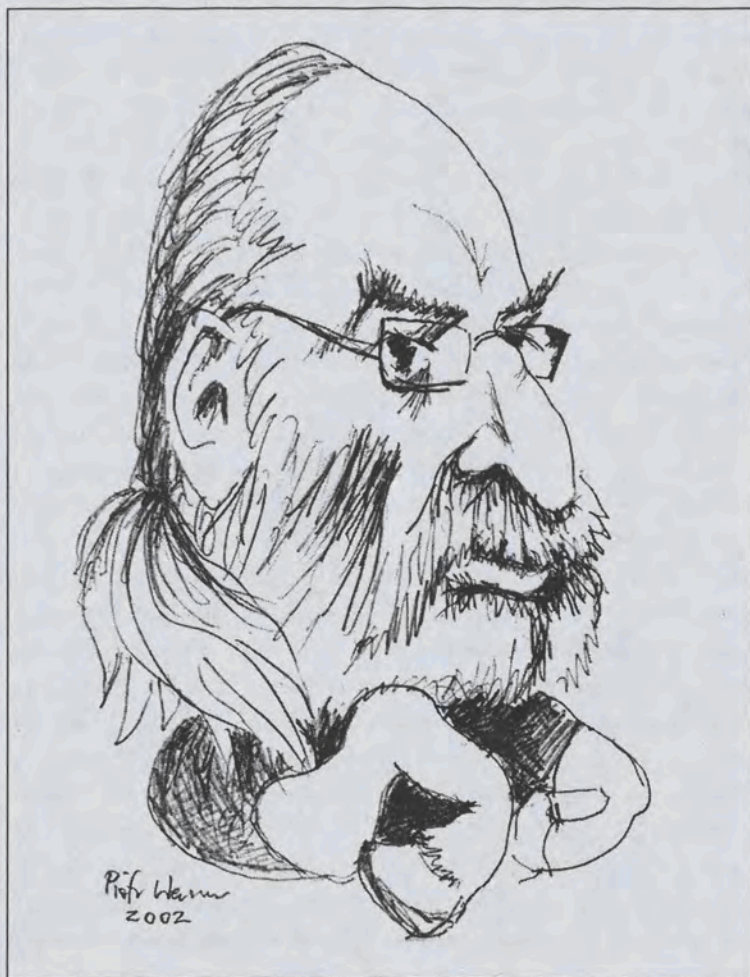
W najlepszych czasach polskiego filmu i można powiedzieć, że Dziunek był gwiazdą w swoim fachu przez wiele długich lat. Władysław Barański urodził się w 1939 roku w Chodorowie, oddalonym zaledwie o czterdzieści kilometrów od Lwowa. Ma siostrę, starszą o dwa lata, która jest znanym warszawskim lekarzem. Wojna, w roku której się urodził, wygnała rodzinę Barańskich z domu w 1941 roku, gdy w tamtym rejonie rozgorzały bratobójcze walki między ukraińskimi i polskimi sąsiadami. Dziunek (zdrobnienie od Władziunek) niechętnie wspomina gehennę ciągłych przenosin, ucieczek i krycia się w lasach, z których składało się jego wojenne dzieciństwo. Ojciec, profesor filozofii, odszedł

do armii generała Andersa. Po wyzwoleniu oboje rodzeństwo wraz z matką znaleźli się w Opolu, w tłumie uchodźców ze wschodniej części II Rzeczypospolitej. Udało się przeżyć także dzięki temu, że pani Anna Barańska była tłumaczką języka rosyjskiego. Po sześciu miesiącach zdecydowała się wraz z innymi na osiedlenie w odzyskanym Wrocławiu - i tutaj w 1947 roku dotarła do niej wieść o śmierci męża. Czasy były trudne, szczególnie dla samotnych matek, więc pani Barańska zdecydowała się wyjść powtórnie za mąż. W rok później profesor Kazimierz Barański odnalazł rodzinę we Wrocławiu. Dziunek pamięta, jak ojciec zabrał go ze sobą do sklepu i kupił mu komplet ubrania, czyli garnitur z butami. Tak poznał swego ojca, którego nie miał szansy pamiętać, a potem obaj wyjechali do Łodzi. Był rok 1948, Łódź wyglądała zupełnie inaczej. Profesor Barański na stałe uczył w Instytucie Dokształcania Wykładowców Wyższych Szkół Rolniczych, dojeżdżał jednak także do Warszawy, Lublina i Gdańska, a nawet czasem do Szwajcarii. Ponieważ lubił zabierać syna, Władziu, miewał przerwy w nauce, które usprawiedliwiała dobra pozycja ojca, szczególnie przy promocji z klasy



do klasy. Jednak życie pełne wycieczek skończyło się dość szybko nagłą śmiercią profesora w 1950 roku i Dziunek wrócił do Wrocławia. Długo jeszcze odczuwał stratę ledwie odzyskanego ojca i braki w edukacji. Po szkole podstawowej zdał do technikum mechanizacji rolnictwa, a tam przez harcerstwo zetknął się ze sportem. Sam twierdzi do dziś, że stało się to już wcześniej, bo w czasie pierwszego pobytu w Łodzi brał udział w szkolnych rozgrywkach szachowych dla uczniów szkół podstawowych. Wspomina między innymi turniej w Brzezinach. We Wrocławiu zaraził się sportowym bakcylem na dobre. Oprócz spadochroniarstwa próbował także kolarstwa, boks i hokeja. Wspomina tak: „Jeździłem na rowerze w Pafawagu i nazywali mnie czternastożebrówką, bo byłem taki wysoki i chudy. Dlatego wszyscy się zdziwili, gdy udało mi się wygrać wyścig w Trzebiatowie z zawodnikami lepszej klasy i postury. Tam były straszne kocie łby, które trudno było wytrzymać, ale ja się zaparłem i wygrałem. Kiedyś przed treningiem zimowym w hali klubowej mieliśmy wspólną szatnię z bokserami. W pewnej chwili wróciłem po coś do swojej szafki i zobaczyłem, jak jeden bokser kradnie mi zegarek z kieszeni spodni. Walnąłem go zaraz w szczękę, a on padł jak po nokaucie. Byłem zdziwiony, bo on miał opinię jednego z lepszych bokserów na Dolnym Śląsku. Pech chciał, że widział to jego trener, Szczepan Faska, poszedł pogadać z moim trenerem Stańczykiem i na następnym treningu już musiałem boksować”. Dziunek próbował jeszcze siatkówki, koszykówki i nie ominął piłki nożnej, ale najdłużej zatrzymał go hokej na lodzie. W drużynie wrocławskiego „Piasta” grał w reprezentacji i zasłynął jako obrońca nie do przejścia. Lubił w tej grze to, że jest twarda, że wymaga kondycji, techniki jazdy i gry zespołowej. Stawał się w mieście znany i doceniany - znów jak za czasów ojca wszystko było możliwe. Do żadnej organizacji nie chciał należeć od chwili, gdy jego harcerstwo dotknęła ręka systemowych reformatorów. Wraz ze spadochronem zdjął mundur harcerski. Jednak nie zrezygnował z działalności społecznej, gdyż aktywności, energii nie ubywało. Tym bardziej, iż na fali gomułkowskiej „małej stabilizacji” także we Wrocławiu rozwijało się prężnie życie kulturalne, niosące z sobą zupełnie nowe szanse. Powsta-

wały teatryki, kluby i kabarety ściągające gromady młodych z różnych środowisk. Z pozycji wolnego strzelca łatwiej było wybierać. Wtedy hokeista Dziunek trafił do „Pawny Świdnickiej” i po pewnym czasie za namową Wiesława Gerasa i Ryszarda Kwaśniewicza znalazł się w składzie rady klubu. A działo się tam dużo i coraz więcej. Najbardziej lubił jazzowe five’y, spotkania kabaretowe i spektakle jednego aktora



(sławne niegdyś na cały kraj). Kogóż tam nie bywało: Kalina Jędrusik, Alina Janowska, Ryszard Filipiński, Tadeusz Łomnicki, Jan Tesarz i wiele innych przyszłych znakomitości sceny i filmu. „Będąc w radzie klubu trzeba było robić wszystko, co niezbędne - od honorów domu po wymiatanie. Raz Kalinie Jędrusik przyniosłem do garderoby kwiaty od widzów. Zostałem ją w srebrnym szlafroku, pod którym miała niewiele poza swym słynnym biustem. Poczułem się skrępowany, że zaskoczyłem ją bez ubrania, a ona na to: czy uważasz, że takiego biustu należy się wstydzić? Innym razem krytyk Hamilton, postrach teatrów, zaproszony został przez medyków na program artystyczny tuż po jednym ze spektakli. Atmosfera wieczoru w Piwnicy stała się tak gorąca, że Hamilton dał się dziewczynom rozebrać do naga. Pamiętam też, że tutaj dotarła do mnie wiadomość o śmierci Zbigniewa Cybulskiego. Sam zaś do filmu trafiłem jak do boksu. Pewnego dnia w czasie five'u ktoś pobił naszych portierów. Odszukałem więc delikwentów, a było ich dwóch, i obaj dostali po brodach. Jednym z nich był Cynio Magnowski, grający już wtedy jako kaskader. Zapamiętał mi to na tyle, że niebawem ściągnął mnie do filmu.” Był to słynny „Rejs” Marka Piwowskiego i tak się zaczęło. Nowa praca i nowe wyzwania, koledzy uczyli, jak wykorzystać umiejętności wzięte ze sportu. W klubie pojawili się już młodsi i lepsi, a filmów akcji kręcono coraz więcej i tzw. „dubler” stawał się na planie postacią coraz bardziej pożądaną. Wytwórnia filmowa we Wrocławiu nie była w stanie pomieścić większych produkcji, dlatego coraz częściej kaskader Władysław Barański ocierał się o Łódź. To tu było centrum i atmosfera. Gdy przyjęto go do „Potopu” i po zgrupowaniu w Bogusławicach trzeba było mieć stały kontakt z filmem, Dziunek podjął decyzję o zmianie miejsca stałego pobytu. Od 1971 roku zamieszkał w Łodzi, tym bardziej, że odczuł to jako powrót, choć miasto po przeszło dwudziestu latach zmieniło się bardzo. Lubił atmosferę i ludzi Wytwórni Filmów Fabularnych: „Przymowano tu wszystkich bardzo mile, nie tak, jak teraz w Warszawie”. I chociaż praca polegała głównie na wyjazdach, wracał zawsze z przyjemnością. Spośród przyjaciół wspomina chętnie Wirgiliusza Grynia, z którym przyjaźń zaczęła się także w pociągu, w drodze na rosyjskie plenery „Potopu”.

Aktor był namiętym graczem w karty, więc przez wiele lat stanowili z Dziunkiem duet do brydża i nocnych rozmów rodaków. Wszyscy, którzy znają Dziunka, wiedzą, jak bardzo lubi konie. Gdyby go spytać, od kiedy, odparłby pewnie, że od zawsze. W wielu filmach można go na tych koniach zobaczyć w walkach, dublach lub epizodach. Wspomina czasem, że sam bywał też koniem, wożąc na grzbiecie aktorów jak Bruno Oya czy Krzysztof Kolberger albo wręcz pod koniem, co kaskaderom zdarza się często. Dziunek jednak zasłynął w Bogusławicach popisem podnoszenia konia z czterech nóg od podbrzusza. Dokonał tego w 1971 r., na własnym grzbiecie, przed obiektywem operatora Polskiej Kroniki Filmowej, bawiąc widownię polskich kin. W trakcie kręcenia serialu „Janosik” powtórzył ten numer na oczach ekipy. „A i tak nie przekonałem Pyrkosza do koni. Nigdy nie wsiadł na siodło i do Passendorfera mówił tak - nie, Jureczku, ja podniosę nogę do strzemięcia, ty tnij, a resztę niech robi kaskader.” Do dziś na pokazach Dziunek lubi wzbudzać





publiczną wesołość sceną reanimacji starego konia Dzwonka przez masaż ze sztucznym oddychaniem. A przecież początki nie były łatwe. Pierwsze stawki kaskaderskie nie przekraczały 350 złotych. Dopiero po latach wprowadzono trójstopniową skalę trudności i zróżnicowano stawki - kolejno: za pierwszy 750 zł, za drugi - 1200, a za trzeci - 1600 zł. Środowisko kaskaderów przez wiele lat jeszcze zmuszone było walczyć o własne prawa, bo wymagania filmu rosły odwrotnie proporcjonalnie do stawek i uprawnień zawodowych, zaś ryzyko... cóż, kaskader ujarzmia je sam dla siebie, ponieważ na ekranie musi być wyraźne. Dawny warsztat kaskaderski opierał się na sprycie i własnoręcznych ulepszeniach, a specjalności - na tych wyniesionych z uprawianych dziedzin sportu. Reszty uczyli starsi koledzy i konsultanci-specjaliści. Dziunek sam przyznaje, że zawodu uczył się na bólu i nieraz wyl w domu do ściany: „Czasem sam się dziwię, z czym i na co za młodu się porywałem. Byłem odważny, ale nigdy do głupoty, bo i na prostej drodze można złamać nogę. Każdemu zależy na dobrym ujęciu, choć mówi do mnie - zrób to bezpiecznie. Ja to ryzyko podjąć muszę i muszę wiedzieć, jak. Pamiętam, kiedyś skacząc z dachu zламаłem szczękę, bo źle wyliczyłem upadek i zawadziłem o brzeg wystającej skrzynki. Innym razem, paląc się w napalmie użyłem złego środka do zabezpieczenia skóry. Ale to była moja wina, zaś wnioski wyciągnąłem szybko i na długo. Człowiek jak się raz sparzy, to potem dmucha na zimne, a przecież o mnie do dziś mówią, że lubię palenie i robię to efektownie. Może za często dbałem o efekt zdjęciowy bardziej niż o pieniądze. Dziś przecież pieniądze decydują o wszystkim i głupia butelka płynu zabezpieczającego przed paleniem kosztuje 180 dolarów”. Był kiedyś taki pokaz w plenerze, gdzie Barański przejeżdżał przez płonący tunel na masce samochodu, który się rozbijał o przeszkodę, a płonący Dziunek biegł dalej do basenu z wodą. Mała dziewczynka, będąca wśród widzów, podeszła potem do niego z pytaniem: dlaczego pan to robi, przecież to boli? Koledzy stojący obok Dziunka widzieli, że miał w oczach łzy. Z czasem i doświadczeniami poszerzał się warsztat pracy kaskaderów i środki zabezpieczenia. Wprawdzie podniesiono stawki, lecz ograniczono stopień trudności do

dwóch, aż wreszcie wprowadzono zasadę pełnej umowności. Powrócił jednak problem zawodowych uprawnień i weryfikacyjne komisje. Trwało zamieszanie w środowisku, a film polski brał kaskaderów, dopóki były pieniądze na produkcję. W Łodzi do końca lat osiemdziesiątych było ich najwięcej, więc nie brakowało też kaskaderów. Podzielili się jednak na dwie konkurencyjne grupy, z których jedna przeszła do Warszawy widząc kłopoty łódzkiej „fabuły”. Dziunek wraz z grupą osiadłych optymistów został tu. Sześć lat temu odgórnie ustanowione kryteria



ustaliły, że kaskader oprócz sportowej klasy, szkoły cyrkowej lub akademii wychowania fizycznego popartej dwuletnią praktyką w filmie musi mieć egzamin licencjacki przed komisją. Okazało się, że wielu z kaskaderów po trzydziestu latach pracy nie może go zdać (choćby z powodu braku średniego wykształcenia). Barański jako jeden z najstarszych w Łodzi zdał egzamin, lecz licencji nie odebrał do dziś, zaś rozgrywkę wygrała grupa ze stolicy. Trzy lata temu wysiłkiem Dziunka powstało Studium Kaskaderskie i Efektów Specjalnych pod opieką wykładowców PWSFTViT w Łodzi, kończące się wewnętrznym egzaminem zgodnym z ogólnymi przepisami. Niestety, adepci nie mogą otrzymać licencji, gdyż od zeszłego roku nie może się zebrać państwowa komisja weryfikacyjna, bo wyznacza ją Komitet Kinematografii. Studium od bieżącego roku otrzymało nawet uprawnienia szkoły publicznej, lecz z powodu całego zamieszania straciło ciągłość programową i finansową. Dziunek ciągle nie traci nadziei. Póki co, adepci robią sezonowe pokazy, czasem zdarza się jakaś produkcja filmowa albo pojedynczy kontrakt w zagranicznej rewii. Na ogół jednak każdy musi radzić sobie sam, bo w Warszawie patrzą na nich krzywo, a w Łodzi nic się nie zmienia. Barański lubi pracować z młodzieżą, a ci, co bywają z nim bliżej twierdzą, że z wzajemnością. Sam często mówi tak: „Ja po sześciu latach pracy w filmie zacząłem naprawdę rozumieć, o co w zawodzie kaskadera chodzi. Grałem w kraju i za granicą, dlatego nie uwierzę w amerykańskie trzymiesięczne szkoły po pięć tysięcy dolarów czesnego. Znam też wszystkich w Polsce, którzy w tej branży coś znaczą, uczyli mnie Marian Gańca, Cynio Magnowski i Krzysztof Fus - najstarsi w tym fachu. Dziwię się więc niezdrawym zabiegom kolegów w stolicy, choć wiem, co znaczy tzw. krótka koldra. Od czasu zniszczenia łódzkiej fabuły zmieniło się naprawdę wszystko. Ja wciąż kocham film i mimo swojej sześćdziesiątki też mogłem wyjechać. Tu jednak zostanę, bo wciąż mam nadzieję, że wytwórnia znowu ożyje. Wrocław bardzo lubię, ale to Łódź jest moim miastem i tak już pewnie zostanie. A praca, pracować mogę wszędzie tam, gdzie się przyda moje doświadczenie.”

O Dziunku można by długo, tak jak i w ogóle o kaskaderach. Lepiej jednak pozostać przy tym, co na ekranie, w końcu o to naprawdę chodzi. Lecz żeby nie być gołosłownym, należy jeszcze dodać, że Władysław Barański brał udział w ponad czterystu filmach fabularnych, w tym sześćdziesięciu zagranicznych. Współpracował więc z większością polskich reżyserów, a wśród zagranicznych z takimi, jak S. Spielberg, R. Howard, J. Irving, A. Ramati, R. Polański, S. Bondarczuk i B. Markowicz. Prawdziwa lista twórców godnych wymienienia powstanie być może, gdy Dziunek wycofa się z zawodu. Na razie jednak na to się nie zanosi. I dobrze.

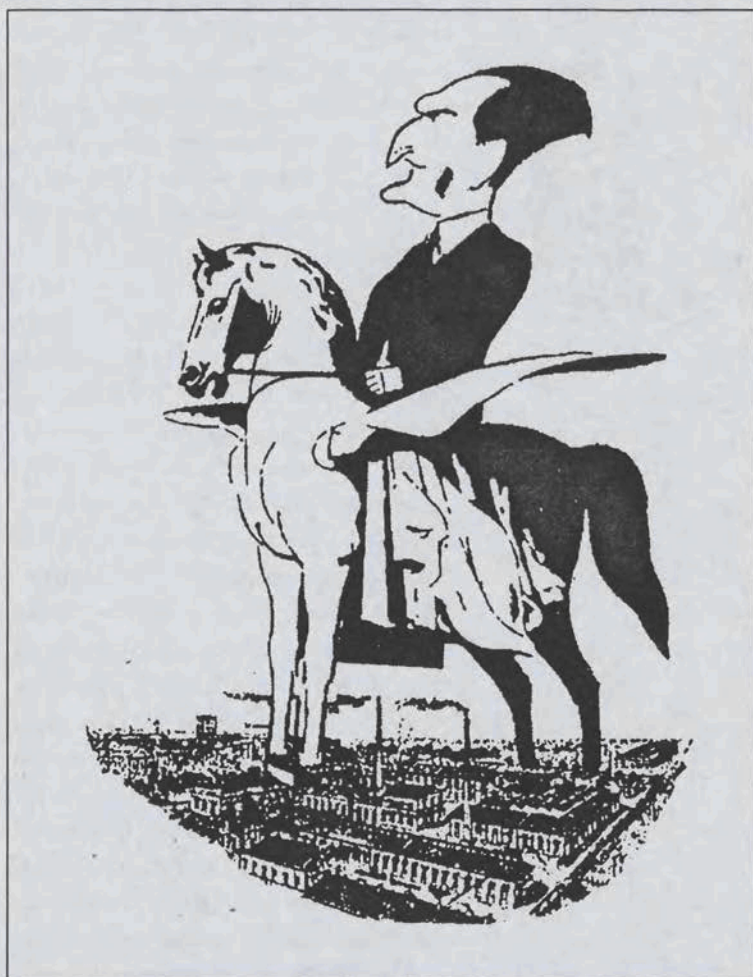
EDWARD MÜLLER

## DUCHY PIOTRKOWSKIEJ



Nie łatwo mi pisać o książce przyjaciela i współpracownika, z którym dzielę trud wydawania „Kroniki”. Można mnie posądzić o stronniczość i przesadę w doborze komplementów i pochwał. Trudno jednak przejść obojętnie obok książki dotyczącej łódzkich spraw i sylwetek. Jerzy Wilmański wydał zaś książkę znaczącą, której treść i atmosfera pozwoliła mi na nowo zanurzyć się w czasie zaprzestłym ale przecież bardzo bliskim i znanym. „Duchy Piotrkowskiej” wydała tak zasłużona oficyna jak Wydawnictwo Łódzkie inaugurując nią wznowienie swej działalności. Trudno nie przyklasnąć inicjatywie zarówno o powrocie do działalności jak i rozpoczęcia jej od książki tak głęboko osadzonej w łódzkich realiach. Z góry też rozgrzeszam kolorowy druk i ilustracje, które przeszkadzają w lekturze. Jak to mawiają ludziska - pierwsze koty za płoty. Na „Duchy Piotrkowskiej” składają się eseje poświęcone łódzkim postaciom, które wywarły na nas, następcach, szczególne wrażenie. Ścisłej osoby ważne dla autora, który dokonał wiele aby przybliżyć czytelnikom postacie i sytuacje tak zapomniane, jak początki teatralnej działalności Zelwerowicza, dziennikarza Zenona Pietkiewicza, nie znane

szerzej kulisy przyznania Władysławowi Reymontowi Nagrody Nobla, początki kariery poetyckiej Juliana Tuwima, postać nestora naszego dziennikarskiego środowiska Mieczysława Jagoszewskiego, „portret wielokrotny” Stefanii Skwarczyńskiej, a także sylwetki naszego wspólnego kompana Andrzeja Gruna i nieocenionego Jana Sztaudyngera.



karykatuta Juliana Tuwima

Dodatkowo w tomie zawarty jest rozdział poświęcony najwybitniejszym autorom piszącym o naszym mieście, zilustrowany ryciną Stanisława Ibisza-Gratkowskiego przedstawiającą autora jako dorożkarza wiozącego do rodzinnego miasta Zelwerowicza, Reymonta i Tuwima. Istotnie Jerzy wiele zrobił aby ocalić w naszej świadomości łódzkie ślady tych osób. Osobiście czytając jego książkę bez przerwy łąpałem się na tym, że jestem gdzieś obok jego myśli i wspomnień. Jerzy pisze na przykład o Andrzeju Grunie - „Wydaje mi się, że Andrzeja Gruna poznałem gdzieś w latach sześćdziesiątych i że miało to miejsce w toruńskim hotelu „Pod trzema koronami” Oczywiście, to prawda, zapoznaliśmy się z Andrzejem Grunem jako „delegaci floty” na Kongres Młodych Twórców odbywający się w Bydgoszczy, a w Toruniu spędziliśmy upojny wieczór w tej restauracji. Był wtedy z nami także Andrzej Szonert znany łódzki plastik, niestety także przedwcześnie zmarły. Byliśmy wtedy tak piękni i młodzi. Podobnie też zapamiętałem „Egzotyczną” chociaż do „Fraszki”, a tym bardziej „Mokki”, jeszcze nie chadzałem. Jerzy jest o te dwa lata starszy ode mnie, i o te dwa lata mądrzejszy. Mimo to przedłożę mu pewne swoje wspomnienie nawiązujące do jego mozolnych poszukiwań śladów po zapomnianym rzeźbiarzu Antonim Szczygielskim. Jako pachole spędzałem często letni czas na basenie „Zjednoczonych”. Obecnie teren klubu „Włókniarz” przy ulicy Tymienieckiego. Wejście na ten basen urządzone było od strony ulicy Kilińskiego. Przechodziłem wąską alejką obok której stał pomnik z brązu przedstawiający sylwetkę robotnika. Może to właśnie ten zagubiony pomnik Szczygielskiego z 1912 roku? Dziś już go nie ma. Co się z nim stało, nie wiem. W każdym razie Jurek Wilmański sprawił mi swą książką wielką frajdę i coś mi się wydaje, że będę musiał głębiej uchylać przed nim kapelusza. Wracając jednak do „Duchów Piotrkowskiej”. Istotą tego tomu jest taka oto myśl zawarta we wstępie Dagerotyp Łódzki. „Duchy ulicy Piotrkowskiej...Wiodą ze sobą wieczne rozmowy, toczą dawne spory, czasem mówią także do nas - żyjących. Jeśli potrafimy słuchać - nadstawmy uszu. To są dobre i mądre duchy tego miasta. Mało ich w naszym zwiariowanym świecie”. Może rzeczywiście Jerzy ma rację, że tych dobrych duchów mało jest na

tym świecie. Tym bardziej cieszyć się wypada, że są autorzy gotowi oddać ty duchom głos. Niech do nas przemówią bowiem zapomnieli za życia powiedzieć nam coś bardzo ważnego. Może ten fragment z Twojego Jurku wiersza „Zostało jeszcze tyle abym zapamiętał, moje tu, moje tędy.” W każdym razie serdecznie Ci Jurku dziękuję, za sprowokowaną przez Twą książkę chwilę zadumy nad przeszłością.



ZOFIA  
WARZYŃSKA-BARTCZAK

## ZABOBONY ZNAD ŁÓDKI

Różnego typu zabobony towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów. Magia, czary, tajemne rytuały pozwalały „oswoić” te zjawiska, których nie sposób było objąć rozumem i wytłumaczyć w racjonalny sposób. Do pewnego stopnia pełniły więc rolę terapeutyczną, pomagając poskromić lęk przed nieznanym. Z drugiej jednak strony, powszechnym zjawiskiem wśród wielu ludów wszystkich kontynentów była żywa, a niekiedy trwająca po dziś dzień, wiara w możliwość wyrządzenia zła przy pomocy czarów. Toteż osoby rzekomo szkodzące innym za sprawą sił nieczystych spotykała surowa kara. Pierwsi chrześcijanie, którym stawiano zarzut uprawiania czarów, padali ofiarą krwawych prześladowań. Gdy z kolei nowa religia stała się panującą, dawne przepisy prawne posłużyły do poskramiania ich przeciwników. Męczarnie i śmierć czekały zwolenników kultów pogańskich i domniemanych czarowników. Ludy germańskie, które przejęły chrystianizm, połączyły w swych wierzeniach rodzime wątki z zabobonami rzymskimi, dorzucając dla równowagi garść tajemnych praktyk pochodzenia wschodniego



i stworzyły pojęcie współniczki szatana - czarownicy. Oslawione procesy czarownic rozpoczęły się na terenie frankońskiego państwa Merowingów już w okresie średniowiecza (VI-VIII w.n.e.), a na dobre rozpowszechniły na obszarze Niemiec w XV-XVII wieku, obejmując także inne kraje Europy Zachodniej.

Gdy w XV wieku płonęły już stosy z nieszczęsnymi ofiarami zabobonów w całej niemal Europie, w Polsce jeszcze było o tym głucho. Dopiero na przełomie XVI i XVII wieku nowy rodzaj postępowania karnego - proces o czary - przywędrował na nadwiślańskie ziemie. Przy czym domniemane konszachty z diablem nie podlegały już jurysdykcji kościelnej, lecz świeckiej, a procesy o czary, ustalone ściśle wedle wzorów

niemieckich, odbywały się przed sądami miejskimi. Ponura atmosfera polowań na czarownice gęstniała szczególnie na tych terenach Polski, gdzie były większe skupiska ludności niemieckiej lub znaczące wpływy kultury germańskiej, a więc na Śląsku, Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej.

W pierwszej połowie XVII wieku dymy stosów osnuły już całą Wielkopolskę i Prusy Królewskie, zaś kilkadziesiąt lat później objęły też Mazowsze i, w mniejszym stopniu, Małopolskę. Region łódzki plasował się mniej więcej pośrodku czarnej statystyki. Odbywało się u nas mniej procesów niż w Wielkopolsce, za to Małopolskę zostawialiśmy daleko w tyle. Żniwo ponurego zabobonu było niemałe. Na terenie obecnego państwa polskiego zginęło około 20-40 tysięcy kobiet, posadzonych o spółkę z szatanem. Oddały swe życie na stosach lub w wyniku samosądów, po odbyciu wielorakich, przemysłnych prób, np. wody, ognia, łez, ważenia, nakłuwania i innych, jakie tylko przyszedł do głowy pobożnym ziomkom. Powody pomówień o knowania z diabłem bywały rozmaite. Czasem wiązały się z niewyjaśnionymi zjawiskami atmosferycznymi (np. częste gradobicia, burze z piorunami lub susza), które jak nic musiała z zemsty „zamówić” jakaś opętana baba, czasem były odbiciem sporów sąsiedzkich i chęcią słodkiego odwetu, innym razem stanowiły rezultat waśni rodzinnych (częstokroć stanowiły próbę pozbycia się niewygodnej i nie całkiem już młodej żony), bywało zaś i tak, że smutny finał czekał niewiastę pragnącą zupełnie niewinnymi sztuczkami miłosnymi zwrócić na siebie uwagę kochasia-niecznoty. Czary miłosne stanowią dość barwny rozdział demonologii. Za ich sprawą można było zarówno wzbudzić żar uczuć, jak i sprowadzić na kochanków grad nieszczęść. Zaczniemy może od tych przyjemniejszych praktyk. Oto opis tajemnych rytuałów stosowanych przez czarownice, podany przez brata Rudolfa z klasztoru w Rudach Raciborskich: „Żeby [mężowie] je kochali, robią im na ramionach krzyż z wydzielin wspólnego stosunku płciowego. Swoją krew menstrualną dają im do pokarmu albo napoju. Przygotowują dla nich ciastka, do których mieszają włosy z całego ciała swojego i nieco krwi swojej (...). Zabijają kurę (...).

Następnie jej serce zamieniają na proch i dają mężom do pokarmów. Podobnie postępują z krwią albo mięsem z gołębia. I wiele innych praktyk uprawiają, od których mężowie popadają w chorobę, a często umierają". W podanym wyżej opisie nie ma nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że pochodzi prawdopodobnie z XVIII wieku. Jednak zdumiewające są podobnej treści doniesienia z naszego szacownego grodu, odnotowane przez Bohdana Baranowskiego w roku 1946. Autor badań przeczesywał wówczas środowisko znachorek i wróżek, często pochodzenia romskiego. Repertuar środków magicznych oferowany przez te wytrawne specjalistki od zaklęć miłosnych, służących zwabieniu w piernaty ukochanego, jako żywo przypominał średniowieczne zaklęcia i czary. Należało bowiem sporządzić wybrankowi smakowite jedzonko podprawione krwią własną (najlepiej, rzecz jasna, „księżycową”), a dla pewności, zaserwować na drugie danie serce z białego gołębia. Efekt podobno gwarantowany! Tego typu praktyki są, trzeba przyznać, dość krzepiące, gdyż sprzyjać mają połączeniu się dwojga ludzi. Gorzej, gdy działania opętanej złymi mocami niewiasty zmierzały do pokrzyżowania miłosnych planów kochanków. Do najokrutniejszej zemsty należałoby zaliczyć sprowadzenie na oblubienicę bezpłodności lub, co chyba jeszcze gorsze, uczynienie mężczyzny impotentem. By młodzian nie sprawdził się w alkowie, należało po prostu zawiązać supeł na sznurze lub tasiemce z jego odzieży. I nieszczęście gotowe! Wspomniany już wcześniej badacz, B. Baranowski, nadmienia, że w czasach całkiem nieodległych, bo 40 lat temu, pewien chłopak z podlódzkiej wsi skarżył się lekarzowi, że przyczyną jego impotencji są czary złej sąsiadki. Nieszczęsny młodzian nie pozostał jednak bierny i ze swej przypadłości leczył się sumiennie, oddając mocz na miotłę brzożową. Niestety bez spodziewanego rezultatu. Z dziennikarskiego obowiązku dodam jeszcze, że także onanizm był karą sprowadzaną na wiarołomnego amanta za niedotrzymanie dawanych wcześniej obietnic. Oczywiście i za tymi praktykami kryje się podstępna działalność czarownic.

Z przytoczonych wyżej przykładów wysnuć by można wniosek, że wszystkie nieczne czyny były dziełem rąk niewieścich. Nie jest to jednak

zgodne z prawdą, bowiem wiele psikusów i naprawdę podłych knołów było skutkiem szatańskich sztuczek. Co ciekawe, do dziś pokutuje błędny pogląd, że całe rzesze diabłów i diablików, zaludniających polskie ziemie, wywodzi się z prastarych, słowiańskich wierzeń ludowych. Tymczasem, wiara w piekło i diabły pojawiła się dopiero w okresie przyjęcia chrześcijaństwa. Sam wizerunek kusiciela nie był jednolity we wszystkich krajach Europy. Składały się nań różne elementy lokalnych tradycji, oficjalnych poglądów Kościoła, a także fantazja pisarzy i malarzy - autorów najpopularniejszych portretów wysłannika piekieł. Co interesujące, poszczególne narody chętnie widziały diabła w postaci nie lubianego sąsiada. I tak: ludowy diabeł angielski był chudym Francuzem, zaś diabeł francuski przybierał postać angielskiego gentlemiana, z kolei Lapończyk



widział złego, ubranego w szwedzki mundur. Ukraiński chłop wyobrażał sobie czarta wystrojonego w kontusz lub żupan polskiego szlachcica, a w późniejszym wydaniu - w surdut polskiego ziemianina z XIX wieku. Natomiast diabeł ludu polskiego często przybierał postać Niemca. Elementami wspólnymi wszystkich tych wyobrażeń były rogi, ogon i końskie kopyta. Także niektóre polskie nazwy szatana były przeróbką terminologii niemieckiej (np. Koffel zamiast Saufteuffel), ale w większości miały rodzime pochodzenie: Rozwod, Latawiec, Smółka, Kozyra, Gajda, Ruszaj, Bież, Rozbój, Bierka, Dymek, Pożar, Wicher, Węsad, Szczebiot, Odmieniec, Wilkołak, Dyngus, Kiczka, Muchawiec, Czerniec, Bajor, Czeczot, Smolisz czy Berut. To ostatnie imię sugeruje, że chodzi tu o osławionego władcę błot łączyckich - Borutę. Protokoły procesów czarownic z XVII i XVIII wieku rzucają wiele światła na ówczesne wyobrażenia postaci diabła. Torturowane kobiety opowiadały o mieszkańcach piekieł wszystko, co usłyszały w swoim otoczeniu. Odmalowany przez nie wizerunek szatana różnił się dość znacznie od tego, który przedstawiała literatura piękna czy teologiczna. Z pewnością można wyodrębnić kilka typów mieszkańców podziemi - są to diabły szlacheckie, niemieckie, chłopskie i całe zastępy posledniejszego gatunku diabełków i diablików. Najczęściej występowały w niemieckim przyodziewku. W końcu XIX wieku, w kaliskim i sieradzkim wyobrażano sobie czarta jako mężczyznę w czerwonym fraku i kapeluszu na głowie. Niekiedy frak bywał zastępowany surdudem, a zwykły kapelusz - cylindrem. Boruta, natomiast, nosił dawny strój szlachecki. Był on najbardziej osławionym biesem Ziemi Łęczyckiej. Jego rodowód jest dość niejasny. Prawdopodobnie wywodzi się z dawnych, przedchrześcijańskich demonów leśnych, zaś nazwę swą wziął od boru, choć chętnie włóczył się też po błotach i bagnach, okalających gród. Innym diabłem, którego wspomnienie zachowało się w pamięci ludu, jest Rokita. Upodobał on sobie szczególnie okolice Łodzi. Spotkać go można było na bagnach i łąkach. Jak głoszą echa wspomnień, przekazywanych przez mieszkańców dawnego powiatu wieluńskiego i łaskiego, diabeł ten, podobnie jak Boruta, był wysoko postawiony w hierarchii piekielnej.

Na naszym terenie grasował jeszcze jeden wysłannik piekieł. Był nim niejaki Rogaliński. Nie mógł się już pochwalić tak świetnym rodowodem, jak jego dwaj kompani - Boruta i Rokita. Ciekawą sprawą jest natomiast jego nazwisko, które po prostu oznacza diabła, a którego ludność używała zamiennie, by nie kusić licha przy wymawianiu słowa „diabeł”. Pojawiał się on często w zeznaniach torturowanych czarownic. Wszystkie te biesy budziły powszechny przestach, toteż bogobojni obywatele wyposażeni byli w cały arsenał środków odpędzających złe moce. Do najpowszechniej używanych należały: święcona woda, pobożne napisy, czynienie znaku krzyża, ale także sól, czy też specjalne laski odpychające piekielne istoty, używane w regionie łęczyckim, kaliskim i wieluńskim jeszcze w drugiej połowie XX wieku. W mniemaniu łodzian, diabeł najbardziej bał się piorunów, które były go w stanie unicestwić. W robotniczym środowisku XIX-wiecznej Łodzi krążyło kilka co najmniej opowiadań o mękach piekielnych, które spotykają każdego, kto nie prowadzi pobożnego życia. Swego czasu głośno było o nieuczciwym kupcu - Niemcu, który nie dowoził produktów sprzedawanych swoim klientom. Po śmierci dusza przebiegłego handlarza nie mogła znaleźć ukojenia. Duch zmarłego nawiedził więc syna, błagając go o zadośćuczynienie oszukanym ludziom. Początkowo syn nie chciał dać wiary nocnym zmorom, gdy jednak upiorne wizyty powtarzały się coraz częściej, postanowił spełnić prośbę pokutującego ojca. Jak wieść gminna niesie, długo jeszcze rozwoził specjalnie wynajętym wozem niedoważone worki z mąką, kaszą, cukrem i innymi produktami. Specjalny arsenał diabelskich sztuczek czekał również niewierne małżonki. Gdy grzesznice przebrały już wszelką miarę, a mężowskie rogi nie mieściły się w drzwiach, w życiu wiarolomnej niewiasty pojawiał się znieścacka dziwny przybysz. Był to sam bies, który występował wtedy w roli urodziwego młodzieńca (mógł przybierać dowolną postać, np. oficera, żołnierza, studenta, parobka, czy choćby wędrownego przekupnia). W kulminacyjnym punkcie załotów, gdy już-już miało dojść do zdrady, diabeł ujawniał się i wymierzał należną karę. Mógł zesłać na niewierną żonę wszelkie plagi, wypalić jej diabelskie piętno lub też wygolić intymne okolice czartowską brzytwą,

co ponoć było zabiegiem specjalnie bolesnym, wreszcie - w szczególnie drastycznych przypadkach - porwać niewiastę do piekła. Najostrzej czart obchodził się z kobietami, które dokonały zabiegu przerwania ciąży lub dopuściły się dzieciobójstwa. Świadczyć o tym może pieśń ludowa, zanotowana przez Kolberga w drugiej połowie XIX wieku w Kazimierzu nad Nerem, w okolicach Łodzi:

„A w niedzielę od rana  
szła dziewczyna do siana.  
I znalazła złotą nić,  
zacęna z niej wionki wić.  
Przysed do niej młodzieniec  
i prosił ji o wieniec.  
Ach, boś to ty młodzieniec,  
tylko z piekła nasłaniec.  
Po cem'ęś mnie poznała,  
żeś mnie z piekła nazwała?  
A i tyś nie dziewecka,  
pięcior dzieciom matecka.  
Pirse leży pod łóżkiem,  
przytrząśnięte barłózkciem.  
Drugie leży pod gruską,  
przyciśnięte poduską.  
Trzecie leży pod ławką,  
odziałaś je murawką.  
Czwarteś świniom skarmiła,  
Piąte w ogień wrzuciła.  
I przyniosł ją do piekła  
i zapukał do okna.  
Jedno stoi zdala drzwi  
i opływa w carnej krwi.  
Drugie stoi pod drzwiami  
i zalewa się łzami.  
Trzecie smutne pod progiem,  
Ocy zwraca ku smole.  
Czwarte jęcy, cóż dziecku?  
Ocy zwraca ku dziegiu.  
Posadził ją na stole  
dał ij dziegiu i smoły” .



Osobny rozdział stanowią demony młodokapitalistycznej, XIX-wiecznej Łodzi. Wtedy to właśnie rozkwitały fortuny zdolnych przedsiębiorców, a rody fabrykanckie rosły w potęgę. Równocześnie do miasta napływała w poszukiwaniu zarobku fala przybyszów z okolicznych wsi i miasteczek, niosąc ze sobą wielopokoleniową pamięć tradycji, wierzeń i zabobonów ludowych. Zderzenie kultur i zupełnie różnych światów stanowiło mieszaninę wybuchową, która dała owoce w postaci specyficznych miejsko-wiejskich przesądów. Doskonałą pożywkę do tworzenia opowieści niesamowitych, dawały niebotyczne fortuny łódzkich przemysłowców. Najbardziej rozpowszechnioną była pogłoska o spółce z diabłem znanego fabrykanta, Karola Scheiblera. Należał on do najwybitniejszych pionierów przemysłu włókienniczego na gruncie łódzkim, któremu udało się stworzyć prawdziwe imperium przemysłowe. Ten przybyły z Nadrenii „bawełniany potentat” swój sukces zawdzięczał własnej, ciężkiej, niezmordowanej pracy, sprytowi i zdolnościom przewidywania. I mimo iż budując swe imperium nie zapomniał też o swoich pracownikach (założył szpital fabryczny, przytułek, szkoły, zorganizował kasę emerytalną), jego majątek i pozycja budziły powszechną zazdrość wśród robotników. Tym zapewne należy tłumaczyć krążące wśród ludzi „opowieści z dreszczykiem” o źródłach powodzenia Scheiblera. Jedna z anegdot opowiadała o Niemcu, który przybył do Polski wioząc cały swój lichy dobytek na wózku zaprzężonym w dwa psy. Ponieważ wszelkie wysiłki przybysza, zmierzające do polepszenia swej sytuacji nie przynosiły spodziewanych efektów, a Scheibler (bo tak się nazywał ów tajemniczy nieznajomy) znajdował się w skrajnej nędzy, pewnego dnia poszedł do lasu, by tam się powiesić. Po drodze jednak spotkał diabła, który zaproponował mu sprzedaż swej duszy, na co desperat ochoczo przystał. Wtedy zły los się odwrócił. Według innej wersji, na Księżym Młynie stała lepianka, gdzie Scheibler na poddaszu odnajmował maleńką izdebkę i tam, na jego wezwanie, drogą przez komin, zjawił się czart. Jeszcze inna wersja głosi, że zaprzęgnięcie diabłu duszy nastąpiło jeszcze w Niemczech. Jednak bies, żywiąc sympatię do bliskich mu strojem i zwyczajami mieszkańców nadreńskich okolic,

postanowił wysłać świeżo pozyskaną duszyczkę do Łodzi, by tam dała się we znaki biednym robotnikom. Oczywiście, w wyniku paktu, Scheibler znacznie się wzbogacił, a oprócz „żywej” gotówki zagwarantował sobie, że ilekroć w jego fabryce obróci się wielkie koło zamachowe, tylekroć do jego kiesy spadnie 1 rubel. Kolejny wariant przekazywanych z ust do ust rewelacji mówi o tajnych schadzkach Scheiblera z diabłem na wieży fabrycznej, na którą nie wolno było nikomu wchodzić. Jednak pewnego razu zakradł się tam pewien spryciarz-robotnik, który podsłuchał tajemną rozmowę, a na dodatek był świadkiem „cuchnącej” transakcji. Polegać ona miała na tym, że w zamian za wręczoną przez biesa sumę 100 tysięcy rubli, Scheibler zobowiązywał się do okrutnego dręczenia robotników, by łatwiej mogli oni paść ofiarą władcy piekieł. Otrzymane pieniądze Scheibler skrzętnie popychał po kieszeniach, ale że był kulawy, potknął się na schodach, a cenna zawartość rozsypała się. Jednak bystry robociarz pozbiierał lśniące dziesięciurublowki, które jeszcze były gorące od piekielnego żaru. Jednak polane wodą święconą, szybko ostygły. Skrzywdzeni przez przemysłowca pracownicy rozposzechniali również opowieść o tym, że chcąc się przypodobać panu piekieł, Scheibler okazywał szczególną bezwzględność wobec wdów i sierot. Sam podobno uczestniczył w eksmitowaniu rodzin zmarłych



robotników lub kalek, którzy stracili zdrowie w jego fabryce. W tych ponurych czynnościach towarzyszył mu zawsze chudy Niemiec o złej twarzy, nigdy nie zdejmujący kapelusza, ani rękawiczek, by nie pokazywać swych rogów i pazurów. Słyszając płacz i lamenty wyrzucanych na bruk nieszczęśników, obaj zaśmiewali się złowrogim, diabelskim chichotem. Niektórzy robotnicy uważali samego Scheiblera za



diabła. Wszak był on kulawy, co w oczywisty sposób tłumaczono tym, że zamiast jednej stopy ma kopyto. Podobno fabrykant słysząc te plotki wściekał się ze złości, zaś pewnego razu, gdy przechodził przez halę fabryczną i zauważył, że robotnicy ciekawie przyglądają się jego kalectwu, postanowił ostatecznie rozwiać ich podejrzania. Usiadłszy na skrzyni, nakazał jednemu z pracowników, by ten rozsznurował mu buty, a wszystkim gapiom zaprezentował może nie najpiękniejsze wprawdzie, ale z pewnością ludzkie nogi. Jeszcze inne pogłoski mówią o tym, że Scheibler po swojej śmierci często odwiedzał fabrykę, przechadzając się po niej pod postacią diabła. Miał też jakoby namawiać jednego z dozorców, by i ten zaprzedał swą duszę w zamian za obietnicę zbudowania jeszcze większego imperium. Jednak po uczynieniu przez pobożnego czelczygnę znaku krzyża, złowróźbna mara znikła. Podobne legendy krążyły również wokół innych znanych postaci świata łódzkiej finansjery. Stosunkowo wiele podań dotyczyło Grohmana (nie wiadomo tylko, o którego z członków rodu chodziło). Zapewne istotne tu było nie tyle konkretne nazwisko, a jedynie pewien archetyp potentata, czego dowodem może być opowieść o anonimowym fabrykancie, który nie chcąc zadośćuczynić robotnikowi okaleczonemu w jego fabryce, sam stracił życie za sprawą mocy piekielnych. Tym samym zbiorowemu poczuciu sprawiedliwości społecznej stało się zadość.

#### Bibliografia:

- Baranowski B., O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach. Szkice z obyczajów XVII i XVIII wieku, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1962;
- Baranowski B., Polskie procesy czarownic jako zjawisko społeczno-kulturowe, Odbitka ze sprawozdań z czynności i posiedzeń r. 1949 Ł.T.N. Nr 2 (8);
- Baranowski B., Pożegnanie z diabłem i czarownicą, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1965;
- Baranowski B., Życie codzienne małego miasteczka w XVII i XVIII wieku, PIW, Warszawa 1975;
- Bartczak M., Scheiblerowie. Historia rodu, Literatura, Łódź 1999;
- Skrzydło L., Rody fabrykanckie, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999.

**GENERAL  
IWAN SIEROW  
O SYTUACJI  
W ŁODZI**

1. „Sprawozdanie doradcy NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego Polski I.A. Sierowa do komisarza spraw wewnętrznych ZSRR Ławrentija Pawłowicza Berii o sytuacji w Łodzi”

Przed 21 stycznia 1945r.

Donoszę o sytuacji w mieście Łódź. W związku z szybkim przesunięciem się oddziałów 1 Frontu Białoruskiego, Niemcy nie zdążyli dokonać poważnych zniszczeń w mieście. Wyszadzono w powietrze kilka domów, w których mieli swe siedziby gestapowcy, ale w większości miasto się zachowało. Mieszkańcy żyją normalnym życiem. Pracuje elektrownia o mocy 100 kilowatów. Energia elektryczna jest dostarczana całemu miastu i zakładom przemysłowym. W tej elektrowni Niemcy przygotowali dwie ogromne turbiny do pracy, ale nie zdążyli ich wywieźć. Pompa wodna także pracuje i dostarcza wodę ludności. W mieście zostało wszystkiego, według wstępnych danych, około 450 tysięcy ludności (przed wojną mieszkało 700 tysięcy ludności). Z ogólnej liczby

ludności 100 tysięcy ludzi to pracownicy zakładów przemysłu włókienniczego i metalurgicznego. Według składu narodowościowego, ludność miasta Łodzi kształtuje się następująco: 300 tys. Polaków (w tym i folksdojcze), 50 tys. Niemców, około 100 tys. różnych narodowości (Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie - wszyscy to obywatele radzieccy). Kontrola przeprowadzona na miejscu przez tutejszych urzędników organów administracyjnych Łodzi, wykazała, iż z miasta uciekli do Niemiec wszyscy kierownicy organów administracyjnych, a także większość zamieszkujących tu Niemców. Pochodzenie Niemców mieszkających w Łodzi jest następujące: w 1939 roku w związku z ustanowieniem tak zwanej Generalnej Guberni, w granice której nie zostały włączone miasta na zachód od miast Łódź i Katowice, terytorium to zostało włączone do imperium niemieckiego. Zostały na nim ustanowione wszystkie prawa i organy administracyjne takie jak obowiązywały w Niemczech. Duża część tutejszej polskiej ludności została wywieziona na roboty do Niemiec lub przymusowo przesiedlona do Generalnej Guberni. Zostało tylko niewielu Polaków i wszyscy folksdojcze (polscy Niemcy). Ponadto, do miast: Łódź, Katowice, Poznań i innych przeprowadziło się na stałe wielu Niemców, których zadaniem było pełnienie funkcji kierowniczych w tych miastach. Według statystyk z roku 1942 w miastach tych zamieszkiwało do ok. 70% Niemców i 20% folksdojczów, w miejscowościach wiejskich natomiast do 50% Niemców i 20% folksdojczów. Terytorium było chronione przez niemiecką straż graniczną i Polacy nie byli tu wpuszczani, za wyjątkiem folksdojczów i to tylko tych, którzy posiadali przepustki. W obiegu była tylko waluta niemiecka. Obowiązującym powszechnie językiem był wyłącznie niemiecki. Wszystkie stanowiska kierownicze, począwszy od większych miast a skończywszy na gminach zajmowali Niemcy i jedynie do pełnienia funkcji zastępców dopuszczani byli folksdojcze. W ciągu ostatniego półtora roku, kiedy Niemcy zaczęli się wycofywać, na terytorium to przeprowadziła się duża część ludności ukraińskiej, niemieckiej i rosyjskiej, współpracującej z niemieckim okupantem i wykorzystywanej przez Niemców na naszym terytorium do pełnienia funkcji burmistrzów, starostów, policjantów, funkcjonariuszy w oddziałach karnych, tłumaczy itd. Wyjątkowo dużą liczbę

takich osób znaleziono w mieście Łodzi. Stosunek ludności polskiej do oddziałów Armii Czerwonej, które wkroczyły na teren miasta jest dobry. Niemcy, którzy nie zdążyli uciec do Niemiec, jak na razie nie wychodzą z domów i, jak twierdzą tutejsi mieszkańcy, boją się wrogiej reakcji ze strony Polaków, którzy pamiętają o ich współpracy z okupantem niemieckim. Pracownicy zakładów przemysłowych w Łodzi wywiesili tylko na zakładach pracy czerwone flagi (polskich nie wywiesili), założyli rewolucyjne komitety i wybrali komisarzy. W rozmowach z naszymi działaczami politycznymi robotnicy zgłaszają, że chcą ustanowić władzę radziecką i organy zarządzające takie jak w Rosji Radzieckiej. Kiedy zaczęto im wyjaśniać, że na terytorium wyzwolonej od niemieckich wojsk Polski działa polski rząd tymczasowy, który będzie ustanawiał miejscowe organy władzy, robotnicy odpowiadają, iż wiadomo im o istniejących dwóch polskich rządach: londyńskim i lubelskim. Który z nich jest lepszy nie wiedzą, a konstytucję radziecką dobrze znają, zgadzają się z nią i mają zamiar zwrócić się z prośbą o wyjaśnienie tych pytań do Stalina. Należy wskazać fakt, iż w ciągu 5-6 godzin po zajęciu Łodzi oficerowie



Działo pancerne ISU-122 na placu Wolności, 19.01.1945 r.  
fotografia z zasobów Muzeum Tradycji Niepodległościowych

polityczni 8 Armii gwardii rozpowszechnili w mieście deklaracje polskiego rządu tymczasowego i tekst polsko-radzieckiego traktatu o przyjaźni. Przedstawiciele władz polskich do tej pory w mieście nie ma. O fakcie tym został powiadomiony tow. Szatilow. Jak ustaliliśmy, w Łodzi znajduje się do 500 większych, średnich i drobnych przedsiębiorstw ( włókiennicze, obróbki żelaza i inne). Z ogólnej liczby przedsiębiorstw około 15 z nich zatrudnia ponad 3 tys. ludzi. I tak, na przykład, kombinat włókienniczy dawnego właściciela Poznańskiego liczy ok. 10 tys. pracowników, fabryka obróbki żelaza zatrudnia ok. 3 tys. ludzi. W ciągu wczorajszego dnia, dopóki nie przybyły nasze oddziały przeznaczone do zaprowadzenia porządku w mieście, niektórzy mieszkańcy - Polacy - pod pretekstem nienawiści do bogatych niemieckich kupców, którzy uciekli do Niemiec, rozbijali okna w sklepach, grabili towary i inne cenne znajdujące się tam przedmioty. Dzisiaj sytuacja poprawiła się. Na miejsce przybył 18 pułk NKWD, który przystąpił do zaprowadzenia porządku w mieście. Nasza grupa operacyjna aresztowała 28 ludzi.

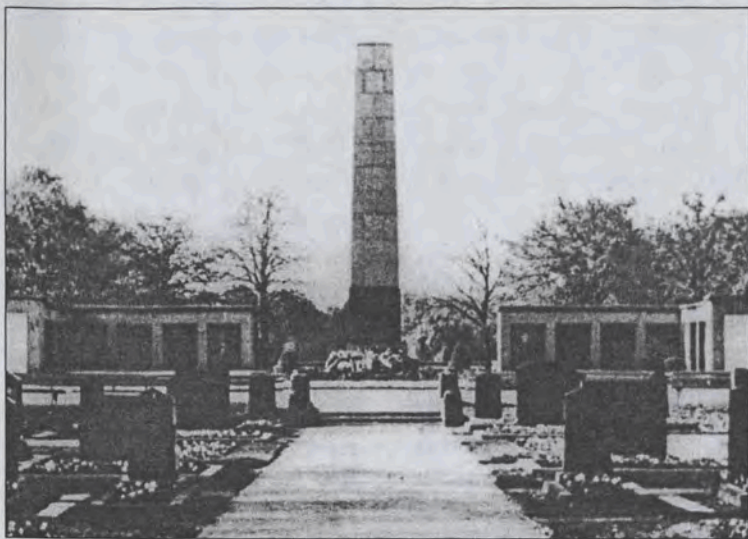
I. Sierow.

## 2. Ocena sytuacji w Łodzi przez organy NKWD 1 Frontu Białoruskiego.

Głównym koordynatorem działań pacyfikacyjnych NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł - Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR) na ziemiach polskich zajętych przez Armię Czerwoną (ACz) od lipca 1944 r. do 26 kwietnia 1945 r. był komisarz bezpieczeństwa państwowego drugiej rangi (odpowiednik stopnia generała w ACz) Iwan Aleksandrowicz Sierow. To on doprowadził do aresztowania przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, sądzonych następnie w moskiewskim Procesie Szesnastu. 11 stycznia 1945 r. I. Sierow, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR został wyznaczony przez swojego bezpośredniego przełożonego - Ławrientija Pawłowicza Berię na pełnomocnika NKWD przy 1 Froncie Białoruskim dowodzonym przez marszałka Związku Radzieckiego Geоргija Żukowa. Jego zadaniem było



oczyszczenie z wrogich elementów zaplecza frontu nacierającego na kierunku Łódź - Poznań - Berlin. 19 stycznia wojska G. Żukowa zajęły nasze miasto. Dwa dni później I. Sierow przesłał Ł. Berii meldunek o sytuacji w Łodzi. Jego uwierzytelniona kopia znajduje się w zbiorze „Teczki Specjalne Stalina” z Sekretariatu NKWD, przechowywanym w moskiewskim Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej. Oryginały „Teczek Specjalnych” znajdują się w rosyjskim Archiwum Prezydenckim i nie są udostępniane. Zawierają one raporty, telegramy, meldunki i innego rodzaju dokumenty sprawozdawczo - informacyjne przesyłane do najwyższych władz ZSRR przez NKWD, NKGB (Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti - Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego) i kontrwywiad „Smiersz” NKO (Narodnyj Komissariat Oborony - Ludowy Komisariat Obrony ZSRR). Sprawozdanie I. Sierowa o sytuacji w Łodzi zostało opublikowane w zbiorze dokumentów pt. „NKWD i polskoje podpolje 1944-1945 ( Po „osobym



„Pomnik Wdzięczności „ w parku im. J. Poniatowskiego.

Odsłonięty 18.11.1945 r.

Wysadzony w powietrze 11.02.1946 r. przez członków organizacji niepodległościowej.

Odbudowany 07.11.1946 r.

Rozebrany w grudniu 1992 r.

fotografia z zasobów Muzeum Tradycji Niepodległościowych

papkam" I.W. Stalina), wydany w 1994 r. przez Instytut Slawistyki i Bałkanistyki Rosyjskiej Akademii Nauk, Państwowe Archiwum Federacji Rosyjskiej i Naukowe Centrum Badań Slawistycznych. A.F. Noskova - redaktor powyższego wyboru dokumentów podała, że Sierow był w styczniu 1945 r. doradcą NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego Polski (Rządu Tymczasowego). Wiadomo, że oficjalne stanowisko to pełnił od marca do 26 kwietnia 1945 r. W opublikowanym powyżej przekładzie z rosyjskiego najbardziej bulwersują polskiego historyka następujące trzy sprawy:

1. Liczba około 100 tys. Ukraińców, Białorusinów i Rosjan, którzy w ciągu ostatnich 6 miesięcy Litzmannstadu rzekomo przybyli do naszego miasta okupowanego przez hitlerowców.  
Tadeusz Bojanowski, znany badacz tego okresu dziejów Łodzi, podał że w grudniu 1944 r. niemieckie statystyki zarejestrowały 6391 Ukraińców, Czechów, Rosjan i Białorusinów na około 480 tys. mieszkańców (\* T. Bojanowski, *Łódź pod okupacją niemiecką w latach II wojny światowej (1939-1945)*, Łódź 1992, s. 60,61). Również liczne relacje ówczesnych mieszkańców naszego miasta nie potwierdzają przybycia do Łodzi w styczniu 1945 r. kilkudziesięciu tysięcy Ukraińców, Białorusinów i Rosjan uciekających przed ACz.
2. Pominięcie w sprawozdaniu zbrodni hitlerowskiej w Radogoszczu. I.Sierow podaje jedynie, że Niemcy wysadzili w powietrze kilka domów, w których mieli swoje siedziby gestapowcy.
3. Podkreślenie przez autora proradzieckich i komunistycznych postaw i wypowiedzi łódzkich robotników, którzy według niego dobrze znali konstytucję ZSRR i pragnęli ustanowić władzę radziecką w mieście.

Powyższe obiekty odzwierciedlają słabości pierwszych spostrzeżeń organów bezpieczeństwa zwycięzców, których interpretacja uzewnętrznia raczej specyficzną enkawudowską wizję świata (uogólnienie postaw i poglądów robotników) oraz ciągłą potrzebę wyolbrzymiania zagrożeń (liczba 100 tys. Kolaborantów, 50 tys. Niemców i licznych folksdojczów) uzasadniających pierwszoplanową rolę NKWD w radzieckim systemie bezpieczeństwa na zajętych ziemiach polskich. Z drugiej strony sprawozdanie I. Sierowa potwierdza dobrą znajomość przez enkawudzystów niemieckiego systemu administracyjnego oraz stanu łódzkiego przemysłu. Prawdopodobnie organy NKWD 1 Frontu Białoruskiego dysponowały agenturalnymi danymi ogniw NKO na ten temat. Można również przyjąć, że radzieckie służby bezpieczeństwa uzyskały część najaktualniejszych informacji o sytuacji w Łodzi od członków przedwojennego Zarządu Miejskiego, kierowanych przez Jana Watratusa, którzy od 17 stycznia 1945r. organizowali tymczasowe polskie ogniw administracyjne, mające podlegać planowanemu przez nich Komitetowi Obywatelskiemu. Dopiero 21 stycznia 1945 r., po spotkaniu z przybyłym do Łodzi pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego, Ignacym Loga-Sowińskim, zrezygnowali z tego pomysłu i utworzyli Tymczasowy Zarząd Miejski Łodzi (\*\* Archiwum Państwowe w Łodzi, Zarząd Miejski w Łodzi. Wydział Prezydialny, t.115, s. 62,1). Tezę tę uzasadnia uwaga I. Sierowa, że „Przedstawiciele władz polskich (tj. Rządu Tymczasowego - podkreślenie T.B.) do tej pory w mieście nie ma. O fakcie tym został powiadomiony Szatilow (prawdopodobnie nieoficjalny radziecki doradca przy Ministerstwie Administracji Publicznej - podkreślenie T.B.)

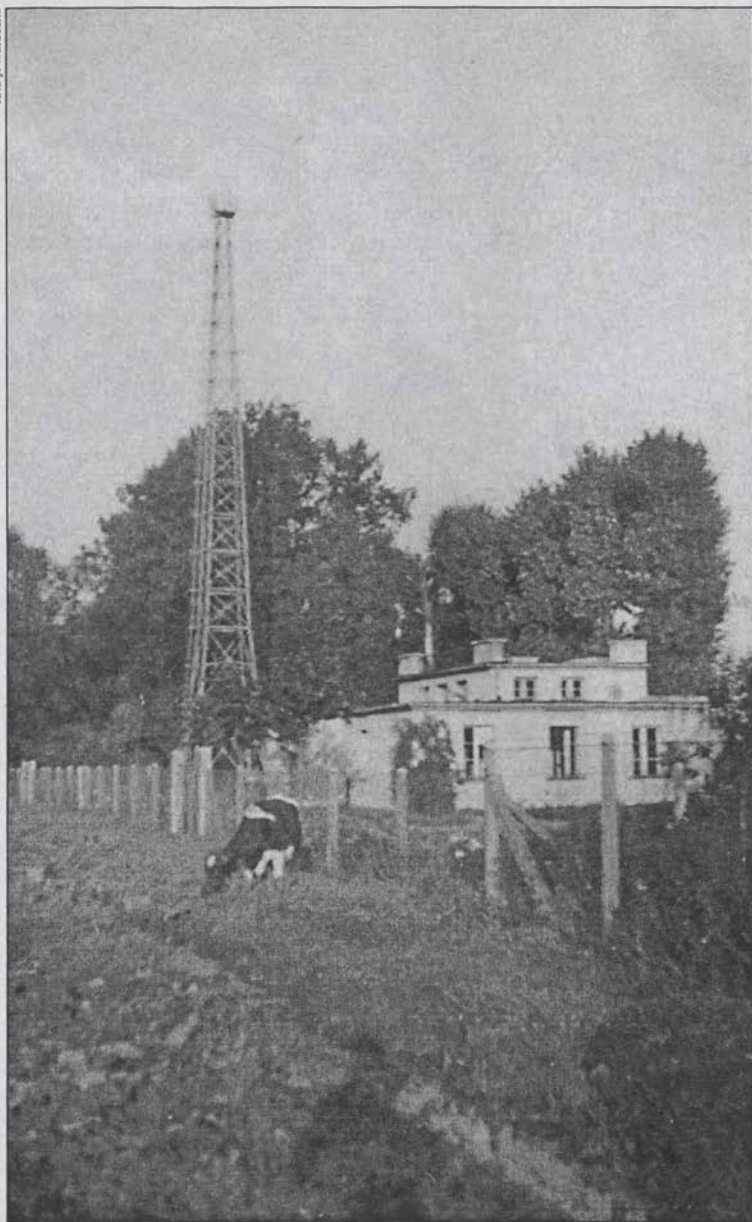
Przedstawiony dokument jest bardzo specyficznym źródłem wiedzy o sytuacji w Łodzi po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej. Jego autor wyolbrzymia istniejące zagrożenia i pomija niewygodne fakty. Sprawozdanie Sierowa świadczy także o zainteresowaniu władz radzieckich stanem łódzkiego przemysłu, który miał w ich planach odegrać istotną rolę w zaopatrywaniu walczących wojsk w mundury i buty (\*\*\*) Do 1 czerwca 1945r. w Łodzi uszyto 214 tys. mundurów, 236 tys. spodni, 224 tys. koszul, 120 tys. rogatywek polowych, 46 tys. płaszczy i wykonano 30 tys. par obuwia. Wyprodukowano również duże ilości części do samochodów dla oddziałów 1 Frontu Białoruskiego -T. Klimaszewski, Z zagadnień ekonomicznego wkładu wyzwolonej Łodzi, w wojnę z Niemcami hitlerowskimi /19 I - 9 V 1945r./, [w:]

Z badań nad dziejami Polski Ludowej. Materiały sympozjum studiów nauk politycznych UŁ, PL, AM, WAM i Wyższej Szkoły Artystycznej oraz Studium Wojskowego UŁ, poświęconego XXX-leciu wyzwolenia Łodzi, Łódź 1975, s. 130-145).

JAROSŁAW WARZECHA

## ZACZEŁO SIĘ NA FALI 233,8

W 51 numerze z 22 grudnia 1929 roku „Ilustrowany Tygodnik dla Wszystkich - Radjo” na trzeciej stronie donosił: „Trzy nowe radjostacje polskie. Przekąźnikowa stacja w Łodzi.” „Łódź - ośrodek naszego przemysłu i drugie co do wielkości po Warszawie miasto w Polsce, otrzyma stację przekąźnikową o mocy 1,5 kw, która będzie w głównej mierze korzystać z programów stacji warszawskiej. Budowa tej stacji posuwa się dosyć szybko. Wydział Techniczny Polskiego Radja zdołał już wykończyć całkowicie zabudowania, mieszczące się przy zbiegu ulic Wołowej i Inżynierskiej. Zabudowania i plac stanowią własność Polskiego Radja. Prace przy budowie wież antenowych o wysokości 30 mtr. każda, które montuje firma Cegielski, również dobiegają końca. Aparatura nadawcza, dostarczona przez Towarzystwo Marconi, będzie wyposażona w specjalne urządzenie do stałości fali z dokładnością 1:100 000. Stacja łódzka, jako stacja przekąźnikowa, nie będzie mieć stałego studja, jednak programy przewidują transmisje z sal koncertowych, odczytowych i t.p. Uruchomienie stacji nastąpi z końcem stycznia przyszłego roku na fali między 212 - 250 mtr.,,



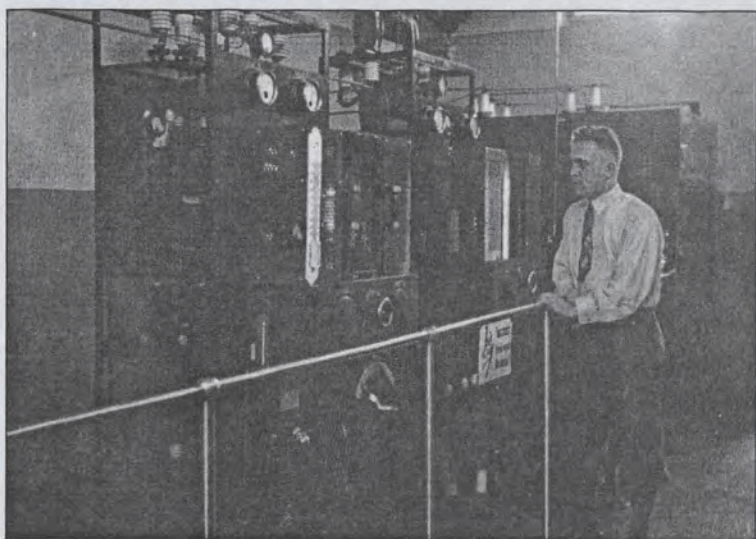


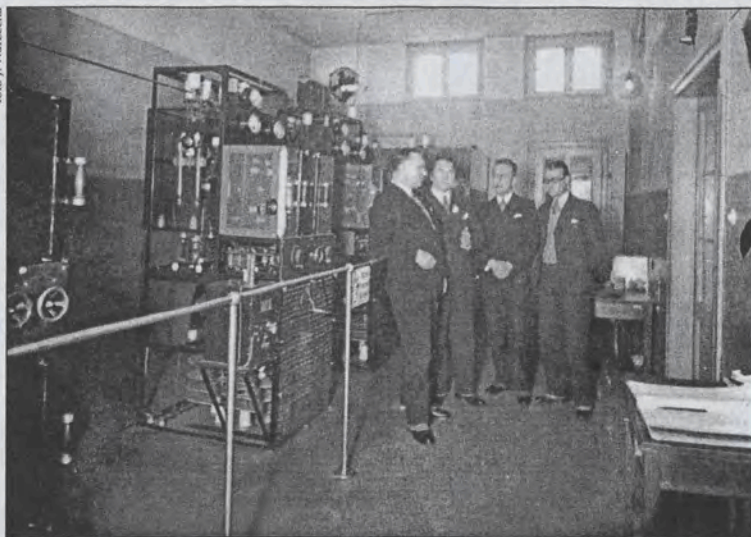
foto J. Warzecha

Zachowałem oryginalną pisownię z tamtych czasów, gdzie radio - to było Radjo, a studio - studjo. W cytowanym artykule mowa była jeszcze o drugiej stacji w Warszawie (obok już istniejącej od pięciu lat) i prowizorycznej stacji we Lwowie.

Twórcą i budowniczym łódzkiej stacji był inżynier Władysław Heller, Dyrektor Techniczny Polskiego Radia. Całą aparaturę amplifikatorki i małego „speakerskiego” studia zamówiono w londyńskiej firmie „Marconi Wireless Telegraph Co”. Wraz z dyrektorem Hellerem pracował zespół inżynierów. Odnotujmy ich nazwiska dla historii. Byli to panowie: L.Ormontowicz, Rabęcki, J. Ziółkowski. Poza tym firma „Marconi Wireless ...” wydelegowała do Łodzi swojego przedstawiciela, inżyniera Petersena, który miał osobiście nadzorować instalację aparatury. Przybył do miasta 12 stycznia 1930 roku. W skład personelu technicznego montującego aparaturę a zatrudnionego już do stałej obsługi stacji wchodziłi pp.: M. Gawroński - kierownik techniczny, inż. S. Bołdok i mechanicy pp. Klimontowicz, Kawczyński i Nicerski. Prasa łódzka śledziła z zainteresowaniem to, co działo się przy ul. Inżynierskiej 14, ale budowniczy stacji informacji udzielali skąpo i niechętnie.

Na początku stycznia 1930 roku w Łodzi było 6-8 tys. aparatów radiowych, w większości słabych odbiorników kryształkowych. Trudno było ilość odbiorników określić dokładnie, bo aż 50% odbiorców to byli tak zwani radiopajęczarze - słuchacze nie zarejestrowani i nie płacący abonamentu radiowego. I oto w nocy z 1 na 2 lutego 1930 roku odezwała się w eterze nikomu nieznana dotychczas stacja. Niewielkiej mocy, bo zaledwie 1,65 kW, ale za to o świetnie wymodulowanej fali 233,8 metra. Zdumieni słuchacze abonamentowi i nie mniej zdumieni radiopajęczarze usłyszeli najpierw retransmisję koncertu z Budapesztu, a później muzykę z płyt. Głos dochodził wyraźnie i czysto, choć czasami zanikał. Próbnym program z Łodzi usłyszał nawet pewien radiosłuchacz z Wilna, o czym zawiadomił jedną z gazet. 4 lutego 1930 roku dziennikarz „Głosu Porannego” pisał w artykule „Zakonspirowana radiostacja w Łodzi. Podobno śpiewa i gada, ale nie wiadomo co i kiedy” : „ ... Dlaczego stacja łódzka nie powiadomiła publiczności, że już się czynią pierwsze próby? Dlaczego nie podzielić się radosnym momentem z krociami wielbicieli radia? U nas buduje się stację, ale jakby potajemnie. Nikt nie czuje się w obowiązku zawiadomić mieszkańców, że mogą już prowizo-

foto J. Warzecha

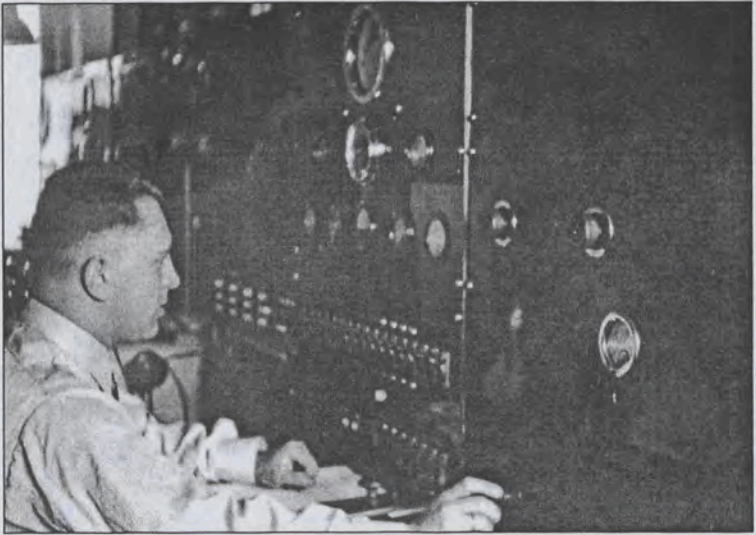




rycznie z niej korzystać. Jak wiadomo trzeba było długich lat i mnóstwa apelów pod adresem Polskiego Radia nim ta Dostojna Instytucja zdecydowała się wreszcie wybudować stację w Łodzi. Jak widać stacja już jest gotowa. Ale nikt z dyrekcji nie uważa za stosowne zawiadomić o tym publiczności." Sarkazm dziennikarza „Głosu” to refleks co najmniej pięcioletnich sporów między opinią publiczną i władzami Łodzi, a dyrekcją Polskiego Radia S.A. właśnie o budowę stacji radiowej w Łodzi. Zarząd Radia uważał, że Łódź leży zbyt blisko potężnej stacji w Raszynie. Powoływano się też na niewielką ilość radiodbiorników w mieście. Gdzieś na dnie kołatało się jednak w Warszawie przekonanie, że Łódź jako miasto wielkiego przemysłu, będzie miała niewiele do zaproponowania ogólnopolskiemu programowi Polskiego Radia, emitującemu w tamtym czasie głównie audycje kulturalne, w tym liczne koncerty muzyczne. Łódź, w przeciwieństwie do Lwowa czy Wilna, nie miała uniwersytetu, w domyśle nie miała swojego środowiska naukowego, a ludzie nauki byli w Polskim Radiu częstymi gośćmi czy współpracownikami. W przeciwieństwie do rozgłośni w Katowicach, ewentualna rozgłośnia w Łodzi nie musiała by pełnić roli emisariusza



foto J. Warzecha



polskiego słowa dla Polaków na Śląsku Opolskim. Podobną rolę dla Polaków na wschodzie pełniły zresztą rozgłośnie we Lwowie i Wilnie, a później rozgłośnia w Baranowiczach. A jednak w końcu dzięki naciskom z różnych stron powstała stacja przekaźnikowa. Warszawska centrala P.R. w wywiadach dla łódzkiej prasy podkreślała stanowczo, że stacja łódzka będzie jedynie przekaźnikiem dla audycji transmitowanych z Warszawy. Na osłode zadeklarowano jednak, że Łódź nadawać będzie swoje biuletyny gospodarcze i muzykę taneczną. Być może w przyszłości, gdy powstanie studio z prawdziwego zdarzenia, emitowane będą odczyty i koncerty. Próby nowej radiostacji podobne tej z 1 lutego odbywały się jeszcze kilkakrotnie, ale słuchacze już wiedzieli, kto nadaje i dlaczego. I wreszcie 15 lutego 1930 roku, w sobotę odbyło się oficjalne, uroczyste otwarcie łódzkiej radiostacji przekaźnikowej. Centralę warszawską reprezentowali Dyrektor Techniczny Polskiego Radia inżynier Władysław Heller, główny projektant i budowniczy stacji łódzkiej, wraz ze swoim zastępcą inżynierem Konstantym Znanieckim, oraz Kierownik Literacki Polskiego Radia Maksymilian Weronicz. Zespół dziennikarski nowej stacji reprezentował redaktor Jan Piotrkowski,

kierownik działu prasowego. Sprzed Grand Hotelu przy Piotrkowskiej kawalkada samochodów z gośćmi i dziennikarzami udała się na teren radiostacji przy ul. Inżynierskiej 14. Były to wtedy peryferie miasta. Na jednym ze zdjęć z tamtego czasu widać krowę pasącą się przy okalającym radiostację wysokim płocie z drutu kolczastego, a dalej w tle potężne stare drzewa. Parterowy budynek radiostacji mieścił w podwyższonej o pół piętra sali amplifikatornię - czyli zespół urządzeń nadawczo-wzmacniających, dalej prowizoryczne studio i pokoje biurowe. Łódzka stacja pracowała od godziny 17.00 do 0.30. Nadawała audycje warszawskie i retransmisje niektórych programów zagranicznych docierające do radiostacji drogą kablową. Korzystano przy tym z przewodów napowietrznych, co nie gwarantowało dobrego odbioru. Podziemny kabel telefoniczny między Warszawą i Łodzią o dużej przepustowości miał połączyć oba miasta w niedalekiej przyszłości. Teoretyczny zasięg łódzkiej stacji przekaźnikowej wynosił 40 kilometrów. Podczas uroczystości otwarcia inżynier Heller w imieniu Zarządu Polskiego Radia wyjaśnił, że uruchomienie łódzkiej radiostacji nie zmieni zasadniczo centralnego programu radiowego. Dodał jednak dyplomatycznie



foto J. Wierzecha

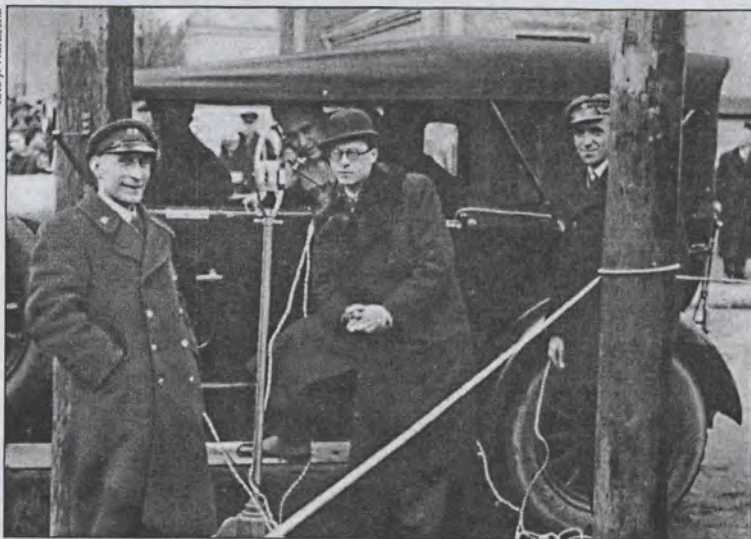
cznie, że: „Zarząd Polskiego Radia stara się jednak program swój stopniowo ulepszać.” Podobno wyraźnie wzruszony wojewoda łódzki Władysław Jaszczolt powiedział owego dnia : „ Po raz pierwszy stając przed mikrofonem doznaję dziwnego wrażenia na samą myśl, że w tej jednej chwili nawiązała się cudowna łączność pomiędzy mną, a całym terenem powierzonego mi województwa.” Tego jednak nie wiadomo z całą pewnością, bo nie powstały żadne zapisy dźwiękowe owego wydarzenia, a dziennikarskie relacje mogą być niedokładne. W czasie okupacji w latach 1939 - 1945 dokumenty Polskiego Radia, zarówno te w centrali w Warszawie jak i te w Rozgłośni Łódzkiej, zostały przez Niemców metodycznie zniszczone. W Warszawie resztki archiwów spłonęły podczas Powstania, w Łodzi zostały przeznaczone na przemiał. Trudno więc odtworzyć dokładnie skład personalny pierwszego zespołu łódzkiej stacji przekaznikowej P.R. Na zbiorowej fotografii, przekazanej mi niegdyś przez panią Helenę Kawczyńską, a wykonanej prawdopodobnie w roku 1930 lub 1931 przed gmachem, a raczej skromnym domkiem z dumnym napisem na dachu „POLSKIE RADIO” stoi dwadzieścia jeden osób. Większość to kobiety. Mężczyzn tylko sześciu. W środku dyrektor stacji przekaznikowej, a później pierwszy dyrektor Rozgłośni Łódzkiej Tadeusz Jarzębowski, obok niego redaktor Jan Piotrowski dziennikarz szczególnie dla łódzkiego Radia zasłużony, postać nietuzinkowa. Jan Piotrowski ( podaję za: Andrzej Kempa „Sylwetki Łódzkich Dziennikarzy i Publicystów” wyd. Oficyna Bibliofilów Łódź 1991) poeta, publicysta, redaktor, dziennikarz radiowy. Urodził się w Stopnicy w woj. kieleckim 28 kwietnia 1889 r.. Syn nauczyciela. Uczęszczał do warszawskiego gimnazjum Chrzanowskiego i tam brał udział w strajku szkolnym w 1905 roku. Maturę zdał w Petersburgu. W 1911 roku rozpoczął pracę dziennikarską w „Wiadomościach Robotniczych”. Współpracował również z „Gazetą Łódzką” a w latach 1912 - 1913 był współwydawcą tygodnika humorystycznego - satyrycznego „Śmiech”. W 1913 roku wyjechał do Francji i rozpoczął studia na paryskiej `Ecole des Heutes `Etudes Sociales et Politigues. W latach 1923 - 29 był sprawozdawcą teatralnym czasopisma „Journal de Varsovie”, redakto-

rem naczelnym tygodnika „Ilustracja” ( do 1926 r.) i tygodnika „7 dni” ( do 1929 r.). W latach 1930 - 1934 pracował najpierw w stacji przekąźnikowej a później Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Od roku 1934 nie rozstał się z radiem, ponieważ został naczelnym redaktorem tygodnika „Radio”, ukazującego się później jako „Antena”. Po wojnie pracował znowu jako dziennikarz radiowy w Łódzkiej Rozgłośni. Zmarł w Łodzi 13 grudnia 1947 roku.

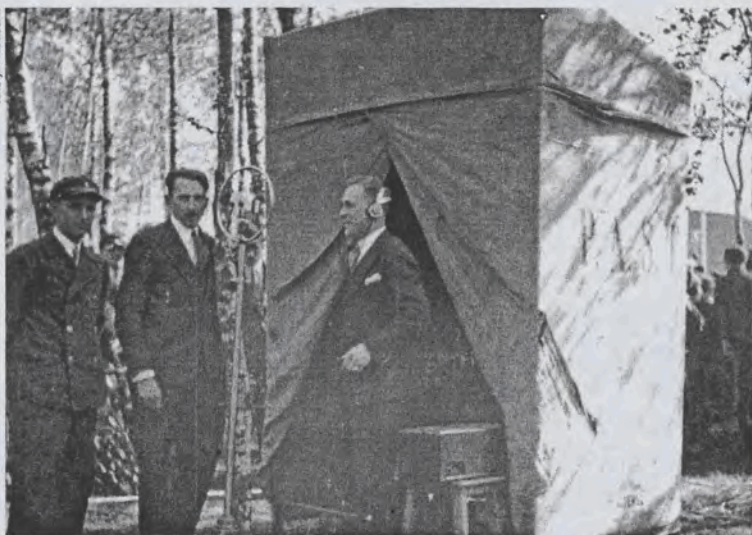
Otwarcie w Łodzi za ledwie stacji przekąźnikowej, a nie rozgłośni nadającej własny program lokalny, nie zaspokoilo ambicji wielu środowisk drugiego co do wielkości miasta w Polsce. Ledwie półtora miesiąca po uruchomieniu łódzkiej stacji radiowej „Kurier Łódzki” w numerze 82 z 30. III. 1930 roku, w artykule „Łódź nadaje własne... płyty gramofonowe.” Pisał: „ (...) Łódź ma dostateczną ilość środków, jeśli chodzi o materiał ludzki, do wypełnienia własnego, lokalnego programu. (...) Łódź transmituje z Warszawy wszelkie rolnicze odczyty, uczy kupca łódzkiego jak ma hodować bydło i nawozić pole, natomiast poczuwa sobie za punkt honoru wykazać lokalny charakter w dziedzinie... płyt gramofonowych. (...) Łódź interesuje szereg zagadnień o charakterze robotniczym, przemysłowym, handlowym itp., których radiostacja warszawska nie porusza, bowiem są to zagadnienia dla niej nie interesujące. „Wołania o przyznanie stacji łódzkiej własnego głosu radiowego powoli odnosiły skutek. Naciskała zresztą nie tylko miejscowa prasa ale także łódzki wojewoda, środowiska kultury i nauki, zarząd miasta. Nie bez wpływu było miejscowe, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli - lobby przemysłowe. W początkach kwietnia przedstawiciel Polskiego Radia nawiązał kontakt z Izbą Przemysłowo Handlową. Wspólnie ustalono, że od 6 kwietnia w programie radiowym będzie się ukazywał nadawany z Łodzi komunikat gospodarczy. Także od 6 kwietnia (niedziela) program retransmitowany przez łódzką stację przekąźnikową rozszerzono z dotychczasowych 7,5 godziny do 12 godzin. Zaczynał się on teraz o godz. 12. 30 i trwał do 0.30. Ponadto łódzka stacja, zamiast przekazywania warszawskich programów centralnych, miała teraz nadawać program skomponowany we własnym zakresie z najcieka-

wszystych programów wszystkich istniejących w kraju rozgłosi Polskiego Radia z możliwie najszerszym uwzględnieniem potrzeb łódzkich słuchaczy. Zespołowi łódzkiemu pozostawiono więc decyzję co do wyboru ale ciągle daleko było jeszcze do własnych programów lokalnych. Ale cytowany już przeze mnie wcześniej dziennikarz „Kurier Łódzkiego” który tak oburzał się na nadawanie przez łódzką stację własnych płyt gramofonowych nie zrozumiał szatańskiego planu miejscowych radiowców, a szczególnie redaktora Jana Piotrowskiego. Piotrowski bowiem wpadł na pomysł radiowy prosty i genialny programowo - stworzył pierwszy łódzki radiowy program interaktywny, pierwszy koncert życzeń. Audycje tego rodzaju do dziś cieszą się największym powodzeniem. Schemat ich jest prosty - słuchacze dzwonią, a dziennikarz w studiu puszcza zamówione utwory muzyczne. Wtedy nie dzwonili, bo telefony nie były tak powszechne, lecz pisali kartki pocztowe czy listy. Redaktor poszczególne listy prezentował krótko na antenie i puszczał płyty zamówione przez słuchaczy łódzkich w czasie, gdy warszawski program centralny prezentował swoje koncerty z płyt. To wszystko działo się trochę nielegalnie, po partyzancku i właściwie

foto J. Warzecha



bez zezwolenia centralnych władz Polskiego Radia, ale się działo. Najpierw przychodziły dziesiątki listów i kartek, później setki a później tysiące. Jan Piotrowski stał się w ten sposób redaktorem pierwszej łódzkiej tak zwanej „skrzynki radiowej”. Owe skrzynki to była zresztą specyfika Polskiego Radia u jego początków i przez wiele lat później. Były różne „skrzynki” - rolnicza, żołnierska, uczniowska, myśliwska, literacka i tak dalej i tak dalej. Sama nazwa pochodziła oczywiście od skrzynki pocztowej, a idea polegała na tym, że słuchacze zainteresowani określonym tematem pisali do danej skrzynki tematycznej listy i słuchali z satysfakcją, gdy redaktor prowadzący skrzynkę właśnie ich list prezentował na antenie. Redaktor Piotrowski tworząc samowolnie pierwszą łódzką „skrzynkę” pamiętał jeszcze o jednej sprawie, o której w centrali warszawskiej pamiętano tylko tak sobie, albo nie pamiętano wcale. Na 8 tysięcy odbiorników radiowych w Łodzi większość to były słabe odbiorniki kryształkowe. Mniejszość stanowiły odbiorniki lampowe, które bez zakłóceń mogły odbierać stacje polskie i zagraniczne. Na „kryształkach” stacje zagraniczne nie były słyszalne, a odbiór innych stacji polskich był dosyć kiepski. Stacje łódzka znajdowała się najbliżej i jej odbiór był najwyraźniejszy. Poza wszystkim - tysiące listów od zachwyconych słuchaczy to był także niezły, a może nawet bardzo dobry argument za utworzeniem w przyszłości rozgłośni radiowej z prawdziwego zdarzenia. Ludzie listy piszą, a to znaczy, że ci, do których piszą, są potrzebni. Redaktor Jan Piotrowski dobrze wiedział, co robi. W tych staraniach pomagało mu dzielnie dwóch innych radiowych dziennikarzy łódzkich - Henryk Tokarczyk i Benedykt Stefański. Dwaj ostatni prowadzili też później kolejno koncert życzeń z płyt, a redaktor Piotrowski poświęcił się felietonistyce i prowadzeniu radiowej skrzynki pocztowej. Nie wykluczone też, że inspirowali swoich kolegów dziennikarzy z łódzkich gazet, którzy o radiu pisali często, domagając się samodzielności nowo powstałej stacji. W „Kurierze Łódzkim” z piątku 25 kwietnia 1930 roku ukazał się artykuł pod wymownym tytułem „Dajcie Łodzi swobodę na fali. Łódzki program dla łódzkich radio-słuchaczy”: „ (...) Skoro jednak Łódź posiadała swą stację radiową,



pożądane byłoby ze wszech miar, by stacja łódzka była rdzennie łódzka, bez zbyt jaskrawych zabarwień i niewolniczych wpływów Warszawy czy Poznania. Niechaj Łódź i jej najdalsza prowincja, słysząc zapowiedź speakera: „Hallo tu Łódź”, nie doznaje rozczarowań i zniechęceń, słuchając Poznania z Łodzi. (...). “W podobnym tonie pisał „Głos Poranny”. Ten ostatni zaczął także od 5 maja 1930 roku wydawać stały tygodniowy dodatek „Głos Radiowy”. Jednak artykuły dodatku w niewielkim stopniu dotyczyły programu łódzkiej stacji, bo też go niewiele było. Skupiały się na sprawach radiowej aparatury i doniesień ze świata radia. Od początków istnienia Polskiego Radia wiele miejsca w programie zajmowała muzyka. Zarówno muzyka mechaniczna z płyt jak i bezpośrednie transmisje muzyki poważnej z sal koncertowych, czy wreszcie transmisje muzyki tanecznej i jazzowej bezpośrednio z lokali rozrywkowych. Transmisje miały szczególnie urok bezpośredniego uczestnictwa w wydarzeniu. Do słuchaczy dochodziły reakcje koncertowej publiczności, czasami nawet rozmowy dancingowych gości, bo występy znanych orkiestr tanecznych transmitowane były wieczorem bezpośrednio z dancingów. Stacja łódzka szybko wpisała się w ciąg



muzycznych audycji Polskiego Radia. 1 czerwca 1930 roku odbył się w Filharmonii Łódzkiej wielki zjazd towarzyszt śpiewaczych i konkurs chórów z Województwa Łódzkiego. Przyjechało 28 zespołów grupujących 1500 śpiewaków. W jury zasiadły znakomitości w dziedzinie muzyki chóralnej, profesorowie Maszyński z Warszawy, Nowowiejski z Poznania i Walek - Walewski z Krakowa. Łódzka stacja przekąźnikowa zwana już coraz częściej, choć trochę na wyrost - rozgłośnia - dostąpiła zaszczytu transmisji konkursu na cały kraj. W Filharmonii zainstalowane zostały dwa mikrofony - jeden do bezpośredniej transmisji, drugi dla komentującego koncerty chórów speakera. Gmach Filharmonii i stacji radiowej przy ul. Inżynierskiej 14 połączono specjalnym przewodem telefonicznym do obsługi transmisji. Wzmacniacze umieszczone na czas koncertu w gmachu Filharmonii. Koncerty chóralne odbyły się bez przeszkód, a łódzkie Radio od godziny 15.30 w pierwszą czerwcową niedzielę słychać było po raz pierwszy w całym kraju. Bezpośrednie połączenie między stacją a Filharmonią dyrekcja łódzkiego radia postanowiła zostawić na stałe.

Znakomitym pomysłem programowym było zorganizowanie przez łódzką stację w drugiej połowie października rajdu motocyklowego. Motocykle wiozły odbiorniki lampowe, przy pomocy których co pół godziny uczestnicy rajdu odbierali nadawaną z rozgłośni marszrutę dla poszczególnych grup motocyklistów. Trasę rajdu śledzili także radiosłuchacze. Na zakończenie mogli posłuchać na gorąco wrażeń uczestników imprezy. Coraz częściej z prowizorycznego łódzkiego studia emitowane były krótkie programy. W setną rocznicę Powstania Listopadowego nadano dwa odczyty, a podczas grudniowych dni przeciwgruźliczych łódzcy lekarze wygłosili cały cykl odczytów. Gruźlica była w Łodzi wielkim problemem społecznym, a radio mogło tu spełnić kapitalną rolę edukacyjną. Warto odnotować nazwiska pierwszych prelegentów - współpracowników łódzkiego radia. Dr Jan Żurkowski „O bakteriach gruźlicy”, dr Anna Margolis „Szczepienia przeciwgruźlicze”, dr Tadeusz Mogilnicki „Gruźlica wieku dziecięcego”, dr Dawidowicz „Gruźlica narządów wewnętrznych”, dr Walter „O gruźlicy chirurgicznej”.

Na słuchacza, który nadeśle najlepsze streszczenie cyklu wykładów, czekała nagroda rzeczowa. 5 lutego 1931 roku odbyła się konferencja prasowa z okazji pierwszej rocznicy uruchomienia łódzkiej stacji przekąźnikowej, zwanej coraz częściej przez lokalną prasę Rozgłośnia. Stawili się dziennikarze ze wszystkich łódzkich gazet na czele z Prezesem Syndykatu Dziennikarzy redaktorem Czesławem Gumkowskim. W imieniu Polskiego Radia w Warszawie wystąpił pan Frenkiel. Padły pytania o dalsze losy radia w Łodzi. Także o programy lokalne, o samodzielność programową łódzkiej stacji. W imieniu łódzkich radiowców podziękował prasie red. Henryk Tokarczyk, a było za co, bo prasa jak mogła przez ten rok nową stację wspomagała. Jak wielkie natomiast było zainteresowanie lokalną stacją wśród łodzian świadczy liczba odbiorników. Abonentów Polskiego Radia w lutym 1930 roku było dokładnie 5910 (nie licząc radiopajęczarzy szacowanych na około 2 tys.). W lutym 1931 roku liczba abonentów sięgnęła 20 tysięcy. Był to skok największy w kraju, a zważywszy, że opłata abonamentowa wynosiła 3 złote miesięcznie, miłość łodzian do radia uznać można za gorącą. Kolejny argument wobec warszawskiej centrali za uruchomieniem łódzkiej rozgłośni z własnym programem lokalnym, miejscowa prasa wykorzystwała skrupulatnie. I tak łódzkie radio skończyło okres raczkowania. Pierwszy rok istnienia.

PAWEŁ ZAWILSKI

## ARCHEOLOGIA W ŁODZI - 2001

Łódź od wielu już wykopaliskowych sezonów badawczych dostarcza niezaprzeczalnych dowodów penetracji jej obszaru we wszystkich epokach prehistorycznych. Zainteresowanie prądziejową stroną przeszłości miasta, stało się jednym z przedmiotów badawczych zainteresowań Instytutu Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego (IAUŁ).

W ramach nawiązanej współpracy z Urzędem Miasta Łodzi, powstało tu opracowanie dokumentującą całość danych obejmujących prądziejową oraz wczesnohistoryczną stronę Łodzi. Tu też powstało szereg opracowań "materiałowych" poświęconych konkretnym punktom osadnictwa prądziejowego. Publikacje tego rodzaju stanowią rezultat bezpośredniego zaangażowania IAUŁ w problematykę ochrony dziedzictwa kulturowego miasta. W ostatnich latach forum dyskusji nad zagadnieniami łódzkiej archeologii znajduje ujście na łamach łódzkich periodyków archeologicznych "Folia Archaeologica" oraz "Łódzkich Sprawozdań Archeologicznych". Inicjując niniejszym opracowaniem prezentację rezultatów prac badawczych prowadzonych na terenie miasta, starać będziemy

się artykułować zagadnienia poświęcone konkretnym problemom badawczym. Jednym z nich pozostaje, wobec nie dość licznej jeszcze bazy materiałowej, ukazanie początków epoki żelaza na obszarze miasta. Paradoksalnie Łódź wkroczyła do "literatury" archeologicznej opracowaniem rozległego cmentarzyska kultury łużyckiej w Rudzie Pabianickiej, założonego i użytkowanego we wczesnej fazie epoki żelaza, tj. okresie halsztackim. Jednakże od momentu ukazania się omawianej publikacji, nasze miasto niemal całkowicie, pozostało poza sferą archeologicznych zainteresowań badawczych obejmujących opisywany okres czasu. Dysponujemy dwoma opracowaniami wyników badań prowadzonych na stanowiskach osadniczych, jednakże ograniczona skala prowadzonych tu prac wykopaliskowych, znajduje przełożenie w niewielkiej zasobności pozyskanych tu materiałów zabytkowych. Z obszaru Łodzi pochodzi pojedynczy skarb datowany na okres halsztacki. Ostatnia charakterystyka omawianego okresu dla ziem Polski środkowej przeprowadzona została w 1975 r.. Prezentowała ona obraz znacznych przemian demograficznych. Omawiany przedział czasu w dziejach kultury łużyckiej przyniósł, po okresie rozkwitu w późnej epoce brązu, regres nie tylko pod względem



rozmiarów zamieszkujących omawiane obszary populacji, lecz także powolne zatracanie własnej tożsamości kulturowej. Samodzielna jednostka kulturowa, jaką dotąd stanowiła grupa środkowopolska kultury łużyckiej, powoli ulega dominacji ościennych jednostek – grupy górnośląsko-małopolskiej oraz grupy wschodniowielkopolskiej kultury łużyckiej. Jak dotąd szczupłość bazy materiałowej stanowiącej narzędzie naukowych dociekań archeologów nie mogła omawianego procesu wyraźnie naświetlić. Niniejsza prezentacja omawianą lukę, choć zapewne w niewielkim stopniu, postara się wypełnić. W rejonie łódzkiej Grupowej Oczyszczalni Ścieków, na południe od niej, na lewym brzegu Neru dokonano w 1984 roku odkrycia nie znanego dotąd stanowiska archeologicznego Gorzew 2. Zebrane z powierzchni materiały zabytkowe wskazywały na obecność osadnictwa kultury łużyckiej z epoki brązu oraz średniowiecznego z XII-XIII w. W trakcie zmian granic Łodzi, jakie dokonały się w 1988, omawiany teren znalazł się w obrębie miasta i zinwentaryzowany został jako Łódź Gorzew, stan. 2. W lutym 2000 r. inspekcja terenowa pracowników Instytutu Archeologii stwierdziła, iż na omawianym obszarze funkcjonuje kopalnia piasku, niszcząca jednocześnie całość stanowiska, którego powierzchnię oceniono na 2 ha. O fakcie tym powiadomiono służby konserwatorskie. Pomimo, iż rejon ten znajduje się w Strefie Ochrony Konserwatorskiej uwidocznionej w Planie Zagospodarowania Przestrzennego Łodzi, niszczycielska działalność użytkowników kopalni piasku nie została powstrzymana. W efekcie do końca roku 2000 całość uległa zniszczeniu. Jedynie dzięki ofiarności pracowników Instytutu Archeologii UŁ oraz pomocy Urzędu Miasta Łodzi dokonano badań ratowniczych. W efekcie zdołano zabezpieczyć 214 obiektów osadniczych. W przeważającej masie materiał zabytkowy pozyskany z ich wnętrza potwierdzał obecność funkcjonowania w tym miejscu w ciągu IV i V okresu epoki brązu, osady grupy środkowopolskiej kultury łużyckiej. Dwa obiekty jedynie powiązano ze średniowieczem. W grupie znalezisk identyfikowanych z kulturą łużycką znalazło się 12 jam, których materiał zabytkowy odbiegał od pozostałego. Cechowała go odmienna strona technologii wykona-



nia, stylistyka form naczyniowych oraz detali dekoracyjnych. Porównując z okresem poprzednim tj. z późną epoką brązu, ceramikę cechuje niemal ascetyczny zestaw wątków zdobniczych, ograniczony prawie wyłącznie do talerzy. Dominuje dekoracja paznokciowa oraz odciski plecionki. Pojedynczo odnotowano element nalepianego guza. Technologia produkcji prezentowanych naczyń odbiega w niewielkim stopniu od ukształtowanego w epoce brązu warsztatu ceramicznego grupy środkowopolskiej. Analizowany zbiór cechuje wykorzystywanie do produkcji gliny starannie wyrobionej, schudzonej znormalizowanej wielkości granitowym tłucznem bądź gruboziarnistym piaskiem. Część form (tj. esowate garnki) nawiązuje tektoniką do okresu poprzedniego, lecz całkowicie odróżnia je strona technologiczna. Chropowacenie naczyń zasobowych staje się delikatniejsze. Obejmuje ono całą powierzchnię zewnętrzną garnków, choć spotkać można okazy, u których w górnej partii, tuż pod partią wylewu chropowacenie nie występuje, a powierzchnia zachowuje naturalną fakturę gliny. Wewnętrzna strona naczyń (poza talerzami) wykończona jest czarną angobą. Większość zaprezentowanych wyżej cech (duża frekwencja talerzy, dekoracja

paznokciowa, workowate i jajowate formy naczyń garnkowatych) odpowiada wczesnożelaznej stylistyce ogarniającej wszystkie grupy kultury łużyckiej. Zgromadzony na osadzie Łódź Gorzew, stan 2, materiał zabytkowy nie posiada cech charakterystycznych wyłącznie dla jednej jednostki kulturowej omawianego okresu. W tym kontekście pytanie dotyczące przynależności taksonomicznej prezentowanej jednostki osadniczej pozostaje chwilowo bez odpowiedzi. Krótka charakterystyka sytuacji osadniczej na obszarze aglomeracji łódzkiej we wczesnej epoce żelaza, może w pewnym stopniu, przybliżyć rozwiązanie zaistniałego problemu badawczego. Po okresie wzmożonej dynamiki osadniczej kończącej się wraz z końcem epoki brązu, następuje regres. Wraz z odrodzeniem się kultury łużyckiej w okresie halsztackim D, następuje "wypromowanie" obcej dla tych ziem stylistyki związanej z ugrupowaniem wschodniowielkopolskim. W dalszym ciągu przedmiotem dyskusji pozostaje charakterystyka osadnictwa łużyckiego ziem Polski środkowej pomiędzy końcem epoki brązu a okresem halsztackim D. Część badaczy ujmuje omawiany przedział czasowy mianem "C-D", co jednocześnie w określony sposób maskuje niedoskonałości datowania, wynikającego z nie wystarczającej, do rozstrzygnięcia problemu, zasobności źródeł, a przede wszystkim precyzyjnych datowników. Pozostaje to w sprzeczności z lansowanymi teoriami głoszącymi dynamiczny charakter przemian osadniczych wówczas mających miejsce. Z jednej strony, z końcem epoki brązu, obserwowane jest nasuwanie się zasięgu osadnictwa grupy górnośląsko-małopolskiej w kierunku północnym, z drugiej ekspansja "wschodniowielkopolska" w okresie halsztackim D, pod koniec którego to okresu dołącza do niej nurt migracyjny wiązany ze społecznościami kultury pomorskiej. A zatem dysponujemy potencjalnie 3 prądami kulturowymi, rytmicznie następującymi po sobie, a jednocześnie nie potrafimy procesu tego, w skali zjawisk środkowopolskich, opisać w postaci sekwencji chronologiczno-osadniczych. Braki ujawniają się również na poziomie nazewnictwa jednostek kulturowych. W przypadku opisywanych materiałów z osady Łódź Gorzew, stan. 2 musimy odnieść się do analogii

z pozostałych stanowisk odkrytych w najbliższej okolicy, a datowanych ogólnie na początki epoki żelaza. Najważniejszym źródłem jest tu kompleks Łódź Ruda Pabianicka, stan. 1 – Łódź Dubois, stan. 190 (tj. cmentarzysko i osada), głównie zaś pochodzące stąd materiały ceramiczne. Ujawniają one wpływy których pierwowzorem są społeczności grupy wschodniowielkopolskiej. W literaturze analogiczne zjawiska (np. cmentarzysko w Zalewie) znamionują stylistykę okresu halsztackiego D oraz początków okresu lateńskiego. Najnowsze wyniki badań nad chronologią grodziska biskupińskiego pozwalają na przyjęcie dla niej starszej metryki sięgającej okresu halsztackiego C. W materiałach z obszaru Polski środkowej ceramika wykonana w stylistyce wschodniowielkopolskiej współwystępuje często z materiałami, których “wschodniołużycką” cechą było między innymi pojawienie się naczyń zdobionych rzędem otworków pod krawędzią. Wątek ów kojarzony jest z okresem halsztackim D oraz wczesnym okresem lateńskim. Wschodniowielkopolska maniera głęboko rytych, zgeometryzowanych wątków zdobniczych, w świetle wyników badań na “odkrywcę szczercowskiej”, należy uznać za ograniczoną chronologicznie do końca okresu halszta-





ckiego, a w okresie wczesnolateńskim stanowi ona już zjawisko unikatowe. Nie można przy tej okazji zakładać, iż jej obecność w materiale zabytkowym oznacza coś więcej niż szeroko rozpropagowaną stylistykę ponadkulturową. Początki okresu lateńskiego, na obszarze Polski środkowej przyniosły ze sobą zubożenie wachlarza wykorzystywanych kanonów zdobniczych przy jednoczesnej popularności dekoracji w postaci otworków pod krawędzią. W tym kontekście zgromadzony materiał zabytkowy z osady Łódź Gorzew, stan. 2 nie przystaje do żadnego z prezentowanych wyżej schematów. Można jedynie przypuszczać, iż jest to wynikiem odmiennej pozycji chronologicznej stanowiska a także innej przynależności kulturowej. Początki okresu lateńskiego przynoszą ze sobą nie do końca dotąd wyjaśnione przemiany kulturowe na wschodnich rubieżach kultury łużyckiej. Ich echem jest rozpowszechnienie się w środowisku wschodnich grup kultury łużyckiej omawianej wyżej dekoracji ażurowej. Zasięg jej występowania odpowiada z grubsza rubieży występowania stylistyki wschodniowielkopolskiej. Obszar ugrupowania górnośląsko-małopolskiego stanowiący strefę penetracji obydwu stylistyk, przyjmował je w sposób nie jednolity, w dalszym ciągu zachowując jednak własną tożsamość kulturową. Taką właśnie sytuację, moim zdaniem, ukazują materiały z badań ratowniczych na Kopalni Szczerców, gdzie ujawniają się zarówno elementy wschodnie (plastyczna listwa pod krawędzią i ażur) oraz wschodniowielkopolskie (głęboko ryty ornament geometryczny). Podobną strefą przemieszania, lecz rozgrywającą się na obszarze grupy środkowopolskiej, obserwujemy w okolicach Łodzi. Przykładem tego są cmentarzyska w Łodzi Rudzie Pabianickiej, stan.1 oraz Zalewie, a ponadto osada w Łodzi Dubois, stan. 190. Tu zdecydowanie przeważają elementy wschodniowielkopolskie. Na północ od Łodzi można natomiast mówić o przeżywaniu się miejscowych środkowopolskich tradycji kulturowych czego przykładem może być cmentarzysko w Piaskach Bankowych. Osada w Łodzi Gorzewie, stan. 2 reprezentuje sobą horyzont osadnictwa łużyckiego pozbawionego zarówno cech wschodniowielkopolskich oraz późnych "wschodniołużyckich". Pozwala to zakła-

dać, iż odpowiada ono osadnictwu wcześniejszemu, właśnie z początków epoki żelaza, a zatem z okresu halsztackiego C bądź z początków D. Bliższe ono jest stylistyce górnośląsko-małopolskiej i jak sądzę omawiane materiały odpowiadają, krótkiemu przedziałowi czasu, w którym omawiane ugrupowanie przesuwało zasięg swojego osadnictwa ku północy. W zgromadzonym zbiorze ceramiki na uwagę zasługuje obecność górnej partii naczynia zasobowego z obiektu nr 108. Posiada ono typową dla epoki brązu esowatość. Schropowana powierzchnia zewnętrzna została również w sposób późnobrązowy obmazana ręką, lecz zabieg ten pozostawił po sobie ledwo widoczne smugi. Podstawowe różnice uwidaczniają się na poziomie technologii. Gлина użyta do wykonania opisywanej formy posiada recepturę "wczesnożelazną" tj. zawiera dużą ilość starannie wymieszanego w glinie średnioziarnistego tłucznia. Wewnętrzna powierzchnia naczynia jest czerniona, co również odpowiada młodszym odcinkom rozwojowym kultury łużyckiej. Chropowacenie jest zdecydowanie delikatniejsze albowiem angobująca warstwa gliny schudzona została drobnym tłuczniem. Na wysokości wylewu znajdował się plastyczny guz. Sądzić należy, iż omawiana forma stanowi łącznik pomiędzy tradycjami garncarskimi późnobrązowymi (ujawniającymi się w tektonice) a wczesnożelaznymi (czytelnymi w technologii). Może to wskazywać na chronologię opisywanego zbioru odpowiadającą początkom okresu halsztackiego. Przebadane obiekty z omawianego stanowiska tworzą niewielką koncentrację jam ulokowanych na kulminacji wyniesienia i stanowią wynik epizodycznego zasiedlenia okolicy. W odległości około 500 m znajduje się kolejna osada omawianego okresu – Gorzew, stan. 4. Tu zdecydowanie ujawniają się materiały noszące piętno stylistyki wschodniowielkopolskiej, a które wyznaczają kolejny horyzont zasiedlenia okolic Łodzi, datowany już na okres halsztacki D. Punktem centralnym jest wówczas cmentarzysko w Łodzi Rudzie Pabianickiej, stan. 1, wokół którego pojawia się sieć osad – Łódź Dubois, stan. 190, Łódź Dubois/Zatokowa, stan. 212 oraz Gorzew, stan. 4. Prezentowana koncepcja ma charakter roboczy, a skromność zgromadzonej bazy źródłowej nie pozwala na kategoryczne przyjęcie

powziętych wniosków. Podpowiedzią, w miarę prostą do uzyskania, może być odwołanie się do stanowisk dotąd niepublikowanych. Największe znaczenie wydaje się posiadać cmentarzisko kultury lużyckiej w Okołowicach. Prezentacja części materiałów jaka się dotąd dokonała ukazuje cmentarzisko użytkowane w okresie halsztackim. Wskazuje na to obecność żelaznych szpil z łabędzią szyjką. Na omawianym cmentarzysku nie stwierdzamy obecności cech wschodniowielkopolskich tak w końcu masowo pojawiających się na nekropolach w Łodzi Rudzie Pabianickiej, stan. 1 oraz Zalewie. W grę zatem wchodzi społeczność o odmiennej przynależności chronologiczno-kulturowej. Dodać w tym miejscu wypada, iż odkryte na osadzie Łódź Gorzew, stan. 2 ślady dowodzą krótkotrwałego osadnictwa. W grę wchodzić mogło pojedyncze zabudowanie. Kolejne, analogiczne ślady osadnictwa znajdujemy na stanowisku Łódź Gorzew 191. Tu również odnotowano obecność niewielkiej koncentracji obiektów halsztackich (nie wschodniowielkopolskich). Całość pozyskanych danych dowodzi rozproszonego charakteru ówczesnego osadnictwa, opartego o rozrzucone w dolinie Neru pojedyncze domostwa. Ten epizod osadniczy był stosunkowo krótkotrwały i już w okresie halsztackim D zdominowany został przez ludność znajdującą się pod wpływem stylistyki ceramicznej identyfikowanej z ugrupowaniem wschodniowielkopolskim. Słowem należy wspomnieć o materiale zabytkowym pozyskanym z wypełnisk omawianych obiektów, których przynależność chronologiczno-kulturowa jest odmienna. W przeważającej części są to ułamki ceramiki grupy środkowopolskiej, stanowiących "naturalną" przymieszkę będącą spuścizną po istniejącej w tym miejscu w IV i V okresie epoki brązu osadzie. W przeważającej części są to nie charakterystyczne fragmenty. Wyróżniono ułamki naczyń zasobowych o esowatym profilu, o powierzchni całkowicie schropowawanej (poza partią przydenną) oraz ceramiki gładkościennej zdobionej ukośnymi żłobkami. W mniejszym stopniu odnotowano relikty jeszcze starszego osadnictwa. Znajduje się wśród nich grocik wykonany z krzemienia bałtyckiego. Prawdopodobnie element ten identyfikować należy z wyróżnionym na stanowisku

horyzontem trzcynieckim i konstantynowskim. Ułamki naczyń trzcynieckich stanowią śladową ilościowo domieszkę wśród całości zbioru ceramicznego z omawianego stanowiska. Można przyjąć również, iż grocik stanowi przykład tzw. "zagubionej strzały", a której wytwórcą była ta właśnie społeczność wczesnobrązowa. Zbliżony do omawianego grocik pochodzi również z pobliskiej Łodzi Grzywieńskiej, stan. 323. Pozostałe dwa wyroby krzemienne wiązać można zarówno z osadnictwem wczesnobrązowym jak i wczesnymi fazami rozwojowymi kultury łużyckiej. Waler opisywanych znalezisk z Łodzi Gorzeńska, stan. 2 polega na tym, iż mamy tu do czynienia z osadą w całości przebadaną. Niestety całkowity brak funduszy oraz interwencji konserwatorskich wpłynął na w sumie ograniczoną skalę podjętych przedsięwzięć wykopaliskowych. Pozostała część pozyskanej bazy materiałowej przygotowywana jest do kolejnych etapów publikacji.

POECI ŁODZI

## JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI



Józef Henryk Wiśniewski urodził się 9. 01. 1931 roku w Łodzi. Jest mgr filologii polskiej, pisarzem i do niedawna dziennikarzem. Jako student debiutował na łamach tygodnika „Wies”, w 1953 roku reportażem literackim. W czasie studiów był przewodniczącym sekcji „Twórczości Oryginalnej” na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Należeli do niej m.in. Jarosław Marek Rymkiewicz, Bohdan Drozdowski, Eugeniusz Zarzycki i inni pisarze, a także późniejsi uczeni, jak choćby prof. dr Józef Bachórz i inni. Od 1955 roku był przewodniczącym Koła Młodych przy Ł/O ZLP, zaś po wydaniu pierwszych książek - członkiem tegoż oddziału, gdzie bywał także wybierany do władz, jako członek zarządu. Prowadził ożywioną działalność literacką i publicystyczną. Pracował jako dziennikarz m. in. w „Sztandarze Młodych”, „Dzienniku Łódzkim”, „Życiu Pabianic”, „Ziemi Łęczyckiej”, był naczelnym redaktorem „Głosu Włókniarskiego”, zaś od 1978 r. - pracownikiem redakcji literackiej w Łódzkiej Rozgłośni PR. Józef Henryk Wiśniewski był wielokrotnie nagradzany w konkursach literackich. W 1960r. otrzymał nagrodę Ogólnopolskiego Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu za „Blues o wielkim przeciągu”. W jury zasiadali wte-

dy czołowi polscy pisarze, m. in. Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś i inni. W 1961 r. redagował awangardową jednodniówkę literacką grupy „nowa linia” noszącą tytuł „Z tej strony”, na której łamach wypowiadali się tak znakomici artyści, jak Julian Przyboś, Jerzy Nowosielski, Antoni Starczewski i wielu innych. Swego czasu recenzowano ją bardzo pozytywnie w kilkudziesięciu polskich pismach, a także za granicą. Józef Wiśniewski był też współorganizatorem „Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji” w Łodzi. Ze swymi utworami literackimi występował w radiu i telewizji, a także w pismach literackich całego kraju. Współpracował z tygodnikiem „Odgłosy” i kwartalnikiem „Osnowa” w Łodzi. Opublikował szereg prac z zakresu krytyki literackiej, w tym eseje o twórczości m. in. Tadeusza Różewicza i wielu pisarzy z łódzkiego środowiska literackiego. Wspólnie ze środowiskiem plastycznym wydał antologię literacko - plastyczną pt.: „Wiersze i krajobrazy”. Jako dziennikarz patronował wielu inicjatywom kulturalnym, głównie na terenie województwa łódzkiego. Wraz ze Stanisławem Czernikiem był współtwórcą Konkursu Literackiego „O Puchar Rubinowej Hortensji” w Piotrkowie Trybunalskim, konkursu, który przez kilkanaście lat był kuźnią młodych talentów literackich Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Współdziałał też ze środowiskiem akademickim w organizowaniu imprez i konkursów literackich. Współpracował z Jerzym Dunin - Borkowskim, który zostawił państwu w spadku słynne Muzeum w Końskich (stanowiące filię Muzeum Narodowego), a także z prof. dr Tadeuszem Olejnikiem w powstaniu Muzeum w Wieluniu.

Jest autorem następujących tomów wierszy:

- „Miłości nasze” - 1960, Wydawnictwo Łódzkie
- „Między tobą a mną” - 1964, Wydawnictwo Łódzkie
- „Przypowieść” - 1972, Wydawnictwo Łódzkie
- „Wiersze i krajobrazy” - 1973, Wydawnictwo ZPAP
- „Czuwanie” - 1979, Wydawnictwo Łódzkie
- „Cząstka” - 1987, Podziemne Wydawnictwo „Przedświt”, Warszawa
- „Chleb” - 1988, Wydawnictwo Łódzkie
- „Morenowe gniazdo” - 1993, Wydawnictwo Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
- „Tam i u siebie” - 1997, Wydawnictwo „Biblioteka” w Łodzi
- „Wiano” - 1997, Wydawnictwo „Biblioteka” w Łodzi
- „Opus continuandum” /w przygotowaniu/ Wydawnictwo AULA w Warszawie
- „Plon nocy” /w przygotowaniu/

Józef Henryk Wiśniewski jest także autorem książek prozatorskich:

- „Zdaje się, że Franek wyszedł” - zbiór opowiadań; 1970, Wydawnictwo Łódzkie
- „Szkic do sagi” - powieść; 1981; Wydawnictwo Łódzkie
- „Polegli - niepodlegli” - powieść /w przygotowaniu/

## WIERSZ

Plemniku biegły poszukujesz jaja  
- kuli ziemskiej przez śnione kontynenty  
po śladach ludzi i zwierząt i drzew  
do źródła płyniesz poprzez rzekę snu  
masz bytowanie poza bytu grodzią  
jesteś sam w sobie początkiem i końcem  
chciałbyś być nocą i chciałbyś być słońcem  
chciałbyś być naraz bytem i niebytem  
miłością czasu który nie ocala  
być jednocześnie poza wszelkim czasem  
- podświadomością i nadświadomością  
czuję jak zbliżasz się i jak oddalasz  
ale sekretne twoje zaistnienie  
i niezbadane są już twoje drogi  
jesteś jak dziecię z miłości poczęte  
co żyje tylko według własnej woli

*Józef Henryk Wiśniewski*

\*\*\*

Czekam nad kartką białą  
jak twoje usta  
po operacji  
w oparach  
eteru i krwi  
całej szpitalności  
w opalach  
czekam  
i czuję  
pulsujące źródelko  
w mojej dłoni  
dłoń syna  
który właśnie  
ma się  
narodzić

*Józef Henryk Wiśniewski*



MAGDALENA  
WOJCIECHOWSKA

## PIOTRKOWSKA W SŁOŃCU

Łódź nie jest najpiękniejszym miastem. To przewrotne zdanie, bo jako łodzianka powinnam wykazywać tzw. patriotyzm lokalny. A jednak jest coś w tym mieście. Coś, czego nie znalazłam wśród słonecznych ulic Portugalii, chłodnych, na przestrzał otwartych wrzosowisk Szkocji czy w niepowtarzalnej atmosferze placu św. Marka w Wenecji. Łodzi nie byłoby bez Piotrkowskiej i na odwrót. Jest duszą tego miasta, bijącym sercem, arterią handlu, rozrywki i biznesu. Mekką dla wszystkich, którzy tu przyjadą. To tu w upalne dni puby wystawiają tak zwane Ogródki. Tu wreszcie w upalną noc, spóźniony przechodzień przystanie by z zachwytem spojrzeć na zwieńczenie ulicy, gdzie kaskady światła wydobywają z cienia królewsko piękną bryłę pałacu Poznańskiego. Kiedy tak spaceruję po Piotrkowskiej w blasku wiosennego słońca, zastanawiam się czy śpieszący do swoich niewątpliwie ważnych spraw łodzianie, potrafią na chwilę się zatrzymać i spojrzeć trochę wyżej niż wymagają tego marketingowe chwytły sklepowych wystaw. Stoję w smudze wiosennych promieni i z zadartą do góry głową podziwiam bogactwo zdobień, stylów, orna-

mentów, które kłębią się wysoko, na fasadach kamienic. To prawdziwa eksplozja architektonicznego eklektyzmu choć niesłusznie Piotrkowską zwą największym zabytkiem secesji w Europie. A wszystko zaczęło się gdzieś około 1820 r. kiedy władze Królestwa Polskiego włączyły Łódź do grupy osad przemysłowych. Tę nieoczekiwaną szansę na rozwój, miasto wykorzystało skrupulatnie. Wytyczono granice Nowego Miasta, gdzie budować mieli domy zagraniczni sukiennicy. W centrum założono rynek, potem wybudowano ratusz i kościół. Po 1824 r. kreślono już plany dalszej rozbudowy. Jej położenie określało koryto rzeki Jasień i bieg traktu piotrkowskiego, który wówczas nazwano ulicą Piotrkowską. Łączyła Stare Miasto z nowymi terenami przemysłowymi gdzie wytyczono dla tkaczy jednakowe parcele i wzniesiono na nich parterowe domy. Dzisiejsze jakże szczególne w swej różnorodności oblicze architektoniczne ulicy ukształtowane zostało dopiero w II połowie XIX w. a częściowo na początku XX w. Obecna zabudowa powstała w szczytowym okresie rozkwitu włókienniczej metropolii, kiedy Piotrkowska była centrum wielkoprzemysłowego miasta. Tu znajdowały się wszystkie reprezentacyjne obiekty: banki, hotele (Polski, Victoria, Grand), teatry, kina, restauracje, towarzystwa kredytowe, wydawnictwa (Kurier Codzienny, Rozwój) oraz zakłady przemysłowe i kilka kościołów. Wszystko to co nowe inaugurację miało na Piotrkowskiej: pierwsze latarnie, pierwsze tramwaje, pierwsza apteka. Wspaniale kamienice projektowali znani łódzcy architekci: Franciszek Chełmiński, Hilary Majewski, Dawid Lande. Kiedy dokładnie przyjrzeć się kamienicom Piotrkowskiej, wyraźnie widać, że o charakterze stylu poszczególnych domów decyduje często wyłącznie charakter fasady. Poza nią, wszystko inne jest niemal bliźniacze: kształty brył, rozkład przestrzenny, dyspozycje chłodnych wnętrz i krętych korytarzy. Na tej dziwnej w swej różnorodności ulicy, znajdziesz ślady stylu, który przypomina kulturę tak odległą jak helleńska. To bardzo dziwne, ale echa klasycyzmu znajdziemy w elewacjach kilku kamienic: fasada domu pod nr. 13 - o prostym, czytelnym podziale, zwieńczona klasycznym belkowaniem i trójkątnym szczytem. Ten sam styl rozpoznawalny jest pod nr. 44 i 45. Czy to nie dziwne zobaczyć w przemysłowej

Łodzi takie formy i ornamenty jakie mają budowle słonecznej Italii? Ale nie na tym koniec niespodzianek. Wiele bowiem kamienic posiada zdobienia, które powinny dawno zniknąć w mrokach wieków. A jednak są i pełnym repertuarem form gotyckich zdobią detalami. Bo wdzięk i urok poszczególnych domów często tkwi właśnie w szczegółach. Dlatego stoję i patrzę z zachwytem na ostry łuk kształtów okiennych i ich obramowań, zwieńczenia o krawędziach dekorowanych żabkami, kwiatonami, arkadowe fryzy i hełmy ze strzelistymi iglicami. Wszystko jest tu na Piotrkowskiej, trzeba tylko zawiesić wzrok tuż poniżej pędzących chmur. To zadziwiające, że jeśli gdziekolwiek spotykałam się z informatorami o Łodzi, wszędzie czytałam, że miasto ma największą ilość zabytków secesji w Europie. Nie jest to prawda, bo kiedy secesja zawitała na Piotrkowską, ulica była już w zasadzie ukształtowana przez formy architektoniczne XIX w. Za chwilę do nich wrócę, ale najpierw uporam się z secesją. Jest jej niewiele na Piotrkowskiej, bo w ciasnej zabudowie ulicy nie było zbyt wiele miejsca na nowy styl. Kiedy przyjrzeć się bliżej kamienicom pod numerem 29, 43, czy 128 okaże się, że trudno im ukryć drobne oszustwo, by dawny wygląd zmienić na modny, stylowy kostium. Secesyjne fronty nie są pierwotnym obliczem, a jedynie efektem powierzchniowej przebudowy, ograniczonej zresztą do dekoracji fasad. Często jest to nawet kompilacja dawnych motywów z nowymi. Tak właśnie wygląda dekoracja kamienicy pod numerem 43. Głównym motywem ornamentacyjnym jest konar drzewa z gałęziami i z liśćmi. Stanowi obramowanie i dzieli jednocześnie otwór okienny. Z kolei dom o numerze 128 ma ciekawą dekorację w partii dachu, miękką, falistą linię obramowania na żłobkowanej fakturze powierzchni. Tesknotę za konstrukcją hal targowych, dworców i pawilonów wystawowych widać wyraźnie w budynku numer 98, gdzie zmieniono kształt okien, powiększając ich otwór i zamykając koszowym łukiem. Kiedy nadchodzi rok 1901, nieubłaganie zbliża się koniec secesji, która staje się coraz bardziej oszczędna, geometryczna i bardziej płaska. To pierwszy krok w kierunku konstruktywistycznej architektury XX wieku. Ale to już jest temat na inną opowieść.

Twórcy fasad eklektycznych niezwykle szczerze ozdabiali swoje dzieła często nie pozostawiając ani jednego wolnego miejsca. Wystarczy przyrzeć się kamienicy pod numerem 12. Dekoracja pokrywa wszystko włącznie z dachem (mansardy, lukarny), hełmami wieżyczek i metalowymi balustradami kalenicy dachu. Bogactwo zdobień jest tak ogromne, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. Może fryz arkadowy, wić roślinną czy girlandę, a może motyw fali i maskarona. Różnorodne są też kształty okien: łuki, półkola i kosze, a wszystko w jednym budynku! Zresztą tak naprawdę pojedynczy detal nie ma znaczenia. Liczy się efekt całościowy. Przesyt dekoracji jest zamierzony, miał dawać wrażenie bogactwa, czasami bardzo mylące bo nie było zależności z komfortem wnętrza. Nikt się tym jednak nie martwił bo większość obywateli miasta nie miała wstępu na salony, tak więc właśnie fasada była wizytówką właściciela domu. Jeśli kamienica pod numerem 12 nie przypadła Ci do gustu drogi





foto K. Kaszuba

wędrowcze, proponuje przyjrzeć się innej np. pod numerem 53. Co powiesz na kostkowe gzymsy, będące szlakiem spacerowym szarych gołębi lub na motyw wspornika z postacią atlanta? A może zadowoli twój gust i smak dom o numerze 86, o bardzo ciekawej przeszłości, bowiem mieściła się w nim siedziba i drukarnia gazety *Lodzer Zeitung*? Spójrz, w wykuszu stoi rzeźba wynalazcy druku, Jana Guttenberga. To motyw o wiele rzadziej spotykany wśród łódzkich kamienic niż girlandy, łuki czy kimiony. Pełną rzeźbą mogą szczycić się nieliczne kamienice, do nich należy ta przy Piotrkowskiej 104. W zwieńczeniu budynku umieszczono alegoryczne postacie trzech kobiet, które symbolizują przemysł i handel – dwie gałęzie będące źródłem bogactwa tego miasta. Czy nie masz dość mojej gadaniny miły wędrowcze? Nie? Zatem stańmy na chwilę i spójrzmy przed siebie. Co widzisz oprócz ostrego słońca wylewającego się kaskadami na ulicę, kryształowo czystych wielkich sklepowych witryn, rozedrganego tłumu przechodniów i sunących szybko rikszy? Już widzę, że wpadły Ci w oko, chciałbyś zasiąść wygodnie

na miękkim siedzeniu i nie oddzielony żadną szybą chłonąc życie miasta. Rikszę mijają się w pędzie, pełne uśmiechów pasażerów, nie patrz na nie z taką zachłannością, za chwilę zabiorą i Ciebie. Czy wiesz, że gdyby Piotrkowską połączyć z ulicami Zgierską i Pabianicką mielibyśmy w Łodzi najdłuższą w linii prostej ulicę w Europie? Ale wtedy nie byłaby to już ta Piotrkowska, którą właśnie pokochałeś. To Ty, nie ja nieśmiało dotknąłeś dłonią nos Juliana Tuwima, bez pośpiechu gładziłeś klawiaturę fortepianu Rubinsteina, choć tak poufałe gesty wobec tych rzeźb przynależą mieszkańcom tego miasta. Przyznaj się, że Piotrkowska Cię uwiodła, jest przecież rodzaju żeńskiego! Jest pomostem między starym i nowym, historią i współczesnością mocno wplecioną w pejzaż XIX wiecznej ulicy. Jest świadectwem minionej epoki, zabytkiem urbanistyki a jednocześnie centrum pulsującego życia miasta. To prawda, że niektóre kamienice mocno naruszył czas, a odpadające tynki odsłaniają wstydliwą nagość budowli. To prawda, że są takie, co straciły urodę, bo przebudowano im parterowe elewacje dla celów handlowych. Ale prawdą jest też, że wiele z nich pieczołowicie odrestaurowano by mogły znów pysznić się swoim wyglądem i znów przyciągać zachwycone spojrzenia. Patrz: właśnie podjeżdża Twoja riksha. No przyznaj, czy widziałeś piękniejszą ulicę?

**CZERWONO  
BIAŁO  
CZERWONI**

Po pierwszej wojnie światowej sport w naszym mieście odradzał się dzięki działaniom organizacji młodzieżowych. Na Widzewie, robotniczej dzielnicy szczególnie objętej kryzysem ekonomicznym, bardzo aktywna była Polska Partia Socjalistyczna. To jej działacze 24 stycznia 1922 roku zwołali walne zgromadzenie założycielskie Robotniczego Towarzystwa Sportowego WIDZEW. Do powołanej wówczas sekcji piłkarskiej i lekkoatletycznej masowo zaczęła wstępować łódzka młodzież. Już po dwóch miesiącach po powstaniu Towarzystwa, rozegrano pierwszy mecz piłkarski. Rezerwy ŁKS-u pokonały na własnym boisku debiutującą drużynę z Widzewa 4:2. Jeszcze w tym samym roku „widzewiacy” rozpoczęli rozgrywki ligowe w okręgowej klasie C. Ich pierwszymi przeciwnikami byli lokalni rywale, m.in. Grono Miłośników Sportu, Stowarzyszenie Sportowe Rapid, rezerwy Żydowskiego KS Hakoah, Klub Turystów i Wojskowy KS. RTS Widzew zdobył mistrzostwo i awansował tym samym do klasy B. Tak rozpoczęła się długa i wspinała droga tego klubu do licznych sukcesów w kraju i Europie. Dwa lata później Widzew awansował już do klasy A.



Nic dziwnego, że niebawem jego zawodnicy zaczęli występować także w spotkaniach międzynarodowych. Jan Nurczyński, Stefan Strzelczyk, Władysław Pudlarz i Tadeusz Berłowski znaleźli się w reprezentacji Polski na „robotniczej” olimpiadzie w Pradze w 1927 r. Niestety cały czas mecze ligowe piłkarze klubu z Widzewa rozgrywać musieli na wynajmowanych boiskach m.in. od Klubu Turystów przy ul. Wodnej, ŁTS-G przy ul. Zakątnej lub od WKS-u przy placu gen. Józefa Hallera. Dopiero w marcu 1930 r. odbyło się uroczyste otwarcie własnego boiska przy ul. Rokicińskiej 28 B. Po przecięciu taśmy przez prezydenta Łodzi - posła Bronisława Ziemięckiego, rozegrano tam inauguracyjny mecz ze Skrą Warszawa. Pierwsze dziesięciolecie działalności klubu tak oto w 1932 r. podsumował tygodnik „Raz Dwa Trzy”: „Widzew to młody, ambitny materiał sportowy. Ciągłe uzupełnia szeregi pierwszej drużyny młodymi talentami, a więc ma ona zapewnioną świetną przyszłość”. W tym też roku przyszło pierwsze mistrzostwo Polski. Na razie tylko



wśród klubów robotniczych. Kilku sezonów przed wybuchem II wojny światowej RTS Widzew nie może zaliczyć do udanych. W 1938 r. zespół rozpoczął rozgrywki znów w niższej klasie B. Było to spowodowane odejściem czołowych piłkarzy do innych klubów. Nie było tu mowy o astronomicznych kontraktach, które na stałe wpisały się ostatnio w obraz światowego sportu. Kluby fabryczne czyli np. WIMA, KP Zjednoczone czy Niciarnia przyciągały najlepszych piłkarzy oferując im... atrakcyjną pracę zarobkową w fabryce. Utalentowani juniorzy, którymi uzupełniano skład pierwszej drużyny, nie byli jednak w stanie grać na takim poziomie jak ich starsi koledzy. Po wojnie, już w sierpniu 1945 r. RTS Widzew wziął udział w turnieju o puchar wicewojewody Stefana Szudzińskiego. Tylko trzy boiska w Łodzi nadawały się wówczas do rozgrywek sportowych. Widzew korzystał wtedy ze stadionu WIMY przy Armii Czerwonej 80. Od 1949 r. tereny te stały się własnością RTS, a na ich starym boisku powstała chłodnia miejska. Klub stawał się coraz bardziej znany. Na mecze przyjeżdżali kibice nawet z Piotrkowa i Tomaszowa. 30 czerwca 1946 r. aż sześć tysięcy widzów chciało na żywo obejrzeć na stadionie przy Alei Unii pojedynkę ŁKS-u i Widzewa. „Dziennik Łódzki” zaczął nawet podawać, co było w tamtych czasach nowością i rzadkością, skład RTS-u. W następnej edycji kolejny sukces. Były to wygrane eliminacje międzyokręgowe o wejście do reaktywowanej I ligi. Niestety w eliminacjach krajowych czekały już przeszkody nie do przejścia w postaci Ruchu Chorzów i Legii Warszawa. Chorzowianie z Gerardem Cieślikiem na czele dwukrotnie pokazali swoją klasę gromiąc naszych piłkarzy 11:1 i 9:1. Legia u siebie wygrała 3:1, ale w Łodzi uzyskała tylko remis 2:2. I wtedy właśnie, w 1947 r. rozpoczęła się trwająca do dziś wojna i nienawiść kibiców. To na ten mecz przyjechali z Warszawy najwyżsi działacze ministerstwa sportu. Nic więc dziwnego, że przegrywający do przerwy 0:2 Legioniści próbowali wpłynąć na wynik meczu oskarżając sędziego o wzięcie łapówki. Po meczu milicja konna z wielką trudnością uporała się z niezadowolonymi kibicami. Do liczącej 14 drużyn ekstraklasy udało się dostać w 1948 r., kiedy to Widzew zainaugurował rozgrywki tego sezonu z Lechem Poznań. Goście przeważali przez

cały mecz. Gospodarze doprowadzali do wyrównania, a gdy w ostatnich sekundach Henryk Marciniak strzelił gola na 4:3 stadion oszalał z radości. Niestety kolejne mecze były o wiele słabsze i po jednym sezonie Widzew opuścić musiał „klasę państwową” i ze zmiennym szczęściem występował w II lidze. Jeszcze gorszy dla Łodzian okazał się rok 1952, kiedy to ŁKS spadł do drugiej, a Widzew do trzeciej ligi. Trzy lata później była już tylko klasa A i podupadający finansowo klub. „Głos Robotniczy” nie pozostawiał żadnych złudzeń pisząc, że „...stadion zarósł zielskiem, a na boisku pasą się kozy, strzelnica zamieniła się w ogród warzywny, a na kortach pojawiła się trawa kilkakrotnie bujniejsza niż na Wimbledonie”. W 1958 r. wydaje się, że klub najgorszy okres ma już za sobą, ponieważ zarząd RTS Widzew decyduje o budowie pawilonu sportowego i ogłasza o posiadaniu dwunastu sekcji i 900 członków. Nie zapominajmy jednak, że ten rok jest rokiem lokalnego rywala - ŁKS-u, który świętował 50-tą rocznicę powstania i Mistrzostwo Polski. Prawdziwy renesans nastąpił dopiero 10 lat później, kiedy to we władzach Widzewa pojawili się Stefan Wroński i Ludwik Sobolewski. Z IV ligi okręgowej po kilku sezonach awansowano do ekstraklasy. Było to także niewątpliwą zasługą nowego trenera Leszka Jezierskiego. W drużynie zaczęli pojawiać się też nowi piłkarze, którzy rozpoczęli tworzenie wielkiego Widzewa. Byli to obecny kierownik drużyny Tadeusz Gapiński, Paweł Janas, Andrzej Grębosz czy Zdzisław Rozborski. Jak się później okazało najlepszym jednak transferem było pozyskanie z Zawiszy Bydgoszcz Zbigniewa Bońka. Pierwszy sezon w ekstraklasie Widzew ukończył na wysokim jak na beniaminka piątym miejscu. Rok później - w 1977 był już wicemistrzem i reprezentował nasz kraj w rozgrywkach o puchar UEFA. Na drodze jako pierwszy stanął nie byle kto, bo sam Manchester City. Nasi stremowani i zagubieni piłkarze po pięćdziesięciu minutach meczu przegrywali 0:2. Jednak słynny widzewski charakter pomógł odmienić losy meczu. Najpierw kontaktową bramkę zdobywa Boniek. Łądujemy z ojcem przed telewizorem na kolanach. Później powtarzamy to jeszcze raz, bo Boniek po raz drugi zmusza angielskiego bramkarza do kapitulacji. Jest 2:2. W Łodzi bezbramkowy remis daje nam awans. Widać, że w łódzkiej

drużynie drzemią ogromne możliwości. W latach 1979 - 80 zdobywa ona kolejne wicemistrzostwo Polski, a w pucharach pokonuje Manchester United i Juventus! W roku 1981 po raz pierwszy widzowi sięgają po tytuł mistrza kraju i to bez „zawieszonych” za „afery na Okęciu” podstawowych piłkarzy Bońka i Młynarczyka. Ochrypnięci i zmoknięci czekaliśmy na trybunach na brakujący punkt w ostatnim meczu z Zagłębiem Sosnowiec. Obie drużyny wyraźnie grały na remis, ponieważ taki rezultat zadawał także naszym przeciwników broniąc ich przed opuszczeniem ekstraklasy. Następnego dnia w „Dzienniku Łódzkim” pamiętam tytuł na pierwszej stronie: „Deszczowe sto lat za remis mistrza”. Żeby nie było wątpliwości, która drużyna w tamtym okresie jest najlepsza w kraju, powtórzyli zdobycie mistrzowskiego tytułu rok później. Była to napra-





wdę rewelacyjna passa trwająca osiem lat, kiedy to Widzew zdobywał miejsca w pierwszej trójce ligi, a w 1985 roku wywalczył jeszcze Puchar Polski. Podstawowi piłkarze Młynarczyk, Żmuda, Boniek i Smolarek byli też trzonem reprezentacji, która pod wodzą Antoniego Piechniczka zdobyła trzecie miejsce na MŚ w Hiszpanii w 1982 roku. Zaraz potem podpisano kontrakt na 1,8 miliona dolarów i Zbigniew Boniek założył koszulkę Juventusu Turyn. Dla pocieszenia kibiców do Widzewa kupiono utalentowanego i dobrze się zapowiadającego Dariusza Dziekanowskiego, za rekordową wówczas jak na polską ligę kwotę 21 mln złotych (starych). W 1984 roku zagraniczny kontrakt podpisuje Młynarczyk, a po MŚ w Meksyku w 1986 roku drużynę opuszczają kolejne gwiazdy



polskiego futbolu Smolarek i Wójcicki. W następnym roku z fotelom prezesa pożegnał się Ludwik Sobolewski i było jasne, że przed klubem pojawią się „chude” lata. I tak w sezonie 90/91 RTS występuje już w II lidze. Na szczęście po tej krótkiej wpadce, znów wraca na czołowe miejsca ekstraklasy. Gdy w 1995 roku na ławce trenerskiej pojawia się Franciszek Smuda, Widzew dwa razy pod rząd zdobywa mistrzostwo Polski i występuje w Lidze Mistrzów. Jednak do poziomu piłkarzy dużo brakuje działaczom i prezesom. Choć od 1992 roku w nowo powstałej spółce zasiedli Janusz Baranowski, Sławomir Jaruga, Ismat Koussan, Michał Kropidłowski, Andrzej Pawelec, Andrzej Salamon i Andrzej Grajewski, rok później w Sądzie Rejonowym w Łodzi złożony zostaje wniosek o upadłość Sekcji Piłki Nożnej Widzew S.A. Zła atmosfera i kłopoty

finansowe pozostały do dzisiaj. Właściciele wielokrotnie zalegali z płatnościami, piłkarze grali więc coraz gorzej i szukali innych klubów. Jednak w tym sezonie uda się pozostać w ekstraklasie. Kiedyś stadion Widzewa znów zapełni się po brzegi. Zmieniał się Widzew, zmieniali się zawodnicy, działacze, kibice, bo zmieniał się świat, sport i piłka. Ale jedno towarzyszy drużynie Widzewa od początku, od 1922 roku... to biało - czerwone barwy klubowe i wdzięczność wszystkich Łodzian.

Bibliografia:

Andrzej Gowarzewski Encyklopedia piłkarska

Józef Halys Polska piłka nożna

Stefan Grzegorzczak, Jerzy Lechowski, Mieczysław Szymkowiak

Piłka nożna - ludzie, drużyny, mecze

Internet: [www.widzew.pl](http://www.widzew.pl)

JÓZEF LELITO

**BILANS  
DWUDZIESTO-  
LECIA**

W czerwcu br. minęło dwadzieścia lat od I Krajowego Związku Delegatów, który nadał kształt organizacyjny, zatwierdził statut i uchwalił program działania Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych Wojska Polskiego. Stworzono wówczas podstawę i możliwości działania dla tysięcy żołnierzy zawodowych, dając im szansę obrony czci, honoru i godności żołnierza polskiego, a także walki o poprawę warunków socjalnych. Idea powołania organizacji, zbliżonej charakterem do przedwojennego „Związku Oficerów Rezerwy” narodziło się w latach 1956-1957 w kręgach oficerów objętych wielkimi redukcjami kadry. Na mocy zarządzenia MON rozpoczęto wówczas organizować koła oficerów rezerwy, od 1964 roku funkcjonowały przy Lidze Obrony Kraju jako kluby oficerów rezerwy. W roku 1980 w 2438 klubach oficerów rezerwy działały także liczne rzesze byłej kadry zawodowej. W tym właśnie okresie powstała myśl powołania odrębnej organizacji, grupującej rezerwistów - byłych żołnierzy zawodowych o nazwie Związek Emerytów i Rencistów Wojskowych lub Związek Oficerów Rezerwy. W lutym

1981 roku w Stołecznym Klubie Garnizonowym odbyło się spotkanie, na którym powołano Komitet Organizacyjny przyszłej organizacji. W wyniku dyskusji, a także licznych postulatów z terenu, opowiedziano się za nazwą Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych. W marcu 1981 powstał Łódzki Komitet Organizacyjno-Założycielski przyszłego Związku pod przewodnictwem pułkownika w stanie spoczynku Jana Bednarskiego. W skład owego Komitetu weszli także oficerowie w stanie spoczynku: Mikołaj Kotwicki, Ludomir Łukaszewicz, Paweł Piotrowski, Ryszard Rzeźnik, Stanisław Wołowicz i Ryszard Kodura. Dzięki uporowi i aktywności wielu działaczy - byłych żołnierzy zawodowych, znacznie skrócono okres organizacji Związku - tworzenie kół i struktur wojewódzkich. 5 maja 1981 r. obradował pierwszy Łódzki Walny Zjazd Delegatów, reprezentujący w owym czasie ponad pięćdziesiąt członków rodzącego się stowarzyszenia. I Krajowy Zjazd Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych odbył się w Warszawie w dniach 13-14 czerwca 1981 r. W dokumentach statutowo programowych ZBZZ stowarzyszenie określono jako organizację o charakterze patriotyczno-obronnym. Podkreślono m.in., że zasadniczym celem będzie popularyzowanie problematyki obronności kraju, kształtowanie w środowiskach ogólnych właściwego zrozumienia dla spraw obronności i wysiłku żołnierskiego. Wiele uwagi poświęcono sprawom socjalno-bytowym.

W pierwszym okresie funkcjonowania Związku, poświęcono wiele uwagi wyjaśnienia założeń i wdrożeniu przyjętego na I Zjeździe programu, zwłaszcza na szczeblach zarządów wojewódzkich i kół. Organizowano liczne szkolenia członków obejmujące m.in. zajęcia z zakresu aktualnej wiedzy wojskowej, działalności społeczno-wychowawczej. Nawiązano współpracę z organizacjami kombatanckimi, proobronnymi i młodzieżowymi. Przyjęte przez I Zjazd cele i kierunki pracy Związku, zwłaszcza w zakresie działalności patriotyczno-obronnej obowiązywały z pewnymi uzupełnieniami do III Zjazdu, który odbył się w listopadzie 1989 r. W okresie tym organizowano wiele przedsięwzięć o charakterze patriotyczno-rocznicowym. Dobrze układa się na wszystkich płaszczyznach współpraca z wojskiem, aktywnie pracowały zarządy



i koła. Odbywały się stosunkowo liczne podróże wojskowo- historyczne, spotkania, plenery plastyczne itp. Nawiązano kontakty ogniw Związku ze szkołami mające na celu kształtowanie patriotyczno-obronnych postaw dzieci i młodzieży. W 1986 r. Koła ZBZZ sprawowały patronat nad 821 szkołami i 133 salami tradycji. W ramach uroczystości patriotycznych wręczono zarządom sztandary związkowe. 28 czerwca 1986 r. łódzki oddział ZBZZ otrzymał sztandar ufundowany przez społeczeństwo Łodzi. Przemiany społeczno-polityczne w kraju zapoczątkowały nowy okres w działalności Związku. Rozpoczęto opracowywanie, oddolnie nowej koncepcji działania, której istotą miało być z jednej strony zachowanie wieloletnich sprawdzonych i niejako uniwersalnych kierunków i form działania, a z drugiej włączenie się w nowe uwarunkowania i demokratyczny model działania państwa. Proces wpisywania się Związku w nową rzeczywistość nie był łatwy. Powodem była początkowa nieufność nowych władz wobec stowarzyszenia, a także dezorientacja części członków Zarządu. Jednak głęboko patriotyczna świadomość środowiska byłych żołnierzy zawodowych i wierność etosowi żołnierskiej służby pozwoliły utrzymać zwartość stowarzyszenia i dopracować się założeń statutowych, które pozwoliły po III Zjeździe, znaleźć Związkowi liczące się miejsce w życiu społecznym kraju, jak również określić formy współdziałania z Wojskiem Polskim nowych warunkach i nowej sytuacji w kraju. Istotne znaczenie dla ustabilizowania pracy Związku i określenia jego zadań w nowych warunkach miał IV zjazd, obradujący w listopadzie 1983 r. Zjazd dokonał nowelizacji statutu wprowadzając do preambuły zapis: „ZBZZ jako całość oraz wszystkie jego ogniwa organizacyjne w swojej działalności statutowej kierują się zasadą apartyjności i neutralności światopoglądowej”. Wyrazem nowych tendencji w działalności patriotyczno-obronnej było wzbogacenie form pracy na wszystkich szczeblach struktur Związku. Poszerzono m.in. współpracę z Ministerstwem Edukacji Narodowej oraz Kuratorium Oświaty, a także organizacjami kombatanckimi w zakresie promocji tradycji oręża polskiego oraz aktualnych problemów obronnych. W latach dziewięćdziesiątych, po krótkim okresie transformacji programowej Związek, jako całość w tym także jego łódzkie struktury - działał

z dużą aktywnością, stając się jedną z bardziej liczących się organizacji żołnierskich w kraju. W działalności związku starano się aktywować dyskusje dotyczące obrony godności i honoru żołnierza polskiego oraz patriotyczno-obronnego wychowania młodzieży. Przelomowe znaczenie dla przyszłości Związku miał obradujący w listopadzie 1997 r. V Krajowy Zjazd Delegatów. Zgodnie z nowymi zadaniami wiążącymi się m.in. z programem „Partnerstwo dla Pokoju” i perspektywą wejścia Polski do NATO dokonano korekty w statucie, pozwalającej na ustępowanie do organizacji oficerom, chorążym i podoficerom rezerwy, którzy nie byli uprzednio żołnierzami zawodowymi. Przyjęto nazwę: Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego. Przystąpiono niezwłocznie do opracowania zaleceń do pracy z żołnierzami rezerwy i urzeczywistnienia ich w ramach działania Zarządów Wojewódzkich Związku. Ważne znaczenie miało nawiązanie kontaktów z funkcjonującą przy Kwaterze Głównej NATO Międzysojusznictwej Konferencji Oficerów Rezerwy i przyjęcie od niej wzorów pracy z żołnierzami rezerwy. Z inicjatywy Związku podjęto prace, które w konsekwencji doprowadziły do powołania w kraju Fundacji Stowarzyszeń Rezerwistów i Weteranów Sił Zbrojnych RP, reprezentującej polskich żołnierzy rezerwy w międzynarodowych instytucjach i stowarzyszeniach, funkcjonujących i współdziałających z NATO. Związek w okresie 1998 - 2001 r. zorganizował wiele narad i konferencji z udziałem przedstawicieli MON, Sztabem Generalnego W.P, Biura Bezpieczeństwa Narodowego, mających na celu wypracowania metod działania, określonej jako „społeczna ochotnicza działalność żołnierzy rezerwy”. Chodzi o nakłonienie tego środowiska do podnoszenia własnych umiejętności i sprawności obronnej. Władze Związku na szczeblach: krajowym i wojewódzkim przeprowadziły liczne imprezy z udziałem żołnierzy rezerwy, jak np. zawody społeczno-obronne, które plasują Związek w czołówce innych stowarzyszeń.

Ważną dziedziną pracy związku, uznawaną często za priorytetową, była działalność socjalno-bytowa. W okresie budowy zrębów organizacji sytuacja materialna emerytów i rencistów wojskowych była bardzo

trudna. Szukając możliwości poprawy tego stanu rzeczy, w każdym kole, zarządach wojewódzkich powołano komisje socjalno-bytowe. Których zadaniem było rozpoznawanie sytuacji i potrzeb środowiska. Częścią tej działalności było organizowanie i prowadzenie w środowiskach emerytów i rencistów opieki specjalnej dla osób samotnych, chorych, dotkniętych trwałą niesprawnością fizyczną, wymagających pomocy w miejscu zamieszkania. Wszystkie ogniwa związkowe od momentu ich powstania prowadziły taką działalność opłaconą z różnych źródeł, ale głównie w formie koleżeńskiej pomocy. Działalność socjalną wspiera także funkcjonująca przy Zarządzie Głównym Związku Fundacja Pomocy Emerytom i Rencistom Wojskowym. Jedną z inicjatyw Związku było przeprowadzenie w 1999-2000 r. badań socjologicznych w celu ustalenia poziomu życia i opieki medycznej rodzin emerytów i rencistów wojskowych oraz osób samotnych pobierających wojskowe świadczenia emerytalno-rentowe. Wyniki badań przekazano Ministrom Obrony Narodowej oraz zarządom wojewódzkim i rejonowym Związku. Po wprowadzeniu w grudniu 1998 r. Branżowej Kasy Chorych dla Służb Mundurowych do Struktur związkowych, a przede wszystkim kół zaczęły lawinowo docierać głosy wyrażające niezadowolenie z opieki medycznej. W tej sytuacji Związek przekazał naczelnym władzom państwa „stanowisko” wyrażające zaniepokojenie funkcjonowanie wojskowej służby zdrowia - niezbędnej w systemie obronności kraju. W materiale podkreślono, że reforma ubezpieczeń zdrowotnych nie uwzględniła specyficznych uwarunkowań Sił Zbrojnych RP, wydłużył się czas oczekiwania na pomoc ze strony lekarza pierwszego kontaktu i uzyskania porad od specjalisty. Wszystkie ogniwa Związku zajmują się również poradnictwem prawnym oraz organizują różne formy pomocy koleżeńskiej. W czasie dwudziestu lat działalności Związek udowodnił, że jest organizacją, potrzebną środowisku wojskowemu, wyraźnie zaznaczając swoją obecność w życiu społecznym kraju i przejawiających się inicjatywą w nawiązywaniu więzi i współpracy z wojskiem, lokalnymi samorządami, organizacjami kombatanckimi i żołnierskimi, a także innymi podmiotami społecznymi działającymi w Łodzi i na obszarze województwa Łódzkiego.

Bilans dwudziestoletniej działalności jest dla Związku korzystny. W okresie tym organizacja wrosła w środowisko, stała się wręcz jego częścią. Silnym atutem stowarzyszenia jest nie tylko znajomość problemów, ale aktywne poszukiwanie rozwiązań i skuteczne zaspokajanie życiowych potrzeb weteranów, żołnierzy rezerwy i ich rodzin. Ważnym osiągnięciem stało się utrzymanie jedności organizacji. Pomimo głosów i rozważań nad możliwością przekształcenia stowarzyszenia w związek emerytów i rencistów wojskowych zwyciężył pogląd o potrzebie istnienia organizacji o charakterze uniwersalnym, łączącym zadania proobronne z działalnością na rzecz warunków socjalnych członków i całego środowiska byłych żołnierzy zawodowych. Ogromną wartością jest fakt, że członkowie Związku realizują na co dzień różnorodne lokalne przedsięwzięcia i tym samym budują swoją pozycję w środowisku żołnierskim i w społeczeństwie. Ideą łączącą członków Związku jest wierność Ojczyźnie i służba narodowi, a czołowym zadaniem - społeczne działania na rzecz umacniania obronności i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej i poszanowania ustanowionych przez nią praw. Związek kontynuuje najlepsze tradycje orężne narodu polskiego w jego walce o wolność i niezależny byt państwowy szczególnie odnosząc się do zmagania Polaków o odzyskanie niepodległości w dobie powstań narodowych, walk żołnierza polskiego na wszystkich frontach I i II wojny światowej, a także powojennej służbie krajowi. VI Krajowy Zjazd Delegatów, obradujących w listopadzie br. akceptując ogólne, statutowe i programowe założenia wskazał na potrzebę nadania organizacji bardziej - współczesnego, dynamicznego charakteru, dostosowanego do zmiany pokoleniowej, jaka zachodzi w jej szeregach, a także realiów społeczno-politycznych i ekonomicznych kraju.

## NAGRODY MIASTA ŁODZI

Decyzją Rady Miejskiej w Łodzi (uchwały z dnia 4 i 10 kwietnia 2002 r.), Nagrody Miasta Łodzi otrzymali:

**1. Urszula Gocał**

Od 1 stycznia 1996 roku Prezes Zarządu Z.P.Dz. „Olimpia”. Pod jej kierownictwem firma rozwija się zdobywając wiele laurów i przynosząc zyski. Aktywnie wspiera stowarzyszenie, instytucje społeczne i kulturalne.

**2. Ryszard Hunger**

Artysta plastyk. Pełnił funkcje dziekana, profesora i rektora Łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych.

**3. Marek Koter**

Profesor Uniwersytetu Łódzkiego cykl jego wykładów i publikacji to cenny wkład do rejestracji i rekonstrukcji dziejów Łodzi.

**4. Andrzej Kazimierz Koziarski**

Profesor Politechniki Łódzkiej, jest pierwszym łodzianinem z tytułem „Euroinżyniera”.

5. **Andrzej Kazimierz Wojalski**  
Działacz Towarzystwa Opieki nad Zabytkami.  
Autor wielu publikacji o Łodzi.
6. **Eugeniusz Wojciechowski**  
Profesor, prodziekan Uniwersytetu Łódzkiego.  
Aktywny w działalności doradczo - eksperckiej.  
Współtworzy koncepcję rozwoju Łodzi.
7. **Ryszard Czubaczyński**  
Dyrektor Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Ponadto Rada Miejska przyznała „Odznaki Za Zasługi Dla Miasta Łodzi”.  
Otrzymały je trzy organizacje społeczne:

1. Liceum Ogólnokształcące nr 1 im. Mikołaja Kopernika
2. Orkiestra Dęta Poczty Polskiej przy RUP Łódź - Północ
3. Stowarzyszenie Śpiewacze „ECHO”

oraz 25 osób:

**Dorota Katarzyna Barbelska**

Pracownik Muzeum Sztuki w Łodzi, twórca Salonu Muzycznego  
w Pałacu Herbsta, współautor albumu „Księży Młyn”,

**Mirosław Borusewicz**

Dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi,

**Jolanta Chełmińska**

Dyrektor Oddziału Regionalnego w Łodzi banku PKO BP S.A.

**Krystyna Fuerst**

Pedagog, dyrektor III Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego  
w Łodzi,

**Wioletta Anna Gnacikowska**  
Dziennikarka Gazety Wyborczej,

**Anna Iżykowska - Mironowicz**  
Konsultant muzyczny Wytwórni Filmowych w Polsce,  
krytyk muzyczny,

**Jarosław Antoni Jankowski**  
Ekonomista, promotor Łodzi oraz Międzynarodowych Targów  
Łódzkich w kraju i za granicą,

**Janusz Karol Kowalczyk**  
Pracownik Dyrekcji Okręgu Poczty w Łodzi, opiekun młodych  
muzyków w Orkiestrze Dętej Poczty Polskiej,

**Bogusław Franciszek Kowalewski**  
Pracownik Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum  
Włókiennictwa w Łodzi oraz Łódzkiego Domu Kultury,

**Wacław Władysław Kulpiński**  
Pracownik Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji  
w Łodzi,

**Janina Anna Kuźmicka**  
Rzecznik prasowy Rady Miejskiej w Łodzi od I Kadencji,

**Ewa Katarzyna Kwiecińska**  
Założycielka Łódzkiego Towarzystwa Alzheimerowskiego,  
kierownik oddziału w Klinice Psychiatrycznej w Łodzi,

**Sławomir Lachowski**  
Twórca pierwszego wirtualnego banku w Polsce z siedzibą  
w Łodzi,

**Jan Bożydar Latkowski**

Profesor, nauczyciel akademicki, Pełnomocnik Rektora ds. Doskonalenia Medycznego w Akademii Medycznej w Łodzi,

**Grzegorz Jan Matuszak**

Profesor socjologii Uniwersytetu Łódzkiego, były radny i Przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi, obecnie senator RP,

**Jerzy Antoni Mikucki**

Profesor, nauczyciel akademicki, pełnomocnik ds. budowy Centrum Kliniczno - Dydaktycznego Akademii Medycznej w Łodzi,

**Piotr Redel**

Były dyrektor artystyczny Filharmonii Łódzkiej, I skrzypek Filharmonii Łódzkiej,

**Piotr Paweł Słowikowski**

Dziennikarz oddziału okręgowego w Łodzi Telewizji Polskiej,

**Elżbieta Słupianek**

Prezes Łódzkiego Stowarzyszenia Osób Niepełnosprawnych, wiceprezydent Federacji Związków i Stowarzyszeń osób Niepełnosprawnych,

**Włodzimierz Andrzej Stańczyk**

Były radny Rady Miejskiej, członek Komisji Ochrony i Kształtowania Środowiska, pracownik Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk,

**Krystyna Ludwika Szczyrkowska**

Absolwentka PWSSP w Łodzi, malarka,



**Kazimierz Jacek Szepliński**

Pedagog, opiekun stowarzyszeń nauczycielskich, instruktor ZHP,  
działacz PCK,

**Bożena Teresa Szymańska**

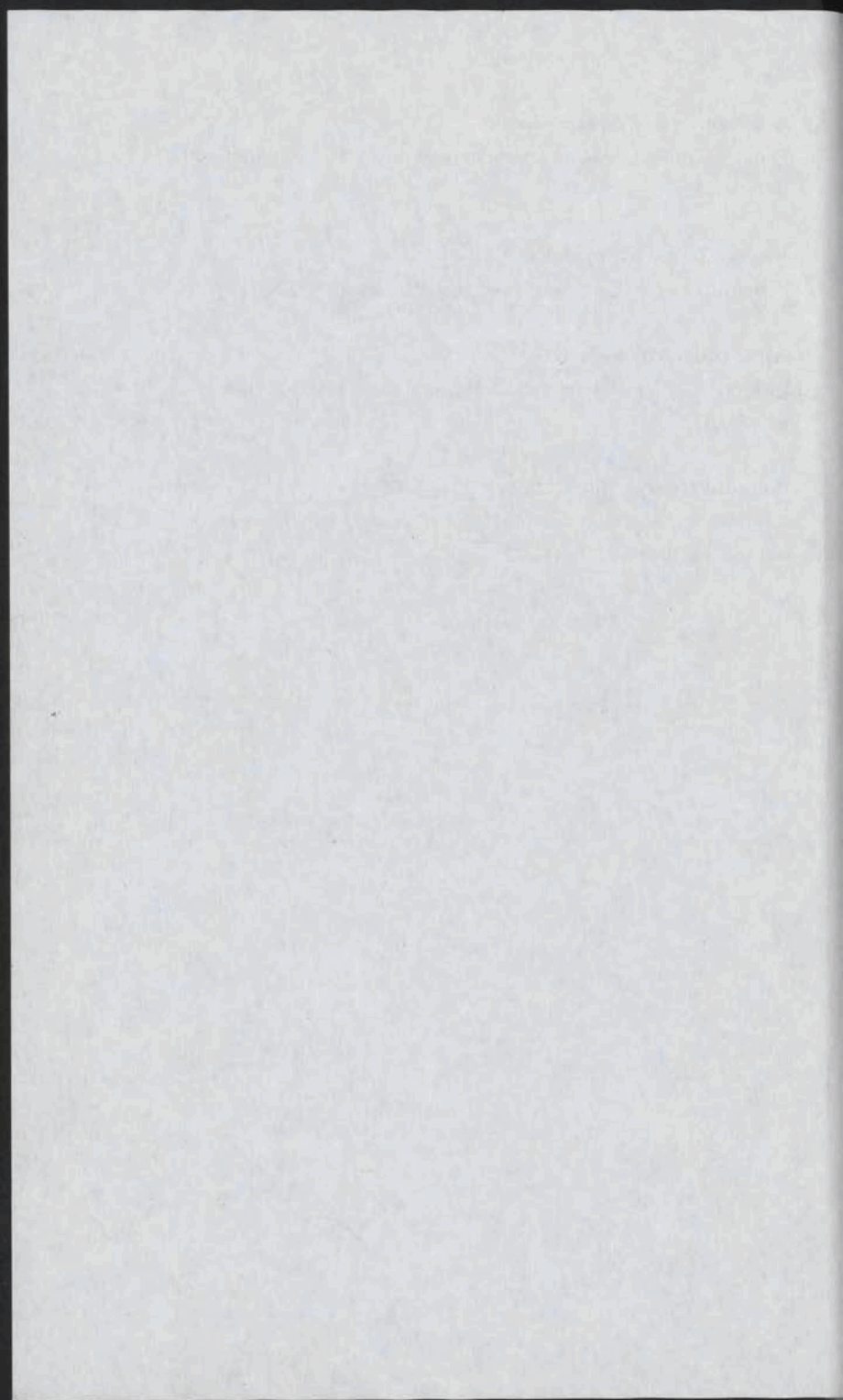
Pedagog, kieruje Centrum Zajęć pozaszkolnych w Łodzi,

**Aleksander Wójcik**

Listonosz, działacz społeczny Orkiestry Dętej Poczty Polskiej  
w Łodzi,

**Bogumił Henryk Zawadzki**

Działacz społeczny, przewodnik turystyczno krajoznawczy,  
popularyzator wiedzy o Łodzi.



ŁÓDZKIE KLIMATY  
CZAR DAWNEJ  
ŁODZI















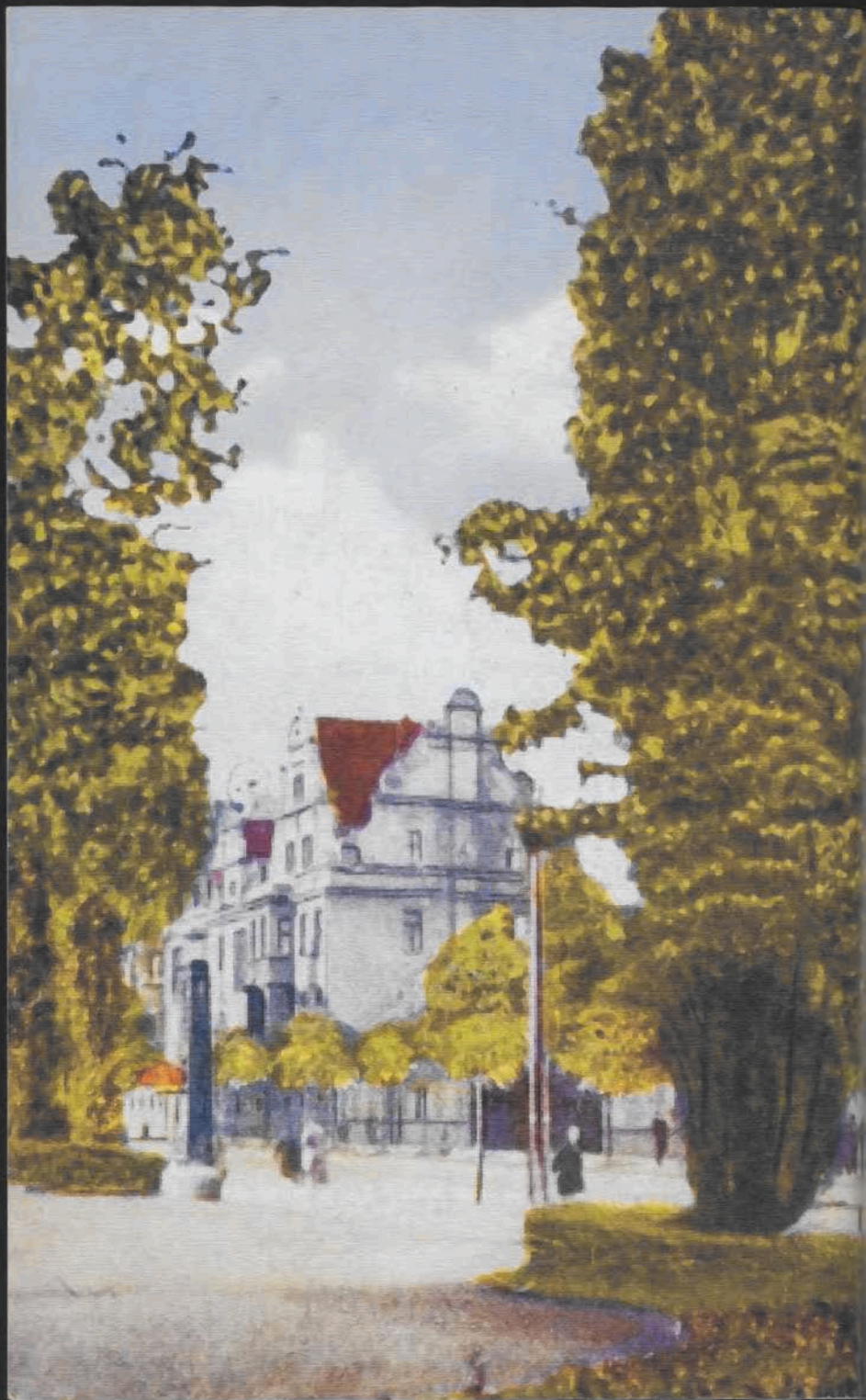












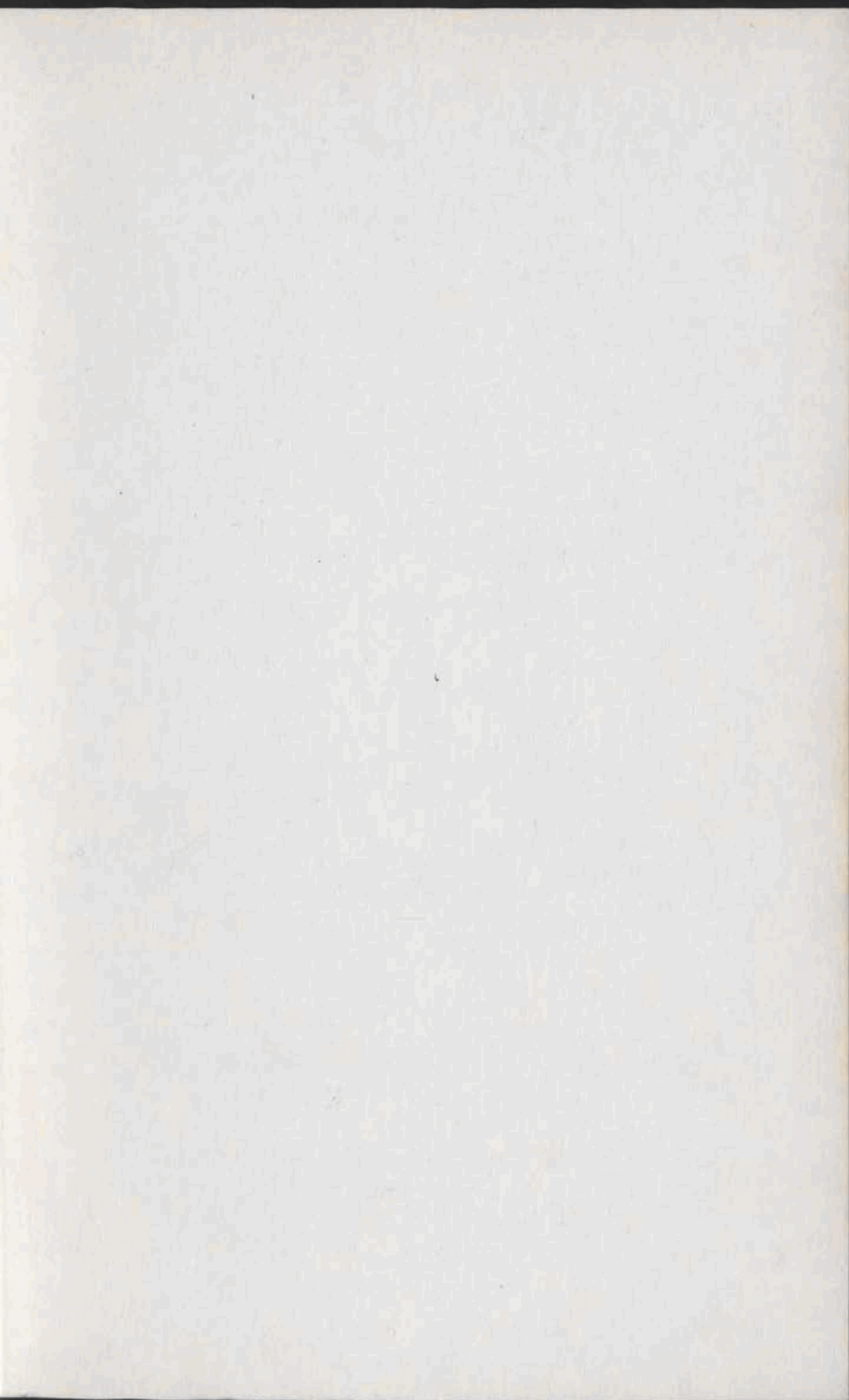
## SPIS TREŚCI

ZAMIAST WSTĘPU	5
ZDROWE MIASTO ŁÓDŹ   BARBARA MAJ	7 1754
SZPITAL BAŁUCKIEGO IMPERIUM BAWELNY   JERZY GAŁĘBA	15 1755
KAPITALIZM BEZ KAPITAŁU   DZIERŻYŚLAW PROSNAK	25 1756
GORZKI BILANS   BARBARA WRZESIŃSKA	33 1757
ŁÓDZKI OGRÓD ZOOLOGICZNY   EWA ŻUCHOWSKA	43 1758
PIERWSZA MIŁOŚĆ MIECZYŚLAWY ĆWIKLIŃSKIEJ   JERZY WILMAŃSKI	57 1759
DEDECIUS   MIECZYŚLAW GUMOLA	63 1760
WSPOMNIENIA O FILMÓWCE   KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI KWIST	79 1761
ŁODZIANIE Z WYBORU   ANNA IŻYKOWSKA - MIRONOWICZ	95 1762
BIZANCJUM W ŁODZI   IGOR GÓRSKI	103 1763
JUBILAT I OKOLICE   EDWARD SZUSTER	115 1764
BAŁUTY KTÓRYCH JUŻ NIE MA   BOGUSŁAW SIKORSKI	127 1765
FENOMEN ŁODZI   ANDRZEJ GAŁECKI	135 1766
NIEBO NAD ŁODZĄ   KATARZYNA BARANKOWA	143 1767
TU JEDNAK ZOSTANĘ   PIOTR WERNER	153 1768
DUCHY PIOTRKOWSKIEJ   EDWARD MÜLLER	163 1769
ZABOBONY ZNAD ŁÓDKI   ZOFIA WARZYŃSKA-BARTCZAK	167 1770
GENERAŁ IWAN SIEROW O SYTUACJI W ŁODZI   TADEUSZ BOGAŁECKI	179 1771
ZACZĘŁO SIĘ NA FALI 233,8   JERZY WARZECHA	187 1772
ARCHEOLOGIA W ŁODZI - 2001   PAWEŁ ZAWILSKI	201 1773
JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI   POECI ŁODZI	211 1774
PIOTRKOWSKA W SŁOŃCU   MAGDALENA WOJCIECHOWSKA	215 1775
CZERWONO BIAŁO CZERWONI   PAWEŁ WRONISZEWSKI	221 1776
BILANS DWUDZIESTOLECIA   JÓZEF LELITO	229 1777
NAGRODY MIASTA ŁODZI	235 1778

10671-A









ISSN-12315-354